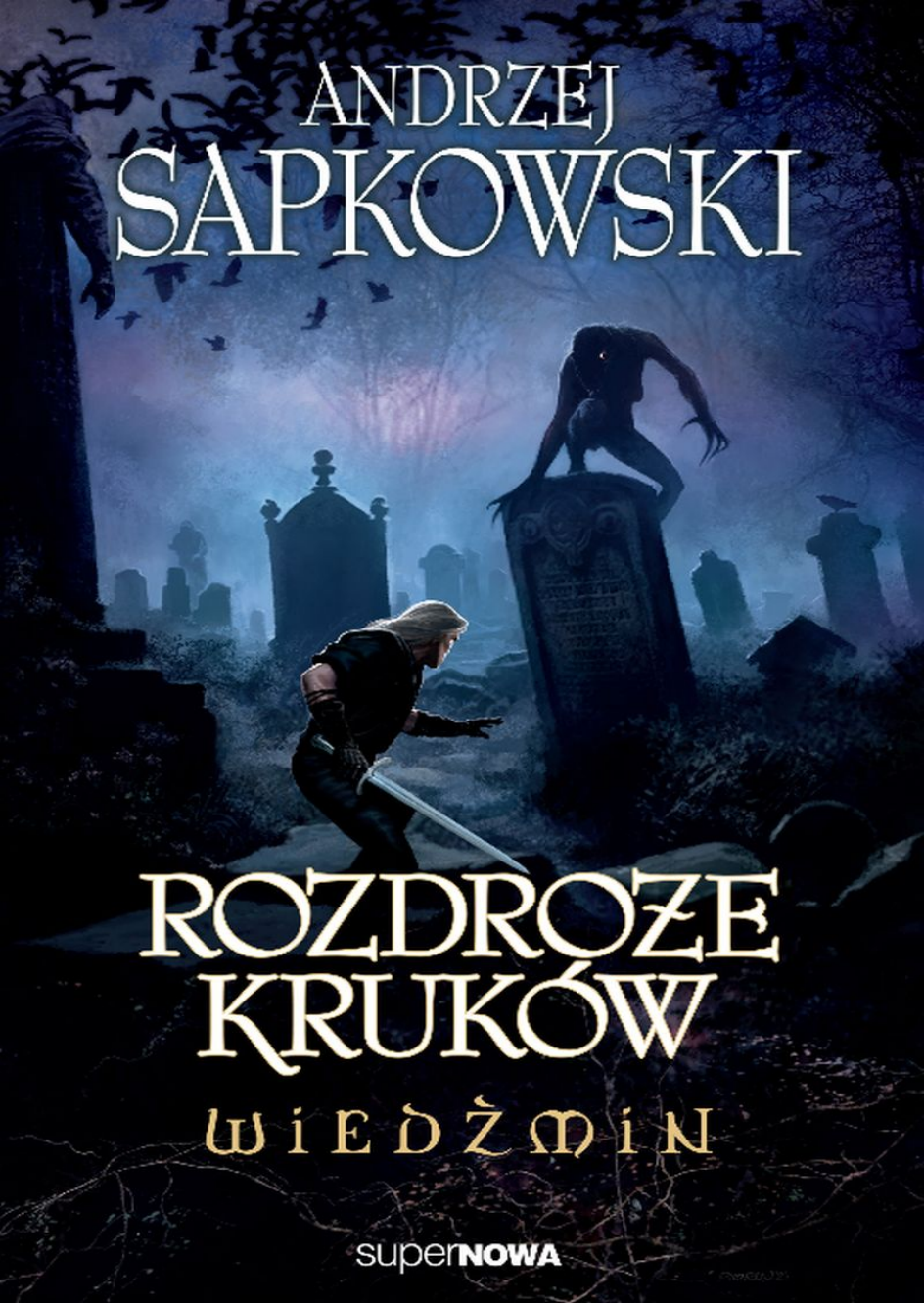
ANDRZEJ
SAPKOWSKI
ROZDROŻE
KRUKÓW
WIEDŹMIN
superNOWA

ANDRZEJ
SAPKOWSKI

ROZDROŻE KRUKÓW

WIEDŹMIN

superNOWA
WARSZAWA

Świszcze wicher upiorny, ciemność straszna dokoła
W mroku zgroza krwiożercza się skrywa
Zło się skrada i zbliża, czas pomocy zawołać
Na ratunek, wiedźminie, przybywaj!

W dali echo powtarza krzyk niewinnej ofiary
Dookoła czerń nocy i zima
Krew splamiła kamienie i pni brzóz białą korę
A wiedźmina jak nié ma, tak nié ma.

Anonimowa ballada, ok. 1150 p. R.

Nie wspominaj grzechów mej młodości ani moich przewin.

Psalm 25;7

Opracowanie graficzne serii: Tomasz Piorunowski

Opracowanie redakcyjne i korekta: Danuta Górska, Marzena Kłos

ISBN 978-83-7578-207-3

Copyright © Andrzej Sapkowski, Warszawa 2024

Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA sp. z o.o.
Biuro Handlowe
ul. Nowowiejska 10/12
00-653 Warszawa
e-mail: redakcja@supernowa.pl

Redaktor naczelny: Mirosław Kowalski

Opracowanie wersji elektronicznej: LogoScript sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Cytaty
Karta redakcyjna
- Rozdział pierwszy
- Rozdział drugi
- Rozdział trzeci
- Rozdział czwarty
- Rozdział piąty
- Rozdział szósty
- Rozdział siódmy
- Rozdział ósmy
- Rozdział dziewiąty
- Rozdział dziesiąty
- Rozdział jedenasty
- Rozdział dwunasty
- Rozdział trzynasty
- Rozdział czternasty
- Rozdział piętnasty
- Rozdział szesnasty
- Rozdział siedemnasty
- Rozdział osiemnasty
- Rozdział dziewiętnasty
- Rozdział dwudziesty
- Rozdział dwudziesty pierwszy
- Rozdział dwudziesty drugi
- Rozdział dwudziesty trzeci

Kaedwen krainą jest między Góry Smocze od północy, Góry Sine od wschodu, a puszcze nieprzebyte od zachodu wtłoczoną. Królowie dziedziczni z rodu Toppów tam królują. Pierwotną stolicę w starożytnym Ban Ard mieli, lecz gród ów w roku 1130 post Resurectionem król Dagread darował na szkołę czarodziejom, stolicę zaś przeniósł do środkiem krainy leżącego Ard Carraigh.

Inne ważniejsze grody Kaedwen to Ban Fearg, Daevon, Ban Fillim i Ban Gleann.

Herbem Toppów i całej krainy był od niepamiętnych czasów jednorożec – d'or, licorne effrayée de sable.

Wokół ziem królewskich Kaedwen leżą do wspólności należące ziemie kresowe, zwane markami a. marchiami. Te w zarząd są oddane margrafom, co znaczy hrabiom, dziedzicznym bądź przez króla mianowanym. Nazwa stąd się bierze, że ziemie owe niby strażą są przednią i posuwając się coraz dalej, mają podbój wieść i nowe dla Kaedwen ziemie elfom wydzierać, granice przesuwać i coraz dalej swoje znaki, id est marki, stawiać. Marchie owe są: Zachodnia, Górna, Pojezierna i Dolna.

Baldwin Adovardo, *Regni Caedvenie Nova Descriptio*

Rozdział pierwszy

Geralt mimo najszczerszych chęci – i z raczej ważnych powodów – nijak nie mógł skupić się na gadaninie wójta. Całą jego uwagę pochłaniała wielka wypchana wrona na wójtowym stole. Wrona, łypiąc na wiedźmina szklanym okiem, stała na podstawce z pomalowanej na zielono gliny, obie nóżki wrony były w ową glinę

wtopione. Wrona tedy, mimo absolutnie żywego wyglądu, żadnym sposobem żywą być nie mogła, nie ulegało to kwestii. Czemu zatem, nie mógł nadziwić się Geralt, wrona kilkakrotnie już swym szklanym okiem mrugnęła do niego? Byłabyż to magia? Raczej nie, bo jego wiedźmiński medalion nie drgnął ani nie zawibrował, ani razu i ani troszeczkę. Czyżby halucynacja zatem? Omam? Wywołany choćby tym, że parę razy walnięto go w głowę?

– Powtórzę pytanie – powtórzył pytanie wójt Bulava. – Powtórzę, choć powtarzać nie zwykłem.

Wójt Bulava kilkakrotnie już zapewnił Geralta, że nie zwykł powtarzać. Mimo tego powtarzał co i rusz. Widocznie lubił, choć nie zwykł.

– Powtórzę moje pytanie: o co tak naprawdę poszło? Coś ty miał do tego dezertera, żeś go tak okropnie porąbał? Jakieś dawne urazy? Bo nijak, widzisz, nie uwierzę, że to o tego wieśniaka szło i o cześć dziewczyńską jego córeczki. Żeś to niby na ratunek pospieszył. Niczym jaki zasrany rycerz błędny.

Wrona łypnęła. Geralt poruszył związanymi z tyłu rękami, starając się pobudzić krążenie krwi. Powróz boleśnie wrzynał mu się w przeguby. Za plecami słyszał ciężki oddech wiejskiego draba. Drab stał tuż za nim, a Geralt pewien był, że tylko czeka na pretekst, by ponownie palnąć go pięścią w ucho.

Wójt Bulava sapnął, rozparł się w krześle, wypiął brzuch i aksamitny kaftan. Geralt wpatrywał się w przód kaftana i rozpoznawał, co wójt jadł dziś, wczoraj i przedwczoraj. I że przynajmniej jedno z tych dań było w pomidorowym sosie.

– Myślałem – rzekł wreszcie wójt – że nigdy nie będę musiał oglądać żadnego z was, wiedźminów. Żadnego wiedźmina nie widziano od lat. Gadali, że po roku sto dziewięćdziesiątym czwartym mało kto żywy ocalał, tam, w górach. Potem niosła wieść, że i ta reszta już wymarła, z głodu albo od zarazy. A tu masz, zjawia

się jeden taki akurat w mojej wsi. I pierwsze, co popełnia, to morderstwo. Schwytany zaś na gorącym uczynku ma czelność powoływać się na jakieś pieprzone ukazy.

– Na mocy imiennego ukazu z roku tysiąc sto pięćdziesiątego – wychrypiał Geralt, odchrząknąwszy – wydanego przez Dagreada, króla Kaedwen i Marchii kresowych, primo: wiedźminom zezwala się na swobodne wykonywanie zawodu na terytoriach Królestwa i Marchii i wyjmuje onych spod jurysdykcji władz lokalnych…

– Po pierwsze primo – przerwał ostro Bulava – wnet pół wieku minie, jak Dagread w proch się obrócił, a wraz z nim jego imienne samodzierżcze ukazy. Po drugie primo, żaden król mi niczego spod niczego nie wyjmie, bo król jest w Ard Carraigh, daleko stąd, a tu rządzi władza lokalna. Znaczy się ja. A po trzecie primo, to na cię, bratku, nie za wykonywanie zawodu areszt położono, ale za zabójstwo. Wilkołaki łapać i leszych ubijać, to twoja rzecz wiedźmińska. Ale żeby ludzi rżnąć, na to cię żaden król nie uprzywilejował.

– Wystąpiłem w obronie…

– Daryl!

Drab posłusznie walnął Geralta pięścią, tym razem w kark.

– Twoje powtarzanie – wójt popatrzył na powałę – jest denerwujące. Czy wiesz, do czego może doprowadzić zdenerwowanie? Nawet tak spokojnego człowieka jak ja?

Wrona łypnęła szklanym okiem. Geralt milczał.

– Ty – powiedział wreszcie Bulava – nie jesteś wiedźmin. Ty jesteś defekt. Wymagasz naprawy. Trza cię zwrócić do tego waszego górskiego Siedliszcza, o którym ludzie gadają. Nie wiem, jak to tam z tym u was jest. Możliwe, że taką niedoróbkę jak ty rozbiera się na części składowe, do wykorzystania do produkcji nowych, lepszych wiedźminów. Bo przecie tak się tam u was robi, nie? Z różnych ludzkich kawałków wiedźminów się składa, zszywa czy skleja, czy

jak. Różnie ludzie mówią. Tak tedy, by po próżnicy nie gadać... Ja cię, nieudany wiedźminie, wyekspediuję z powrotem w góry, za Gwenllech. Za tydzień.

Geralt milczał.

– Nie spytasz nawet, czemu za tydzień? – Wójt wyszczerzył żółte zęby. – Lubisz powoływać się na ukazy i prawa. To i ja jestem za prawem. A prawo jest takie, że nosić broni tu we gminie przybyszom nie wolno. A tyś tu z bronią wszedł.

Geralt chciał oponować, że nie wszedł, ale go wewleczono. Ale nie zdążył.

– Karą – orzekł Bulava – jest dwadzieścia uderzeń bicza. Karę wymierzy obecny tu Daryl, a on ma ciężką rękę. Wcześniej niż za tydzień na nogi nie staniesz. Nuże, brać go. Na majdan z nim, przywiązać do słupa...

– Hola, hola – wstrzymał drabów wchodzący do izby mężczyzna w burej opończy, mocno przybrudzonej dołem. – Co tobie, Bulava, tak do tego słupa i bata prędko? Wiedźmina mi chcesz pokaleczyć? A jużci, nic z tego. Mnie wiedźmin cały i zdrowy na budowie potrzebny.

– A co ty mi tu – wójt wziął się pod boki – w egzekucje się wtrącasz, Blaufall? Dość mi cię cierpieć, że mi ludzi ze wsi na szarwark cięgiem zabierasz. Ale do jurysdykcji mi się nie mieszaj, nie twoja rzecz, moja jurysdykcja. Zbrodnia ukarana być musi...

– Szysz, nie zbrodnia – przerwał Blaufall. – Nie masz tu przestępstwa nijakiego, jest obrona własna i ratunek ludziom. Nie rób min, nie rób min, bo ja tu świadka mam. Pozwól no, gospodarzu. Nuże, nie lękaj się. Gadaj, co i jak.

Geralt poznał włościanina. Tego samego, którego wczoraj uratował przed grabieżą, a który umknął w las, miast dziękować. Ojca dzieweczki, którą pamiętał rozebraną do giezła.

– Zaświadczam… – wystękał chłop, wskazując Geralta palcem. – Zaświadczam słowem, jako onże młodzian na ratunek przed zbójami mi pospieszył… Majętność ocalił… Córę moją przed pohańbieniem zratował… Niewinną z łap zbójeckich wyzwolił…

– A tamten dezerter – podpowiedział Blaufall – rzucił się nań z siekierą, młodzian się jeno bronił. Obrona własna! Potwierdźcie, gospodarzu, że tak było.

– Tak było… Rychtyk tak! Panie wójcie, nie winien ów młodzian! – Włościanin był blady i nienaturalnie głośny. – Panie wójcie! Uwolnijcie jego, prosim was. A tu… Prosim, weźcie… Tytułem, hmm… Może jakie koszta były albo straty… Radem zrekompensować…

Kłaniając się usłużnie, chłop wręczył wójtowi trzosik. Bulava prędko schował go do kieszeni bufiastych spodni, tak zręcznie, że trzosik ani brzęknął.

– Obrona własna! – parsknął. – Człowieka na dzwona mieczem pociął. Niewinny młodzian… Już ja bym go…

Wyszli na majdan. Drabi wypchnęli Geralta, nie rozwiązując mu rąk.

– A ty, Blaufall – spytał wójt – coś taki w gorącej wodzie kąpany, żeś mi tu nawet świadka przywlókł? Tak ci ten wiedźmin potrzebny?

– Co to, nie wiesz niby? My drogę kładziemy, Wielką Drogę, z Ard Carraigh poprzez bory do samego Hengfors ta droga ma być. I to nie byle co, nie dukt jakiś, ale trakt, suchy i równy, balami i faszyną moszczony, żeby wozy i zaprzęgi mogły iść. To ważna rzecz, Wielka Droga, tamtędy pójdzie gęsty handel, naszych krajów, znaczy się, z Północą. Sam król pono przykazał, żeby się spieszyć. A tam potworów w boru i na bagnach, co i rusz jakiś robotnik ginie, przez monstrum ubity albo porwany…

– A ty od kiedy robotnikami się przejmujesz? Zawsześ gadał, że robotnik nieważny, nie będzie jednego, będzie drugi…

– Robotników pies chędożył, bo oni z szarwarku większością. Ale czasem mi potwór brygadzistę utrupi, a to mi pracę dezorganizuje, front robót w łeb bierze. A, co tu gadać. Powiadam, wiedźmin mi potrzebny, zawalę termin, mało, że premię diabli wezmą, ba, jeszcze kontrolę naślą. A kontrola…

– Zawsze coś znajdzie – ze zrozumieniem pokiwał głową Bulava. – A to materiał na lewo sprzedany, już to kosztorysy zawyżone, już to…

– Od tematu nie odbiegaj – skrzywił się Blaufall. – A wiedźmina wypuść zaraz, bez zwłoki, ze sobą go wnet na budowę biorę… O żeż ty… Co się dzieje?

– Ze strażnicy wiarusy. – Wójt osłonił oczy dłonią. – Pana Carletona wojsko.

Na majdan, wzbijając kurz i płosząc kury, wjechało cwałem kilkunastu konnych. Zbrojnych. Odzianych kolorowo, jaskrawo i raczej gałganiarsko. Tylko dwóch na czele było elegantszych. Dowódca, wąsacz w łosiowym kubraku, ze złoconym pendentem, w kapeluszu z pękiem strusich piór. I długowłosy elf z opaską na czole, w zielonym mundurze zwiadowcy.

– Pan kapitan Reisz Carleton – powitał Bulava, wyszedłszy naprzeciw. – Powitać, powitać. Skąd ten zaszczyt?

Pan kapitan Reisz Carleton pochylił się w siodle, splunął siarczyście. Potem dał znak zwiadowcy. Elf podjechał pod słup z poprzeczką, zręcznie przerzucił przez szlemię sznur zakończony pętlą.

– Oho. – Bulava wziął się pod boki, obejrzał, czy drabi stoją za nim. – Pan kapitan do mojej wioski na wieszanie widać zjechał. Aj, toć nawet widzę, komuż to dola dziś na stryczek. Widzę, widzę, tamci dwaj w pętach… Ha, tedy pan kapitan ułowił dezerterów ze swej strażnicy! Tych, co mi tu po lasach na wieśniaków i dziewki napadali?

– Owych – kapitan Reisz Carleton podkręcił wąs – wieszać ani myślę. Pójdą obaj na praszczęta, przez uliczkę z rózeg. Żeby popamiętali. I tyle. Za mało mam ludzi, by ich za byle co wieszać. I by mi ich jakiś przybłęda bezkarnie mordował.

Kapitan wyprostował się w siodle, podniósł głos, przemawiając nie tylko do wójta, ale i do wiejskich drabów, Blaufalla, jego pachołków i zbierającego się już tłumku wieśniaków.

– Za co mam moich żołnierzy karać? Za co? Za samowolne oddalenie? Że dziewkę chcieli wyruchać? Przecie my tu na strażnicy jak na końcu świata, jak na zesłaniu, jak za karę. Nie użyjesz tu ni piwa, ni bab... Co dziwić się, że chłopaki nieraz na lewiznę wyskoczą, schwycą jakąś...

– Bo po jaką cholerę – Reisz Carleton podniósł głos – baby szwendają się po lasach? A ten tu obecny gospodarz, to co, musiał z tą jego pannicą akurat tamtędy, nie szło jej doma zostawić? To co się chłopakom dziwić, że sobie chcieli... Nie pochwalam tego! Nie pochwalam, ale rozumiem! Panie Aelvarr? Gotowe tam?

– Gotowe, kapitanie.

– Tedy dawaj tu tego wiedźmina, Bulava. Zabił mi żołnierza, pójdzie na stryk. Potrzeba dać przykład grozy. I nie odcinajcie go, wójcie, niech powisi, innym ku przestrodze.

Blaufall wystąpił, dał pozór, jakby chciał się odezwać, zaniechał. Drabi chwycili Geralta, ale stali niepewnie. Jak się okazało, słusznie.

Zrobiło się nagle dziwnie cicho. I jakby powiało czymś zimnym.

Na majdan, zza stodół, wolniutko wkroczył kary, smoliście czarny koń. Niósł jeźdźca. Białowłosego, w czarnym skórzanym kubraku nabijanym na ramionach srebrnymi ćwiekami. Nad prawym ramieniem jeźdźca sterczały rękojeści dwóch mieczy.

Wolniutko, z gracją nawet, kary koń minął wieśniaków i wójta. By zatrzymać się przed kawalerią kapitana Carletona.

Przez chwilę panowała cisza. Potem kary koń rzucił łbem. Zabrzęczały kółka munsztuka.

– Pan wójt Bulava – odezwał się w ciszy białowłosy jeździec – natychmiast uwolni młodego wiedźmina. Zwróci mu konia, broń i dobytek. Natychmiast.

– Tak... – kaszlnął wójt. – Tak jest, panie Holt. Wnet...

– Pan kapitan Carleton. – Jeździec skłonił się lekko. – Czołem.

– Pan wiedźmin Preston Holt. – Reisz Carleton dotknął ronda kapelusza. – Czołem.

– Pan kapitan – jeździec podniósł głos – łaskawie raczy zabrać stąd tego elfa, jego sznurek i resztę swych podkomendnych. Nie jesteście tu już potrzebni. Dzisiejszy lincz jest odwołany.

– Doprawdy? – Kapitan wyprężył się w siodle, oparł dłoń o gardę miecza. – Takiście to pewni siebie, panie wiedźminie?

– Tak, takim to pewny. Żegnam. Panie wójcie, chłopak uwolniony? Rzeczy zwrócone?

– Ach, ty skurwielu! – wrzasnął jeden z konnych Carletona, wyszarpując miecz z pochwy i podrywając wierzchowca. – Ja cię...

Nie dokończył. Nazwany Prestonem Holtem jeździec uniósł rękę, wykonał krótki gest. Powietrze zawyło i zaświszczało, wieśniacy zakryli uszy. Konny wrzasnął, wyleciał z siodła jak z procy, ciężko i bezwładnie runął wprost pod kopyta towarzyszy, ich konie spłoszyły się, zachrapały, zatupały, zatargały łbami, jeden stanął dęba. Koń powalonego pomknął między chałupy, wierzgając i ciskając zadem.

Zrobiło się bardzo cicho.

– Jeszcze ktoś? – Preston Holt uniósł urękawiczoną dłoń. – Ktoś chętny, by się postawić? Bohatera odgrywać? Nie? Tak myślałem. Żegnam panów żołnierzy. Młody wiedźmin już w siodle?

– Już – odparł Geralt.

– W drogę zatem. Za mną.

Marchia Górna znak swej granicy nad rzeką Gwenllech postawiła. Wiadomym jest, jako ambicją margrafów tamtejszych jest dalej w doliny Gór Smoczych inkursję czynić, toteż dziedzinę swą cismontańską nazywać zwykli, niby że wnet ona o transmontańską część się powiększy, gdy się elfy dalej w głąb gór przepędzi. Wszelako lata biegą, a nic takiego się nie dzieje.

Baldwin Adovardo, *Regni Caedvenie Nova Descriptio*

Rozdział drugi

Królestwo Kaedwen znane było w całym zamieszkanym świecie z pogody zimnej i kapryśnej. Zamknięta od północy barierą Gór Smoczych, a od wschodu potężnym masywem Gór Sinych, kraina cierpiała od nieobliczalnych a częstych wędrówek mas powietrza, dających w rezultacie długie i mroźne zimy, zimne wiosny i krótkie, deszczowe lata. Co do jesieni, to bywało różnie – raz słonecznie, ciepło i miło, a raz całkiem nie.

Teraz, w miesiącu marcu, przez elfy zwanym Birke, śnieg wciąż zalegał miejscami po jarach i wykrotach, białymi łatami leżał po zapadliskach na haliznach. Lód żółciejącymi taflami wciąż pokrywał niektóre kałuże i rowy. Słoneczko niby przygrzewało, ale wiatr od gór, jak powiał, to parzył mrozem nie gorzej niż w styczniu.

Geralt wyruszył z Kaer Morhen dzień przed Ekwinokcjum. Tak mieli wiedźmini we zwyczaju. Wypraktykowano bowiem, że potwory są po zimie najbardziej głodne i tak agresywne, że ludzie po wioskach i osadach skłonni są wykosztować się na wynajem wiedźmina, choć na przednówku pozjadali zapasy i są praktycznie

bez środków do życia. Ale Geralt nie miał okazji być wynajętym. Wyszło bowiem tak, jak wyszło, ledwo dwa dni jazdy od gór, bęc, włościanin i jego córka, maruderzy, łysy drab z popsutymi zębami, ciach, mach, no i masz. Wpadło mu się pod sąd wójta Bulavy z miejscowości Neuhold, a spod owego sądu, a potem groźby linczu ze strony wojaków z okolicznej strażnicy, wybawił go ów dziwny białowłosy osobnik z dwoma mieczami na plecach i wierzchem na karym koniu, śladem którego Geralt teraz podążał.

– Proponuję – odwrócił się w siodle ów dziwny osobnik – byśmy jakiś czas jechali razem. Kapitan Carleton może wciąż chcieć cię powiesić, widać było, że bardzo chce. Nie jest aż tak głupi, by mnie ścigać, ale ty, samotny, możesz być łatwym celem. Jeśli zatem nie przeszkadza ci moje towarzystwo…

– Gdzieżby tam – pospiesznie zapewnił Geralt, popędzając swą bułaną klacz. – Z chęcią… Ja… Ja jestem…

– Wiem, kim jesteś. Włosy zbielały ci po mutacjach? Po Zmianach? Zanik pigmentu, tak jak u mnie?

– Ano… Ale skąd…

– Skąd wiem, ktoś ty taki? Stąd, że śledzę, co się tam u was w Warowni dzieje. I doszły mnie słuchy, że wyszkolił się tam taki jeden wunderkind, że zwą go Geraltem i że niedługo ma ruszyć na szlak.

– Ale Vesemir…

– Nigdy o mnie nie wspominał? Imię Preston Holt nigdy mu się nie wypsnęło? Wyjaśnię: Vesemir i ja od pewnego czasu poruszaliśmy się po różnych orbitach, że tak powiem. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

Geralt nie bardzo wiedział, co to jest orbita, ale pokiwał głową z mądrą miną.

Jakiś czas jechali w milczeniu. Bok w bok.

– Wyruszyłeś tedy z Kaer Morhen na szlak – odezwał się wreszcie Preston Holt. – Początek zdarzył ci się może nienajlepszy, ale tak to z początkami bywa. Ja zresztą nie myślę cię ganić, wręcz przeciwnie, oglądałem trupa tego marudera i twoje cięcia uznać należy za nienaganne. Może niepotrzebne, może nieprzemyślane, może nieeleganckie – ale w sumie nienaganne.

Pomilczeli znowu, poobserwowali wygonione na halę stado bydła i pastuszka, biegającego od krowy do krowy, aby ogrzać zmarznięte stópki w świeżutkim, ciepłym krowim placku. Placek rozgrzewał chyba raczej średnio, ale bieg i owszem.

– Wyganiają krowy – zauważył Holt – choć trawa ledwo co z ziemi wystaje. Znakiem tego sezon się zaczął i robotę znajdziesz bez trudu, Geralcie. Wsie wnet będą chętne płacić za ochronę pastuchów i inwentarza. Popędźmy konie, tam, w brzezinę, brzegiem roznosu.

– Brzegiem czego?

– Roznosu. Ten rów, tu, to jest roznos, kanał, którym odprowadzano niegdyś wodę z kopalni. Jesteśmy, jak niezawodnie wiesz, w części królestwa Kaedwen zwanej Marchią Górną. Bogactwo Marchii Górnej to kopaliny: sól głównie, ale też srebro, nikiel, cynk, ołów, lapis lazuli i inne takie. Tak przynajmniej było kiedyś, dziś większości kopalin jakby brakować zaczęło. Nic nie trwa wiecznie.

Geralt nie komentował.

– Widzisz to wzgórze przed nami? Zwie się Podkurek, tak figuruje na oficjalnych mapach. A poszło to stąd, że będzie ze sto lat temu, chłop o imieniu Podkurek właśnie wykopał tam przypadkiem bryłę srebra wielkości sporej główki kapusty. Momentalnie powstała tu kopalnia, wcięła się w zbocze góry. Wydobywano tu duże ilości srebra i galeny, rudy ołowiu. Ale im głębiej górnicy ryli, tym większe mieli kłopoty z wodą. Takich roznosów jak ten tu jest

więcej, zobaczysz je. Wreszcie koszty odwadniania uczyniły całe wydobycie nieopłacalnym. Górnicy wynieśli się w inne okolice. Zostawili labirynt korytarzy i wyrobisk, częściowo zalany. A teraz najlepsze: opuszczoną i zalaną kopalnię zajęły i objęły we władanie wędrowne zatrawce. Wiesz, co to są zatrawce, tuszę?

– Zatrawce – wyrecytował Geralt, wziąwszy oddech – to niewielkie stwory przypominające psiogłowe małpy. Stadne, żyją pod ziemią, w ciemnościach. W stadzie są niebezpieczne…

– Są niebezpieczne jak cholera – uciął recytację Preston Holt. – I dość często dają się we znaki górnikom-amatorom, przyłażącym, by ryć w zboczach Podkurka w poszukiwaniu srebra, które wciąż tu można wykopać. O, oto i ilustracja mych wywodów: to, co tam jaśnieje, to płachty wozów i namiotów. Trafimy wprost do obozu dzielnych kopaczy. Pierwszych tej wiosny.

Dzielni kopacze powitali ich najsamprzód delegacją uzbrojoną w łopaty i pałki. Groźne miny witających wysyłały proste przesłanie: wynoście się precz, przybysze, myśwa byli tu pierwsi. Rychło jednak miny złagodniały – przybysze nie byli, jak wykazała lustracja, niepożądanymi konkurentami. I oto na niechętnych jeszcze nie tak dawno obliczach odmalowała się wręcz radość.

– Olaboga, bogom dzięki! – zawołał naczelny kopacz, chowając za plecy motykę, którą jeszcze przed chwilą ostrzegawczo wywijał. – Bogom niech dzięki będą! Olaboga, toć to wielmożny pan wiedźmin! A że wieść nas doszła, żeście w okolicy są, tośmy już słać do was zamiarowali! A wy tymczasem jak z nieba nam, jak z nieba!

– Taki mam zwyczaj. – Preston Holt wyprostował się w siodle. – Z nieba spadać potrzebującym. Bom jest wiedźminem.

Do kopaczy dołączyło tymczasem kilka lamentujących niewiast. Robiło się coraz głośniej i coraz nieskładniej. Preston Holt gestem i głosem jął domagać się porządku. Trochę potrwało, nim wreszcie

dało się wymiarkować, w czym rzecz i o co tak naprawdę chodzi kopaczom i ich babom.

– Wiedźmin potrzebny, wiedźmin! – wołał, machając motyką, główny kopacz. – Chłopaka nam porwały te stwory podziemne, co pod górą żywią! Napadły, porwały, w czeluście zawlekły! Któż go teraz wybawi, jak nie wy?

– Nie będzie i dwóch tygodni – powiedział Holt – jak ostrzegałem was, by trzymać się z dala od szybu i sztolni. Co? Nie mówiłem? By kopać po drugiej stronie góry? Chłopaka, mówicie, porwały zatrawce? Lat ilu? Pięciu? Dawno? Ha, pozawczoraj? Toście się nie spieszyli, by po mnie słać. Zsiadaj, Geralt.

Preston Holt zsiadł z konia. Geralt nie mógł nie zauważyć, że niełatwo mu było ze zsiadaniem. I że utykał silnie na lewą nogę. Gestem odpędził baby, które go obległy, zawodząc. Chwilę pogadał ze starszym kopaczem, potem pociągnął Geralta za rękaw.

– Cóż, młody wiedźminie – powiedział. – Przyjdzie pomóc ludziom w potrzebie, poszkodowanym przez potwory. Bo właśnie nas wynajęto.

– Jeśli chłopaka zatrawce porwały przedwczoraj – burknął Geralt – to marne szanse, by jeszcze…

– Żył? Tak, to wątpliwe. Ale może chociaż odnajdziemy… Hmm… Damy matce możliwość pochówku tego, co zostało… Skąd te wahania, młody Geralcie? Dopiero co bez namysłu rzucasz się bronić czci dziewczęcia i chlastasz człowieka na śmierć, a teraz wahania?

– Czy ja mówię co? – Geralt wzruszył ramionami. – Albo się waham? Nie waham się.

●

Na zboczu góry uchowały się resztki drewnianych konstrukcji, zapewne kieratów odwadniających. Ział tam szyb, częściowo

zapadnięty, odsłaniający czeluść.

– Po kopalni został szyb – wyjaśnił Holt – i sztolnia, o, tam dalej. Jedno i drugie prowadzi do wyższego wyrobiska. Wyrobisko jest kręte, bo biegnie wzdłuż żyły, kompletnie wyeksploatowanej. Stamtąd pochyło w dół biegnie upadowa, prowadząca do niższego wyrobiska, jeszcze bardziej krętego, z licznymi odnogami. Poniżej jest jeszcze jedna sztolnia, ale kompletnie zalana. Zatrawce siedzą w tym niższym chodniku. Mogą tam być też jakieś dziury, połączenia z naturalnymi jaskiniami.

– Plan jest tedy taki: ja z moją nogą na dół nie zejdę, więc udam się pod sztolnię, tam narobię hałasu, ściągnę zatrawce na siebie. Wtedy cała nadzieja w tobie. Zejdziesz szybem na chodnik, stamtąd upadową w dół. Tam masz szanse znaleźć... To, co trzeba znaleźć. Przy odrobinie szczęścia. Którego ci życzę, chłopcze. Do zobaczenia na górze.

– Może by wpierw – zaryzykował Geralt – obczaić...

– Co zrobić? – skrzywił się Holt. – Ach, rozumiem. Nie ma jednak celu niczego... obczajać. Wypijaj eliksir, medalion w garść i złaź do szybu.

– Z całym szacunkiem – wybąkał stojący obok główny kopacz – ale ów junak młodziuśki taki jakiś... Da aby radę? Myślelim, że to wy, panie Holt, na dół zleziecie. Waszą własną osobą...

Preston Holt odwrócił się i spojrzał na niego. Kopacz skurczył się, zamamlał. I nie dokończył.

●

Chodnik był wysoki, Geralt mógł swobodnie iść wyprostowany i jeszcze brakowało paru piędzi do sklepienia. Wszędzie woda kapała ze ścian, prócz odgłosu padających kropli nie było słychać nic. Przyspieszył kroku, chciał jak najszybciej znaleźć się na

upadowej, zanim Holt zgodnie z obietnicą narobi rabanu przy sztolni.

W ścianach wyrobiska widniały głębokie kawerny, ślady po wydłubanych skupiskach rudy. W jednej z takich kawern dostrzegł dziwną ceglaną budowlę czy raczej pozostałości takowej. Nie mógł wiedzieć, że były to resztki pradawnej kapliczki.

Górnicy, o czym Geralt nie wiedział również, wierzyli w bogów najdłużej ze wszystkich grup społecznych. Pracując w warunkach stałego zagrożenia, musieli wierzyć, że czuwa na nimi jakaś opatrzność i że zanoszone do tejże modlitwy zapewnią im bezpieczeństwo. Jak łatwo zgadnąć, praktyka wnet dowiodła, że modły są na nic, że zawały i eksplozje metanu zdarzają się równie często pobożnym, co niedowiarkom. Ale górnicy i tak wierzyli, budowali kapliczki, palili świeczki i modlili się. Długo. Ale nie wiecznie. Rozsądek, jak zwykle, w końcu zwyciężył.

Korytarz jął raptownie opadać, był już na upadowej. Nadstawił ucha, ale nadal nie słyszał nic prócz kapiącej wody.

Był już, jak się zdawało, tuż przy dolnym chodniku, gdy się zaczęło.

Z ciemności świsnął wielki kamień, otarł mu się o włosy. Za nim poleciały następne, niektóre trafiły. Jeden trafił w głowę Geralta i zachwiał nim, a zatrawce rzuciły się na niego ze wszystkich stron, dziko wyjąc i szczekając, drapiąc i gryząc. Nie można było policzyć, ile ich było, uwijały się wokół zbyt szybko. Geralt wyszarpnął miecz z pochwy, po to tylko, by natychmiast go stracić – dwa stwory unieruchomiły go, trzeci ciosem wielkiej bryły wytrącił mu broń. Stwór uniósł zdobyty miecz w górę i triumfalnie zaryczał, otwierając psią paszczę na pełną szerokość. Triumf był przedwczesny – Geralt strącił z siebie obu napastników, porwał za kamień i miotnął nim, trafiając zatrawca prosto w zęby. Zatrawiec upuścił miecz, Geralt skoczył, schwycił broń, nim upadła, zarąbał

stwora mocującego się z kamieniem uwięźniętym w paszczy. Dwoma szybkimi cięciami rozpłatał dwa kolejne. I rzucił się do ucieczki w stronę szybu. Za nim rozległo się dzikie szczekanie i poleciały kamienie – ponownie niektóre celne. Jeden trafił go w potylicę – błysnęło, feeria gwiazd rozświetliła wyrobisko. Drugi kamień trafił w krzyże i omal go nie przewrócił. Dwa razy zatrawce dopadły go, wpijając zęby w łydki, przed poważnymi obrażeniami uchroniły go skórzane sztylpy. Jeden doskoczył i boleśnie ugryzł go ponad kolanem, gdzie sztylpa nie chroniła. Geralt nie zwolnił, by go zabić.

Pod gradem kamieni dobiegł do szybu, wspiął się po resztkach drabiny, wynurkował na powierzchnię, tam upadł i leżał. Czas jakiś.

– No, no – usłyszał. – Wyszedłeś. I nawet bez większych obrażeń. Krew, widzę, z paru miejsc ciecze. Ale znikąd się nie leje, a to już coś. Jestem pełen podziwu.

Preston Holt stał nad nim, dogryzając nogę pieczonego kurczaka.

– No weź – wystękał Geralt, wciąż na leżąco. – No weź! Miałeś być w sztolni… Zrobić hałas… By odciągnąć…

– Doprawdy? – Holt wyrzucił kość. – Ach, tak. Wybacz, zupełnie zapomniałem.

Geralt zaklął. Z ustami wciąż przy ziemi.

– Więcej powiem. – Holt oblizał palce. – Nie zapłacą nam nic. Bo chłopak się odnalazł. Przyszedł. Po prostu gdzieś się szwendał, a kopacze, jak zwykle, winą obarczyli zatrawce. Wstań, młody Geralcie. Wiedźminie Geralcie. Pozwól, pomogę. Chodzić możesz? To chodźmy. Jak mówiłem, z zapłaty nici. Ale nakarmią nas i przenocują. Dziewczyny opatrzą twoje skaleczenia. Jak ładnie poprosisz, to może któraś będzie dla ciebie miła.

Poszli w kierunku obozowiska i dymiących kociołków. Wiedźmin Geralt z trudem stawiał kroki.

Pucołowate dziewczyny opatrzyły go w paru miejscach. I nakarmiły. A kopacze pozwolili przenocować. Holtowi w namiocie, Geraltowi na wozie.

Jedna z dziewczyn przyszła do Geralta w nocy i była miła. Ale tylko miła, tylko troszkę i nic więcej. I zaraz potem sobie poszła.

●

O świcie Geralt wygramolił się z wozu i jął siodłać klacz, wciąż posykując z bólu. Przy tej czynności zaskoczył go Holt.

– Skąd ten pośpiech? – Przetarł oko. – Zaczekaj. Podejmą nas śniadaniem, potem ruszymy dalej.

– No weź – wycedził Geralt. – A może ja wcale nie jestem pewien, czy chcę z tobą dokądkolwiek ruszać? Może wolę ruszyć sam?

Holt oparł się o pień brzozy, poobserwował niebo. Pogodne, bez jednej chmurki.

– W pełni rozumiem – powiedział – twoją postawę. Ale musiałem, kładąc nacisk na musiałem, przeegzaminować cię wstępnie, sprawdzić, jaki to jesteś w akcji.

– Mogłem stamtąd nie wyjść.

– Ale wyszedłeś.

– Nie dzięki twojej pomocy. Dlatego teraz...

– Proszę cię – przerwał Holt – byś towarzyszył mi konno jeszcze choćby do południa. Co się przekłada, okrągło licząc i kalkulując porę dnia, na pięć do sześciu stajań. Ten czas i ten dystans wystarczy, myślę, byś wyfukał złość, jaką masz na mnie, i spojrzał na świat trzeźwiej. A ja będę wówczas miał dla ciebie propozycję.

– Jakąż to – zmrużył oczy Geralt – propozycję?

– Sześć stajań. W południe.

●

Było faktycznie blisko południa, gdy niebo nagle poczerniało od skrzydeł, rozbrzmiało łopotem piór i jednym wielkim krakaniem. Z ziemi i z gałęzi okolicznych drzew zerwały się i odleciały dziesiątki, jeśli nie setki czarnych ptaków.

– Kruki – westchnął Geralt. – Tyle kruków! Być nie może! Kruki nie latają chmarami! Nigdy!

– Niewątpliwie – przyznał Holt. – Tyle kruków na raz to rzecz niebywała, sam się dziwię. Niewątpliwie mamy do czynienia ze zjawiskiem niecodziennym. I również w dość niecodziennym znajdujemy się miejscu. Jeśli zauważyłeś.

– Rozdroże. – Geralt rozejrzał się. – Rozstajne drogi.

– Rozdroże. Miejsce symboliczne. Cztery drogi, w cztery świata strony. Miejsce wyboru i decyzji. Którą teraz przyjdzie ci podjąć, Geralcie. Wiedźminie Geralcie.

Kruki obsiadły wyższe gałęzie drzew. Krakały, przyglądając się jeźdźcom.

– Trzy z dróg, wliczając tę naszą, to twoje drogi samotnego wiedźmina, to los, który wybrałeś, wyruszając na szlak z Kaer Morhen. Jeśli którąś z tych trzech dróg ruszysz, jeśli taką podejmiesz decyzję, rozstaniemy się. Jeśli jednak wybierzesz czwartą z dróg, wysłuchasz mojej propozycji.

Kruki krakały.

●

– Jestem, jak zapewne zauważyłeś, w latach. Dodam od siebie, że mocno w latach. Zdziwiłbyś się, jak mocno. Jestem też, a widać to również i ukryć się tego nie da, kaleką. Moje dni wiedźmińskiej chwały to już pieśń przeszłości. Nie ruszę już na szlak z mieczami, światłość moich kling, że się tak wyrażę, nie rozproszy już mroków. Ale mroki istnieją, potwory wciąż nocą łomocą. Ty możesz stawić

im czoło i pokonać je. Zagrożeni przez potwory ludzie wyglądają twojej pomocy.

– Racja, ja tu poetyzuję, a ty czekasz na propozycję. Oto ona: proponuję ci współpracę. Byłem znany tu w Kaedwen i nadal jestem, nigdy nie narzekałem na brak klienteli, a i teraz ludzie proszą mnie o pomoc, której udzielić im już nie mogę. Ale ty możesz. Przyjrzałem ci się i mówię: bądź moim następcą, Geralcie. Miast głodnym tułać się po gościńcach, zamieszkaj u mnie. Skorzystaj z mojej renomy, a pracy ci nie zabraknie. A po pracy będziesz miał dokąd wracać. I gdzie zimować. Ja zaś… Mnie uszczęśliwi, że ktoś kontynuuje moje dzieło. A także, nie ukrywam tego, że ktoś wspomoże mnie w sustentowaniu się na starość.

– Nie musisz decydować od razu. Na razie wystarczy, jeśli dalej ruszysz nie sam, lecz ze mną. Potowarzysz mi jeszcze. Zgoda?

– No, bo ja wiem… Zgoda.

– W drogę tedy. Zostawmy to rozdroże krukom.

Kruki pożegnały ich krakaniem.

– Nie obraź się – Holt obrócił się w siodle – ale nalegam, byś przy mnie zechciał w miarę poprawnie się wysławiać. W szczególności nie mówił „obczaić” i „no weź”.

Marchia Zachodnia nad rzeką Buiną leży, od zachodu zaś o Góry Pustulskie jest oparta. Było wcześniejszym margrafów zamiarem, aby granicę wciąż dalej i dalej na zachód przesuwać, na niczym to wszakoż spełzło, bo tamój granicę swą wschodnią królestwo Hengfors wytyczyło. Był o to spór i rozlew krwi groził. Hengfors, lubo małe, potężnego miało protektora w Kovirze, tedy margrafom spuścić uszy przyszło i na pokój przystać.

Pokój, w roku 1225 post Resurectionem zawarty, Hołopolskim Mirem nazwany, granicę między królestwami oboma na rzeczce Braa ustanowił i tym samym zachodnią rubież Marchii jako non plus ultra ustalił.

Baldwin Adovardo, *Regni Caedvenie Nova Descriptio*

Rozdział trzeci

Jak zwykle, pierwsze zwróciły na nich uwagę koty i dzieci. Koty, których na skraju miasteczka było zatrzęsienie, niechętnie ustępowały z drogi, odchodząc odwracały głowy, syczały. Dzieci umykały do domów z płaczem i wyciem, porzucając to, czym się bawiły, głównie grudy zeschłego błota.

Oprócz kotów i dzieci nikt z mieszkańców miasteczka Spynham nie zwrócił na wjeżdżających wiedźminów najmniejszej uwagi. Pomyślałbyś, że jeźdźcy w czarnych płaszczach z mieczami na plecach wjeżdżali do Spynham tak regularnie, że zupełnie przestali ciekawić.

Preston Holt znał miejscowość, wiedział, w której stajni zostawić wierzchowce. Dalej ruszyli piechotą, błotnistą uliczką, płosząc

kolejne koty i kolejnych smarkaczy.

– Wielki panie – zaczepiła Geralta kucająca pod murem żebraczka z niemowlęciem na podołku. – Wielki panie, daj grosik… Na mleko dla dziecka…

Nim Holt zdołał zareagować, Geralt wysupłał z sakiewki i rzucił babinie markę, ta podziękowała wylewnie. Holt przez jakieś pół sta kroków milczał, wreszcie zatrzymał się.

– Nie jesteś wielkim panem – wycedził, patrząc Geraltowi w oczy. – Jesteś natomiast wielkim durniem. Za markę można kupić udój z dwunastu krów. Tobie, jak się wkrótce przekonasz, za zabicie potwora będą chcieli zapłacić niewiele więcej. A zabicie potwora to trochę większy wysiłek niźli skomlenie o datek i szczerzenie zepsutych zębów. A dziecko było pewnie pożyczone od kamratki, która siedzi w karczmie i czeka na klienta, by mu za pół marki obciągnąć w ustępie. Przestrzegam, nie chodź więcej tą uliczką, będzie wielki śmiech, jeśli jeszcze raz się tu pojawisz.

Geralt miał przez chwilę ochotę postawić się Holtowi i odpyskować mu, polecić, by się odczepił i własnego nosa pilnował. Nie zrobił tego. Jakoś odruchowo uznał Holta za starszego rangą, za mistrza nieledwie. Może dlatego, że Holt niezwykle przypominał Vesemira. Zachowaniem i mową. Bo fizycznie bardzo się różnił.

Przed nimi zajaśniały bielone wapnem kolumnady świątyni, pod którymi kucała cała armia żebraczek i żebraków. Świątynia od lat była nieczynna i opuszczona, ale żebracy kucali. I wyciągali ręce po jałmużnę. Z przyzwyczajenia.

Holt przezornie odciągnął Geralta na przeciwległą stronę ulicy.

– Wiesz, dlaczego się nas nazywa wiedźminami? – spytał. – Bo jesteśmy dziećmi wiedźm.

– No weź… – Geralt zająknął się. – Znaczy się, też mi wymysł. Wiedźmini od wiedźm. Dajże pokój.

– Może ci się to zdać zabawnym, ale to akurat prawda. Pierwsi wiedźmini byli dziećmi kobiet z niekontrolowanymi zdolnościami magicznymi, zwanych wiedźmami. Były niespełna rozumu i często służyły jurnym młodzieńcom jako zabawki seksualne. Dzieci, skutki takich zabaw, były porzucane. Albo podrzucane. A z sierocińców i przytułków, bywało, trafiały do wiedźmińskich szkół.

– Akurat. Wymyśliłeś to. Nie było tak.

– Było. Wszyscy my, wiedźmini, wywodzimy się od upośledzonych na rozumie dziewek. Nie bawi cię to?

– Nijak. Bo wcale tak nie było.

– Było, było. Ale dawno temu! Teraz pod świątyniami wiedźm nie uświadczysz. Czarodzieje eksterminowali wszystkie. Ha! Nic nie trwa wiecznie.

Im bliżej rynku, tym robiło się ludniej. Dla Geralta była to nowość. Nie przywykł do tłumu, czuł się w nim źle. Denerwował go hałas. Zaczynało brakować mu tchu, a smród stawał się coraz dokuczliwszy. Śmierdziało dymem, przypalanym tłuszczem, gnijącymi owocami, gnojem i diabli wiedzą, czym jeszcze.

Na rynku musieli wejść w szpaler straganów i tłum nabywców. Tu też czekały na Geralta same nowości i niespodzianki. A wreszcie podziw. W życiu nie przypuszczał, że istniało na świecie tyle rzemiosł i taką obfitość wyrobów oferuje się na sprzedaż. I że tylu jest chętnych, by kupować. Rzemienie i wyroby ze skóry, gliniane garnki z polewą i bez, futrzane czapki, półkożuszki, kierpce, haftowane chusty, miedziane patelnie, grabie, widły, trzonki do motyk – oraz obwarzanki, obwarzanki, obwarzanki.

Holt na cudeńka na straganach nie zwrócił najmniejszej uwagi. W pewnym momencie jednak zaprzestał przepychania się, chwycił Geralta za rękaw.

– Oczy w dół – syknął. – Oczy w dół, nie gap się.

– Bo?

– Czarodziejki.

Geralt posłusznie odwrócił wzrok. Niechętnie. Dwie kobiety przy straganie z bursztynową biżuterią przyciągały wzrok iście magnetycznie. Bogatym strojem. I urodą jak z obrazka.

– One – wyjaśnił Holt, gdy się już oddalili – mają zwykłych ludzi za bydło, a wiedźminów nienawidzą. Skore są do zwady, gapienie się mogą uznać za zaczepkę. Lepiej też, żeby nie wyczuły naszych medalionów.

Holt zatrzymał się przed okazałym domostwem, nad drzwiami którego przybito szyld. Malunek na szyldzie, wcale udatny, przedstawiał syrenę z obfitym biustem. Napis pod syreną głosił: „Lorelei".

Holt chwycił za kołatkę i zakołatał energicznie. Bardzo energicznie.

Masywne drzwi otwarły się i stanął w nich barczysty drab ze szczęką jak bochen chleba. Drab przez dłuższą chwilę mierzył wiedźminów wzrokiem. Po czym cofnął się, zapraszająco ustąpił miejsca.

Holt, bywały widać, bez wzywania ściągnął z pleców oba miecze i oddał je drabowi. Geralt pospieszył za jego przykładem.

Rozbrojeni, weszli do oświetlonego kilkoma lampami antyszambru. Geralt z trudem złapał oddech, antyszambr silnie przesycony był wonią perfum i kadzideł. Na ścianie wisiała druga wymalowana na obrazie syrena. Podobnie cycata. Napisu nie było.

– Pan Preston Holt – powiedziała, wchodząc, kobieta.

– Pani Pampinea Monteforte. – Holt ukłonił się. Geralt też się ukłonił. I zamknął usta, które przed chwilą był otwarł. Z podziwu.

Nieobeznany ze sztuką damskiego krawiectwa Geralt nie mógł wiedzieć, że materiały czarnej sukni Pampinei Monteforte to szyfon przeświturjący, muślin i krepa. Nie wiedział też, że wielką sztuką jest uszyć suknię tak, by zakrywała, odkrywając. I na odwrót.

Geralt nie wiedział też, co to jest kwintesencja kobiecości.

Ale co z tego, że nie wiedział, skoro widział.

– Młodzian? – Pampinea Monteforte uśmiechnęła się rozkosznie, wstrząsnąwszy burzą kasztanowych włosów.

– Zwie się Geralt. Młody adept sztuki wiedźmińskiej.

– Mam nadzieję – tembr głosu Pampinei zmienił się dziwnie – że adept nie został przyprowadzony... Celem celebracji, nazwijmy to, rytuału przejścia? Zmuszona jestem przypomnieć panu Holtowi, że nic się w „Lorelei" nie zmieniło. W „Lorelei" ani pan Holt, skądinąd miły nam bardzo, ani inny wiedźmin obsłużony być nie może. Albowiem...

– Albowiem – przerwał delikatnie Holt – inni klienci mogliby nie chcieć dziewczyny, którą wcześniej tknął wiedźmin. Ależ pamiętam o tym, droga Pampineo, i w głowie mi nie postało łamać tutejszego regulaminu. Nie przybywam jako klient bynajmniej, lecz wyłącznie celem spotkania się ze znajomym i partnerem w interesach. Timur Voronoff. Dał mi znać, że tu będzie, i umówił spotkanie. Czy zatem gości tu dziś?

– W „Lorelei" – Pampinea wydęła pełne usta – nie zwykłyśmy w zasadzie udzielać informacji o naszych klientach. Niezależnie od tego, czy się z kimś umówili, czy też nie. Ze względu jednak na znane mi szczególne więzi z panem Voronoffem... Mogę poinformować, że rozminęli się panowie ewidentnie. Pan Voronoff był tu przed tygodniem. Spędził kilka dni, zapewne czekając na umówione spotkanie. Nie doczekawszy się, opuścił Spynham. Teraz zapewne jest już u siebie, w Belvoir.

– Stokrotne dzięki. – Holt ponownie się ukłonił i gestem kazał ukłonić się Geraltowi. – Uszanowanie składamy...

– Pan Holt – zniżyła głos Pampinea Monteforte – zna, jak mi wiadomo, tajne wejście do „Lorelei", położone na tyłach budynku. Wejście dla gości... specjalnych... I sekretnych. Gdyby więc obaj

panowie wiedźmini zdradzili ochotę na poczęstunek... I specjalne usługi...

– Żałuję – odrzekł Holt ku wielkiemu żalowi Geralta. – Ale czas nagli i obowiązki wzywają. Może więc innym razem.

●

Gdy wyszli, Geralt zbierał się, by robić Holtowi wyrzuty. Nie zdążył.

Od strony niedalekiej studni dobiegły ich głosy. Wysoki pisk kobiety i przepity baryton mężczyzny. Geralt od razu ruszył w tamtą stronę. Zanim Holt zdążył chwycić go za rękaw, zobaczył zajście. Wielki chłop z brzuchem wylewającym się znad paska od spodni okładał kijem kulącą się u jego stóp kobietę. Kobieta piszczała, a chłop lał.

Geralt już startował do akcji, ale Holt był szybszy, i to mimo kalectwa. Doskoczył, złapał chłopa za ramię, szarpnął.

– Czego tu, przybłędo! – zaryczał chłop. – Ja cię...

Wzniósł kij i zamierzył się do ciosu. A wówczas stało się coś, co wręcz umknęło wzrokowi tak Geralta, jak i tworzącego się już zbiegowiska. Pomimo kulawej nogi Holt zwinął się w błyskawicznym półobrocie, wszedł w krótkie zwarcie, z którego chłop wyleciał jak z procy, bęcnął głową o cokół studni i rozciągnął się na bruku.

– Aj! – krzyknął Holt. – Człowiek upadł! Coś się jemu stało! Pomóżcież mu, dobrzy ludzie!

Dobrzy ludzie stali, gapili się i bardzo ociągali z pomocą. A obaj wiedźmini oddalili się prędko.

Nikt ich nie zatrzymał.

Pójdźmyż, niech dwojga jedno będzie chcenie;
Ty mistrzem moim, ty wodzem, ty panem.

Dante Alighieri, *Boska komedia*,
przełożył Edward Porębowicz

Rozdział czwarty

– Cóż to, młody Geralcie, czemu nos na kwintę? I milczymy ponuro? Rozejrzyj się. Wkoło wiosna, na wierzbach bazie, ptaszęta śpiewają, strumyk szemrze cichutko. Od wsi zalatuje gospodarką rolną. Znaczy się, skisłym mlekiem i gównem. A ty, miast wraz z przyrodą radować się, jakiś taki bez humoru. Czemuż to?

– W brzuchu mi burczy. Mogliśmy zostać tam, w Spynham. Zjeść coś… Owa dama zapraszała nas…

Preston Holt parsknął.

– Podejrzewam, że nie obiadu ci żal, ale figli z panienką z „Lorelei". Przyjdzie czas i na to, obiecuję, jeszcze nie raz i nie dwa Pampinea Monteforte podejmie nas w sekretnej przybudówce do lokalu. I z pewnością znajdzie się wśród jej panienek jakaś odważna. Teraz chciałbym jak najszybciej trafić do mojego domu, do Rocamory.

– Skąd ta nazwa? Rocamora?

– Nie wiem. Kupiłem posiadłość razem z nazwą.

●

Preston Holt, jak wyjaśnił Geraltowi, wędrował od samej stolicy wraz z postępującą budową Wielkiej Drogi, mającej połączyć

Kaedwen z Hengfors, a dalej z Kovirem i Poviss. Karczowanie puszczy budziło potwory, przyciągało je też skupisko ludzi. Nadzorcy skłonni byli płacić za ochronę, było dla wiedźmina dużo pracy i intratnych zleceń. Cztery lata temu z hakiem, zanim jeszcze budowa drogi dotarła do granic Marchii Górnej, doszło do wypadku. W walce z meganeurą, którą zresztą pokonał i zabił, Holt odniósł poważne obrażenia, doznał również skomplikowanego złamania nogi. Wypadek mocno nadszarpnął wiedźmińską karierę Holta. Wówczas kupił był folwarczek Rocamora i przeszedł w stan spoczynku.

– Niekiedy przyjmuję zlecenia – wyznał Geraltowi. – Voronoff wybiera dla mnie łatwiejsze potwory, a ja znowu wyprawiam się na szlak. Tym razem na północ wyprawiłem się specjalnie, by cię spotkać. Byłem tam już w lutym, dałem się poznać wielu, cestarzom od Wielkiej Drogi, wójtowi, żołnierzom. Zaprocentowały, musisz przyznać, te znajomości.

– Kim jest ten Voronoff? Pytałeś o niego ową damę…

– Pampineę Monteforte. Burdelmamę. I damę, a jakże, damę całą gębą. Zaś Timur Voronoff jest moim agentem.

– Owa pani Pampinea mówiła, że się rozminęliście. Że on wrócił do… Do Belvoir? Ale my tam nie jedziemy?

– Nie. Nie po drodze nam. Jedziemy na południe, traktem królewskim. Belvoir jest na zachodzie.

– A ten agent… To co on właściwie robi?

– Dowiesz się w swoim czasie. O ile podejmiesz wreszcie decyzję względem mojej propozycji. Co? Namyśliłeś się? Możemy o tym porozmawiać?

– Może później.

– Jak chcesz. Popędź konia.

●

W malowniczej dolince, wśród grabów, olch i wierzb, zajaśniały strzechy. Leniwie snuł się dym z komina. Holt wstał w strzemionach.

– Jesteśmy w domu.

– Znaczy się – zamruczał Geralt – ty jesteś.

– I ty też. O ile przystaniesz na moją propozycję.

– O ile.

– Trudny z ciebie egzemplarz. Nuże, wjeżdżajmy.

Do obrzeżonej ostrokołem Rocamory trafiało się przez bramę wjezdną, prowadzącą na majdan. Stało tam domostwo, solidny budynek z układanych w zrąb sosnowych bierwion, kryty stromym trzcinowym dachem. Obok był lamus, stajnia, stodoła, studnia, gołębnik, łaźnia i kilka szop.

Poprzez wielką sień wchodziło się do czeladnej, a stamtąd do obszernej świetlicy z piecem kaflowym, z której z kolei trafiało się do kilku alkierzy. Do domu przylegała wielka kuchnia i izby personelu.

Personel składał się z rządcy, ponurego typa bez przerwy zajętego rachunkami, starszego sługi o charakterze giermka, młodszego pachołka od koni i często zmieniających się najemnych dziewek ze wsi. Była też gruba, wrzaskliwa i humorzasta baba łącząca funkcję kucharki i ochmistrzyni. Babie łatwo było wybaczyć jej wrzaski i humory, albowiem mistrzowsko gotowała. Geraltowi, przywykłemu do monotonnej i biednej raczej diety w Kaer Morhen, posiłki w Rocamorze za każdym razem zdawały się królewską ucztą. W całym życiu swoim nie widział i nie kosztował dań takich jak zrazy zawijane czy gołąbki z kapusty, zaś jagnięcina w warzywach to już była niewyobrażalna wręcz wyżerka.

Wyżerka, nieróbstwo i obserwowanie przylatujących i odlatujących gołębi pocztowych nie trwały długo.

– Zdajesz sobie chyba sprawę z faktu – zaczął Holt, prowadząc Geralta do stodoły – że w sprawie z tym dezerterem to się od stryczka wymigałeś właściwie cudem. Zabiłeś człowieka mieczem. Nikogo nie obchodzi, czy działałeś w obronie własnej, czy innej niewinnej ofiary. Wiedźmini nie są lubiani. Za zabicie człowieka możesz zawisnąć, z wyroku sądu albo skutkiem linczu. Dlatego na ludzi lepiej nie dobywać miecza. Na ludzi są inne sposoby.

– Znaki?

– Nie tylko.

W stodole, zupełnie pustej, wkopano w polepę cztery pale, zakończone wykonanymi z twardej skóry imitacjami ludzkich głów i torsów.

– Wszystko, co ci tu zademonstruję – Holt zdjął kubrak, podwinął rękawy koszuli, naciągnął grube rękawice do jazdy, drugą parę dał Geraltowi – ma służyć wyłącznie obronie własnej. Podkreślam i zaznaczam: tylko i wyłącznie obronie. Jesteś wiedźminem, nie opryszkiem ani zabijaką. Miej to w pamięci.

Geralt potwierdził kiwnięciem, że ma w pamięci.

– W Kaer Morhen – podjął Holt – z pewnością niewiele się zmieniło od moich czasów, a za moich czasów tłukliśmy się na pięści regularnie. Fajnie jest bić gołą pięścią, co? To takie miłe i naturalne, że chyba wręcz atawistyczne. Czasami zresztą inaczej niż gołą nie można, zwłaszcza, że tak powiem, w afekcie. Gdy jednak afekt ustąpi miejsca rozumnej premedytacji, trzeba myśleć o grożących poważnych urazach dłoni, nadgarstka, palców lub wszystkiego naraz. Walenie gołą ręką czasem gorsze ma skutki dla bijącego niźli dla bitego.

– Dlatego, chłopcze, przydaje się narzędzie. Tak, tak, wiem, nie musisz mi przypominać. Każdy z twoich mieczy ma głowicę, trudno o narzędzie lepsze. Warto też zaopatrzyć się w mający solidną rękojeść nóż. Dobry jest kastet. Wiele miejsca nie zajmuje, a bywa

diablo skuteczny. Solidny kij też warto nosić, a to choćby z uwagi na psy. Są dużo niebezpieczniejsze od ludzi.

– Nie wspominając o mieczu, nożu czy kastecie, nawet laga może być jednak traktowana jako broń, narzędzie niebezpieczne, którego użycie – choćby w obronie – może mieć konsekwencje, o których wspominałem. Warto więc nosić przy sobie coś niepozornego. Kawałek metalu. Choćby klucz. O, proszę. Taki właśnie.

– Weź, od dziś będzie to twój klucz. Dla wyjaśnienia – nie pasuje do żadnego zamka, znalazłem go na śmietniku.

– Teraz sobie szybko przypomnimy, co też znaleźć można na ludzkiej głowie. Do demonstracji posłużą nam te oto człekokształtne manekiny, wykonane z formowanej na gorąco bawolej skóry specjalnie na moje zamówienie.

– Bregma, inaczej łbisko! – Holt z całej siły grzmotnął skórzane popiersie, aż kurz poszedł, a słup się zakołysał. – Styk kości czołowej i ciemieniowej, pod którymi leżą płat czołowy i kora ruchowa, obszary mózgu odpowiedzialne za ruch. Solidnym walnięciem można obezwładnić. No, teraz ty. Walnij parę razy w bregmę. Pięknie. Wrodzony talent. A może trening w Warowni?

– Skroń, wbrew rozpowszechnionym poglądom, wcale najlepszym celem nie jest. Jeśli już, to korzystniej uderzyć w kość klinową, położoną o, tu, specjalnie zaznaczyłem farbą. – Holt ponownie grzmotnął w manekin. – Pod tą kością biegnie arteria skroniowa. Cios powoduje krwotok i śmierć. Rzecz jasna, zastosowanie mają tu moje poprzednie uwagi. Za zabójstwo grozi stryczek. A ty, przypominam, uczysz się walki obronnej, nie napaści.

– Kości oczodołowe, tego zapewne też cię uczono, to miejsce wrażliwe. Siła uderzenia przenosi się na płat czołowy, rezultatem jest utrata przytomności. Teraz ty. Uderz!

– Nasada i grzbiet nosa, jak wie każdy, kto się w młodości bił, pod ciosem łatwo łamie się i kruszy. Cios prosty w nos powoduje dotkliwy ból i silne krwawienie, czasem zdolne wyeliminować przeciwnika z walki. Odważniejszego i silniejszego, warto o tym pamiętać, nie wyeliminuje, najwyżej rozwścieczy. Dlatego znacznie lepszym celem jest – natęż uwagę, to ważne – położona pół cala nad nasadą nosa glabella, zwana też gładzizną lub gładyszką. To niesłychanie wrażliwy punkt. Silne uderzenie uszkadza płat czołowy, efektem jest wstrząs mózgu i utrata przytomności. Dalej, zademonstruj mi parę ciosów w glabellę. Pięknie!

– Pod nosem, ćwierć cala pod nim, mamy tak zwany szew międzyszczękowy. Dobry cel dla pięści. Cios kruszy przednie zęby i kości nosowe, co samo w sobie jest ekstra widowiskowe i pioruńsko skuteczne. Ale nie koniec na tym. Kości szczękowe łączą się z neurocranium, czyli mózgoczaszką, efektem uderzenia jest więc zazwyczaj wstrząs mózgu. Słyszałem też – sam tego nie praktykowałem i nie doświadczyłem – że silny i wprawny cios w szew międzyszczękowy zdolny jest uszkodzić drugi krąg szyjny, a konkretnie ząb kręgu, tak zwany dens – czymkolwiek jest ów dens. Skutkiem, jak mnie zapewniano, jest trauma pnia mózgu. Coś takiego wyeliminuje z walki każdego agresora.

– Teraz słów kilka o szyi. Uderzeniem w szyję można zabić, jeśli celnie i mocno uderzy się o, w ten punkt, poniżej za uchem, w część czaszki zwaną wyrostkiem sutkowatym. Również zaznaczyłem farbą. Precyzyjne i silne uderzenie w ów wyrostek, zwłaszcza przy użyciu czegoś w rodzaju twojego klucza, rozrywa tętnicę kręgową, biegnącą o, tędy, w wyrostkach kręgów. Rozerwana tętnica kręgowa to natychmiastowa utrata przytomności i nieunikniona śmierć. Jeśli już koniecznie trzeba kogoś pozbawić życia, to wyrostek sutkowaty jest niezłym sposobem. Dalej, zademonstruj uderzenie w wyrostek. I jeszcze raz! Dobrze.

– Szyja to jednak przede wszystkim krtań. U ludzkich mężczyzn uwydatniona grdyką, czyli wyniosłością krtaniową, *prominentia laryngea*. Krasnoludy i gnomy, jak wiesz, również taką prominencję mają, elfy i inne hominidy nie. Ale do rzeczy: cios w to miejsce skutkuje krwotokiem wewnętrznym, a puchnące tkanki miękkie blokują tchawicę. Uderzony, jeśli nie otrzyma natychmiastowej pomocy, dusi się. To również niezły sposób na pozbawienie kogoś życia. Zwłaszcza jeśli trzeba po cichu. Widzę, że chcesz o coś zapytać.

– Tamten chłop, w Spynham... Ten, który bił kobietę. Nie dostrzegłem, w co go... Przeżył?

– Natura bywa nieodgadniona. Nie widzę jednak powodu, by się zamartwiać. I w ogóle sobie tym głowy zaprzątać. Trenujemy dalej. Pokaż mi, Geralcie, kilka ładnych ciosów w grdykę. I na tym zakończymy.

Na obiad był królik duszony z cebulą i selerem.

●

Nazajutrz przyszła kolej na kije. Wyślizgane od użycia dębowe pałki długości trzech stóp. Zastępujące miecze.

Niesprawna noga, jak się okazało, nie przeszkadzała Holtowi w fechtunku. Ruszał się jak fryga.

Zaatakował bez uprzedzenia, Geralt sparował kwartą ku prymie, lecący na niego z molinetto kij odbił wysoką secundą dexter. Sam skontrował tercją mezzocerchio, Holt wziął na forte tercją ku kwarcie, zawirował, błyskawicznie zaatakował z finty. Geralt sparował primą i z półobrotu skontrował mocnym mandritto. Holt sparował wysoką oktawą, nietypową paradą.

Stuk kijów niósł się po podwórcu. Tak głośno i takim szybkim rytmem, że aż przywabił rządcę i pachołka.

– Masz tendencję do wychodzenia z volty i cięcia mandritto, młody Geralcie. Masz silne mandritto, przekonał się o tym tamten dezerter. Cięcia silne, ale takie jakieś bez gracji ani finezji…

– A po co komu gracja i finezja? Rąbie się, by zabić.

– Ale żeby zabijając nie popadać w rutynę, spróbuj dla odmiany roverso. Czyli, żeby użyć terminologii Vesemira, sinistru. Cięcie równie zabójcze, upewniam. Czyli odwrotnie, passo largo prawą stopą, półobrót, molinetto i roverso. Poćwiczymy?

Poćwiczyli.

Przez ponad godzinę żaden nie zdołał trafić drugiego kijem. Równie dobrze mogliby walczyć bez ochraniaczy.

– Nieźle, młody wiedźminie, nieźle. Vesemir, jak konstatuję, nic nie stracił ze swej formy i nadal nieźle uczy. Finis, skończmy na dziś. Na zakończenie zaś… Takie małe memento.

Błyskawicznie zaatakował, gran passatą prawą stopą i tak silnym molinetto, że Geralt musiał sparować serpentyną. Holt z wygięcia tułowia wykonał fintę mandritto na lewą skroń, molinetto, contratempo passo largo lewą nogą, powtórne molinetto, tramazzone i…

Geraltowi rozbłysło w oczach, nie wiedzieć kiedy znalazł się na ziemi. Twardo wyrżnął w nią tyłkiem. W głowie huczały mu i brzęczały roje pszczół. Dostał w skroń, bardzo mocno. Skórzany ochraniacz przydał się jednak.

– Co to było? – spytał oszołomiony.

– Gracja, Geralcie. Gracja i finezja.

●

Ciało Holta, gdy rozebrał się w łaźni, okazało się być mapą obrażeń i kroniką wypadków.

– To tutaj, to kikimora. – Wskazał półksiężycowy rząd śladów zębów na lewym bicepsie. – Zaskoczyła mnie.

Potworna blizna na łopatce okazała się być pamiątką po pazurach sierposza. Szramę powyżej prawego biodra pozostawił szpon gryfa, lewy bark zaznaczyły kły wippera.

Najpaskudniejszy ślad pozostawiło starcie z meganeurą. Lewe udo starego wiedźmina było zdeformowane, oprócz znaków szczęk nosiło ślady chirurgicznych cięć i szycia, od biodra niemal do kolana.

– Do tego – Holt polał się wodą z ceberka i chlasnął po plecach brzozową miotełką – dochodzi jeszcze łydka, o, zobacz. Wiesz, kto mnie tak urządził? Podwórkowy pies rasy kundel. Zabiłem skurwysyna. No i jeszcze czaszka, miewam zawroty głowy. Oberwałem w łeb kuflem w tawernie w Novigradzie. Tak, tak, młody Geralcie. Wiedźmińska skóra to dziejopis. Zimą, gdy wrócisz do Rocamory, obejrzymy i podliczymy twoje memuary. Bo bez nich się nie obejdzie. Nie straszę cię. Stwierdzam fakt.

Medalion na szyi Holta przedstawiał głowę żmii z wielkimi zębami jadowymi.

Geralt długo wahał się z zadaniem pytania. Tak długo, że wreszcie Holt odpowiedział. Sam. Bez pytania.

– Tak, byłem w Kaer Morhen wtedy, trzydzieści pięć lat temu. Kiedyś ci i o tym opowiem. Nie dziś.

– Ale…

– Używałem wtedy innego imienia. Nie dziwię się, że Vesemir zataił je przed wami, mówiłem, nasze drogi rozeszły się. A ja przeszedłem na prawdziwe imię i nazwisko. Bo znałem je, trzeba ci wiedzieć.

– Gdy mnie matka podrzucała – wyjaśnił, widząc pytające spojrzenie Geralta – gdzieś w Kovirze podobno, włożyła w becik karteczkę. Zdarza się, że te umiejące pisać dokładają podrzutkowi karteczkę z personaliami… zwykle tylko datę urodzenia. Czasem imię, ale czasem też imię ojca lub nawet ojca nazwisko. Łaskawe

niewiasty z kovirskiego sierocińca przechowały karteczkę i przekazały wiedźminom, którzy mnie z sierocińca zabierali. A kiedy żegnałem się z Kaer Morhen – a nie było to pożegnanie kordialne – Vesemir zdradził mi prawdziwe personalia. Bo Vesemir, jak i stary Byrnjolf przed nim, ma archiwum takich dokładanych podrzutkom karteczek, ale nie pozwala nikomu doń zaglądać. Jednak czasem robi wyjątki.

– Robi. – Geralt ożywił się. – Stąd wiem, że mój druh Eskel naprawdę nazywa się Esau Kelly Kaminski. Ale Eskel nie polubił nazwiska. I trudno się dziwić. Wymyślił sobie skrót od obu imion.

– A tobie, gdy wyruszałeś, Vesemir zdradził, kim jesteś?

– Nie.

●

– Kiedy nauczysz mnie tej finty? Tej... gracji? Mandritto, a potem dwakroć molinetto i tramazzone...

– Primo, ja nie prowadzę szkółki szermierczej. A secundo...

– Tak?

– Muszę mieć przed tobą jakieś malutkie sekrety, prawda?

●

– Masz, przymierz.

Kurtka była z miękkiej skóry, z nabitymi na ramionach i rękawach srebrnymi ćwiekami.

– Nowiutka, a już mi się nie dopina na brzuchu. A na tobie, ha, proszę, proszę, leży jak ulał. No to od teraz będzie twoja. A tu masz jeszcze do kompletu rękawice. Nie dziękuj.

●

Wreszcie, a było to w połowie maja, na początku miesiąca Blathe, przyszło pożegnać się z Rocamorą. Z waleniem pięściami

skórzanych manekinów. Z szermierką na kije. Z napchanym grochowinami siennikiem. Z zawijanymi zrazami, gołąbkami z kapusty i naleśnikami z miodem.

Przyszło wsiąść na siodło.

Preston Holt poprawił troki i rzemienie juków Geralta. Sprawdził popręg i sprzączki puślisk. Strzemiona.

Potem sprawdził wszystko jeszcze raz.

– Finalnej decyzji – stwierdził wreszcie – względem współpracy ze mną nadal nie podjąłeś. Nie nalegam, nie zmuszam, cyrografu do podpisu nie przedkładam. Na razie działamy na zasadzie dobrowolności i wzajemnego zaufania.

Brama Rocamory rozwarła się ze skrzypem i zgrzytem.

– Ruszaj na szlak, wiedźminie Geralcie.

Marchia Dolna od południa o rzekę Pontar się opierała. Władztwo tam z dawien dawna ród Mansfeldów dzierżył, panów bogatych i sobiepańskich, własną armię mających. Ci w roku 1215 post Resurectionem królestwo Aedirn zbrojnie najechali i Pontar przekroczywszy marki swoje w rzeczkę Dyfne wbili, tu nową granicę Marchii proklamując. Król Videmont z Aedirn za casus belli to uznał i całym wojskiem swym na agresorów uderzył. W walkach srogich Mansfeldowie z powrotem za rubież Pontaru byli wyparci. Od tamtych pór cięgiem tam do potyczek dochodzi i granica „płonącą" nazywana bywa.

W herbie mają Mansfeldowie głowę dzika – d'argent, hure de sanglier arrachée de gueules. Takież i całej Marchii jest godło.

Baldwin Adovardo, *Regni Caedvenie Nova Descriptio*

Rozdział piąty

JWPanu Prefektowi Straży
Estevanowi Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Napisany: w Ban Fillim, maja 22-go, w roku 8-mym panowania najjaśniejszego króla Miodraga

JWPanie Prefekcie,

uniżenie donoszę, jako wedle rozkazu objąłem byłem posiadłość zwaną Rocamorą ścisłym dozorem. Ku żalowi niestety uwiadamiam, że wewnątrz posiadłości konfidenta

już nie posiadam, gdyż podejrzany wiedźmin Holt cosik zwąchał i mego konfidenta z posiadłości był przepędził, pierwej na ciele go srodze pokarawszy. Groził podejrzany Holt, że konfidentowi, wybaczenia proszę, nogi z dupy powyrywa, co samo w sobie niecnoty jego dowodzi i kary woła. Co się tedy w posiadłości robiło ani o czym się tam mówiło, wiedzieć już nie mogę ani donieść nie mogę, jakbym bardzo nie pragnął, za co wybaczenia proszę.

Donoszę wszakoż, jako ten drugi wiedźmin, młodzik, co się w posiadłości Rocamora od wczesnej wiosny krył, jakoś tak koło połowy maja miesiąca wyjechał stamtąd konno i ku Marchii Zachodniej gościńcem powędrował.

Co do podejrzanego Holta, to ten z posiadłości na krok się nie ruszył, a medyka tam wzywano, z czego wnoszę, że z kalectwem owego Holta nie najlepiej jest. O czym uniżenie donoszę, o dozgonnym swym posłuszeństwie zapewniam i szczęśliwości wszelkiej JWPanu Prefektowi życzę.

Z poważaniem wielkim,

Uger Zolteri,
agent śledczy kor.

●

Miasteczko Belvoir leżało w śródleśnej dolinie. Ze wzgórza, na które wjechał, Geralt mógł się dokładnie przyjrzeć. I ocenić, że Belvoir było co najmniej dwukrotnie większe niż odwiedzone w marcu Spynham. Zabudowa miasteczka wydawała się też znacznie gęstszą, ze wzgórza widoczna była plątanina ciasnych uliczek, istny labirynt. Dobrze się tedy składało, że miejsce, do którego Geralt zmierzał, położone było na samym skraju i zabłądzenia w labiryncie nie trzeba było się lękać.

Miasteczko otaczał pierścień ogrodowizny i sadów, pełnych kwitnących właśnie pięknie jabłoni i wiśni.

Budynek ze stromym dachem z czerwonej dachówki był w uliczce jedynym, dostępu do którego bronił parkan, wysoki, nie pozwalający widzieć tego, co było za nim. W parkanie była kryta daszkiem dwuskrzydłowa brama, szeroka, dla konnych wozów. Głębokie koleiny dowodziły, że wozy wjeżdżały tamtędy często. Obok bramy była furtka, nad nią zaś wisiał mosiężny dzwon.

Geralt pociągnął za sznur, dzwon zadzwonił donośnie i dźwięcznie. Po chwili furtka otwarła się, stanął w niej odźwierny.

Odźwiernym był kawał chłopa. Nosił kabat ze skórek króliczych. Aby uszyć kabat dla człowieka normalnych rozmiarów, potrzebne było trzydzieści takich skórek. Odźwierny różnił się od normalnego człowieka o jakieś drugie trzydzieści.

Zobaczył dwie rękojeści nad prawym barkiem Geralta, zmarszczył się, ale o nic nie pytając, wskazał na bramę wjezdną. Ta wnet otwarła się, a Geralt mógł wjechać do środka.

Na niewielkim podwórzu zjawiło się dwóch następnych typów. Przeciętnych rozmiarów. Króliczych kabatów nie nosili, ale jakby co, to trzydzieści skór byłoby dla nich jak obszył. Jeden z miejsca zajął się koniem. Drugi w milczeniu odebrał od Geralta oba miecze.

Domostwo miało elegancki ganek z balustradką, ze spadzistym daszkiem podtrzymywanym czterema rzeźbionymi słupami. Na ganek wiodły schodki. Przed którymi kazano Geraltowi stanąć.

Stanie przedłużało się. Zdecydowanie ponad to, co Geralt mógłby uznać za zwyczajowe i dopuszczalne. Dobrze zatem się stało, że na ganek wyszedł wreszcie smagły mężczyzna w bordowym kaftanie ze złotym kwiecistym haftem i dwoma rzędami szmuklerskich guziczków. Mężczyzna dzierżył w dłoni batystową chusteczkę, którą co i rusz ocierał usta.

– O, młodości – powiedział, wpijając w Geralta czarne oczy – tobie nic, tylko nad poziomy wylatywać. I kwitnąć kwitnąco. Ach! Któż z nas nie był dzieckiem? Prawie każdy.

Geralt nie skomentował.

– Gdybyż jeszcze – mężczyzna otarł usta chusteczką – tej młodości doświadczenia trochę towarzyszyć chciało. Odrobinkę eksperiencji. Empirii. Ale cóż, w tym ambaras, aby naraz. Albo, albo. Preston Holt, tuszę, wie, co robi?

Geralt ani nie potwierdził, ani nie zaprzeczył.

– Ty zaś, młodzieńcze, wiesz, co robisz?

Geralt wzruszył ramionami. Mężczyzna westchnął.

– Jestem Timur Voronoff.

– Geralt.

Timur Voronoff otarł usta chusteczką. Oparł się o balustradkę.

– Geralt. Przaśnie bardzo. Nie warto było upiększyć przybranego imienia o jakieś „de"? O jakiś szlachecki przedrostek? Ach, pojmuję. Nie lubimy gadać. Wolimy mieczem robić? Podziwu i aplauzu godne. Bo i mnie przysporzy to intraty. Wejdź. Są sprawy do omówienia.

Zaproszenie, jak się okazało, nie obejmowało bynajmniej domu, lecz wyłącznie duży, acz niezwykle skąpo umeblowany przedpokój. Timur Voronoff wskazał Geraltowi krzesło przy stoliku, sam zasiadł naprzeciw.

Z głębi domu dobiegały głosy dzieci, co najmniej trojga z nich. Dolatywał też stamtąd miły zapach jajecznicy. Na boczku. Albo szynce.

Voronoff złożył wreszcie chusteczkę i schował ją w zanadrze.

– Omówienia – zaczął – wymagają przede wszystkim kwestie organizacyjne i finansowe. Zakładam, że twoja umowa z Holtem jest w mocy? Bo wszak zawarliście jakąś umowę, czyż nie tak?

– Działamy na zasadzie dobrowolności i wzajemnego zaufania.

– Innymi słowy umowa ustna. Co nie zmienia faktu, że wyruszasz na wiedźmiński szlak jako jego *per procura*.

Geralt nie wiedział, co to *per procura*, ale znaczenie odgadł. I potwierdził kiwnięciem głowy.

– Niejako automatycznie zatem – podjął Voronoff – czyli *per facta concludentia*, obowiązuje cię umowa Holta ze mną. Jestem od dziś, to jest od dnia dwudziestego pierwszego maja roku tysiąc dwieście dwudziestego dziewiątego, twoim agentem wyłącznym na teren królestwa Kaedwen i wszystkich czterech jego marchii. Moja prowizja wynosi dziesięć procent. Od każdego twojego wiedźmińskiego zarobku.

Geralt potwierdził kiwnięciem głowy.

– Teraz kwestie finansowe. Holt wyposażył cię w jakieś środki?

– Mam pięćdziesiąt marek.

– Dostaniesz drugie pięćdziesiąt i trzy asygnacje podróżne na dwieście marek każda, na nieprzewidziane wypadki. Owe wypadki, o ile zaistnieją, rozliczysz ze mną na podstawie kwitów, toteż nie zapomnij każdorazowo o taki kwit się upomnieć. Natomiast twoje *per diem* na własne utrzymanie i wydatki drobne wynosić będzie pięć marek ryczałtem, poczynając od dnia dzisiejszego. Ryczałt ten możesz oczywista potrącać ze swoich zarobków.

– Ile będziesz żądał za twoje wiedźmińskie usługi, pozostawiam w zasadzie twojemu uznaniu, posiadasz, zakładam, dostateczną wiedzę, by umieć przekalkulować ryzyko na wysokość zapłaty. Nie powinieneś jednak psuć rynku. Żadną miarą. Holt nigdy nie brał mniej niż pięćdziesiąt koron. Ty też nie ceń się niżej.

– Dla przypomnienia: oficjalną walutą Kaedwen jest marka, ale korony novigradzkie są tu w popularnym obiegu i często ceny, zwłaszcza wysokie, liczy się w koronach właśnie. Średni i w miarę stabilny kurs to pięć marek za koronę.

– Żywą monetą nie obarczaj się bez konieczności, wpłacaj wszystko na moje subkonto w krasnoludzkich bankach lub kantorach, u Vivaldich, Cianfanellich, Mantovanich lub Bonich. Wszędzie mam otwarte rachunki, dość będzie przy wpłacie wymienić moje nazwisko. Jeśli byłbyś wynajęty przez jakiś oficjalny aparat, dajmy na to władze terenowe, zwykle możliwe będzie rozliczenie od razu przez bank, bezgotówkowo. Jasne?

Geralt potwierdził kiwnięciem głowy.

– Jeśli już o transakcjach bezgotówkowych mowa, to nie akceptuj żadnego barteru. Bywa, że za usługę zaproponują ci wieprzową półtuszę, kojec kur albo noc z lokalną pięknością. Zwłaszcza to ostatnie może cię nęcić, ale, powtarzam, nie akceptuj nigdy. I nie chodzi tu tylko o fakt, że od takiego barteru trudno mi policzyć moją prowizję. Nie psuj rynku. I sobie opinii. Stracić łatwo, odzyskać trudno.

Dzieci wewnątrz domu ucichły. Jadły, widać.

– Jak zapewne wiesz – podjął Voronoff – królestwo Kaedwen składa się z dzielnicy centralnej, zwanej królewską, otoczonej przez Marchie. Nazwa „marchia", jak zapewne wiesz również, bierze się od marek, czyli znaków granicznych…

– Wiem to.

– Gdy Kaedwen powstawało – Voronoff nie przejął się tym, co Geralt wiedział – w założeniu miało nie posiadać ściśle wytyczonych granic, każdej Marchii zadaniem i racją bytu było swoje marki coraz to dalej i dalej stawiać i granice rozszerzać. Z początku tak faktycznie było, dziś granice królestwa w większości się ustabilizowały. Ale ekspansja, choć na znacznie mniejszą skalę, trwa nadal, osadnicy rozłażą się we wszystkich kierunkach i penetrują pograniczne pustkowia. A pustkowia, jak to pustkowia, roją się od potworów. Na brak pracy nie powinieneś, widzi mi się, narzekać nigdzie.

– Przejdźmy tedy *ad rem*. – Voronoff jak nic uparł się na słowa dla Geralta obce. – Sugeruję, byś udał się na północ, do Marchii Górnej. Trwa tam budowa Wielkiej Drogi, przesieką przez lasy Gór Pustulskich. Wiedźmina wyglądają tam pilnie od dawna. Co prawda doszło do moich uszu, żeście w tamtej okolicy narobili sobie z Holtem wrogów, ale się nie przejmuj, postarałem się rzecz załagodzić.

– Po drodze kontaktuj się z lokalną administracją i wypatruj na rozstajach tabliczek na słupach. To przyjęty sposób sygnalizowania, że gdzieś pomocy wypatrują i że gdzieś wiedźmin potrzebny. Był czas, że takich tabliczek nie wieszano, a wiedźmini nie byli nigdzie w Kaedwen mile widziani… Wiesz o tym, prawda?

– Prawda.

– Dla wyjaśnienia – Voronoff uniósł głowę – ja nie udzielam ci nauk ani nie sprawdzam wiedzy. Wykonuję obowiązki agenta, a obowiązkiem agenta jest informować. Informuję więc dalej. Zły czas dla wiedźminów, o którym mówiłem, szybko minął. Ludzie pojęli, że jeśli monstra czy uroki, to wyłącznie od was mogą oczekiwać ratunku, od nikogo innego. Kochać to tu w Kaedwen nie kochają was nigdzie, na szyję się nie rzucają ani kwiecia pod nogi nie sypią, ale gdy trwoga, to wołają pomocy i gotowi są za nią płacić.

Dzieci wewnątrz domu uporały się widać ze śniadaniem, bo wznowiły czynienie harmideru. Voronoff kilkakrotnie obejrzał się, niedwuznacznie dając znać, że należałoby kończyć audiencję.

– Masz jakieś pytania?

Geralt milczał czas jakiś. Zastanawiał się.

– Ten zły czas dla wiedźminów – spytał po zastanowieniu – to mniej więcej rok tysiąc sto dziewięćdziesiąty czwarty?

– Mniej więcej – Voronoff zmrużył oczy – tak właśnie.

– Holt był wtedy w Kaer Morhen, tak? Co się tam wówczas stało?

Voronoff patrzył na Geralta czas jakiś. Po czym otarł usta chusteczką.

– Z pytania wnoszę – powiedział wreszcie – że sam Holt o niczym ci nie opowiedział. Dlaczegóż więc miałbym opowiadać ja?

– Obowiązkiem agenta jest informować. No to mnie poinformuj.

– Informuję – odrzekł po chwili milczenia agent – że nie dysponuję w poruszonej sprawie niczym, o czym mógłbym poinformować. A teraz żegnam. Wskakuj na siodło i ruszaj na szlak.

Studiujecie bestiariusze, by zdobyć wiedzę o tym, z czym przyjdzie wam walczyć. Zapamiętajcie jednak, że wiedza to nie wszystko. Księgi nauczą was o znanym wiadomym – o potworach, o których wiemy, że je znamy. Księgi pozwolą wam też pojąć, że istnieją znane niewiadome – potwory, o których wiemy, że ich nie znamy. Żaden jednak bestiariusz ani żadna księga nie przygotują was na nieznane niewiadome. Na potwory, o których nie wiemy, że ich nie znamy.

Vesemir z *Kaer Morhen*

Rozdział szósty

Wieś – dobrych trzydzieści dymów – leżała w zakolu rzeczki o płaskich, porośniętych tatarakiem brzegach. Opodal błyskała w słońcu tafla niedużego stawu, okolonego pierścieniem wierzb. Za wsią był bór, czarna ściana gęstwiny i starodrzewu.

Wyboisty gościniec wiódł wprost do wsi, na majdan. Dostępu, oddalona o jakieś stajanie, strzegła jednak jedna samotna zagroda. Dochodziło stamtąd, słyszalne mimo oddalenia, dźwięczne ding-ding-ding metalu o metal.

Pierwsze zauważyły go buszujące wśród pokrzyw perliczki, podnosząc nieopisany raban. Zwyczajna rzecz, wszyscy bez mała wieśniacy trzymali perliczki, nic tak nie alarmowało o intruzach, jak perliczki właśnie. Dopiero w drugiej kolejności, gdy już niemal był na podwórzu, zbudziły się psy. Szczekliwe i zajadłe, ale na szczęście przywiązane.

Metaliczne dźwięki dobiegały z otwartego, zadaszonego pomieszczenia. Migotał tam ogień. Czasem buchała para.

Geralt zsiadł z konia, zarzucił wodze na palik.

Wewnątrz, w rozbłyskach płomienia, kilkunastoletni chłopak dął w miech, powisając na uruchomiających ustrojstwo powrozach. Niziołek w skórzanym fartuchu stał przy kowadle, waląc młotem w trzymaną w obcęgach podkowę. Zauważył Geralta, mimo tego nie przestał walić. Geralt czekał, nie podchodząc.

Niziołek zaprzestał walenia, zanurzył podkowę w cebrze. Zasyczało, buchnęło cuchnącą parą.

– No i?

– Tabliczka na rozstaju. „Wiedźmin potrzebny".

Niziołek rzucił podkowę na stosik innych podków. Odłożył młot, otarł czoło z potu. Usmolony, w migotliwych błyskach żaru, wyglądał jak mały diabeł.

– Może i potrzebny – powiedział, w ogóle na Geralta nie patrząc. – A bo co?

– Ja jestem wiedźminem.

– Tak? – Niziołek spojrzał z niedowierzaniem. – Ty? Wiedźminem? Od wczoraj chyba.

– Dłużej. Trochę.

– A jakże, widzę, że trochę. Bez obrazy, ale choć włos biały, to liczko młodziutkie. I zarost nikczemny. O pomyłkę nietrudno. Tedy upewnić się chciałem.

– Upewniam. Starszym nad osadą kto jest? I gdzie go znajdę?

– Nie warto szukać. I nie warto do wsi wjeżdżać.

Geralt milczał przez chwilę. Zastanawiał się, czy użycie brzydkich słów pomoże mu, czy zaszkodzi.

– Jeśli do wsi nie wjadę – spytał wreszcie – to jak się rzeczy dowiem? Od kogo?

– Ode mnie. – Niziołek dał znać chłopcu, by zostawił wreszcie miech w spokoju. – Jak godność?

– Geralt.

– A jam jest Augustus Hornpepper. Kowal tutejszy. Tabliczka na rozstaju moją uczyniona była sztuką. Bom jest gramotny. Po szkołach. Starsi nad gromadą mnie więc rzecz powierzyli, znaczy się tabliczkę napisać i wiedźmina, gdy się zjawi, przywitać. Witaj więc.

– A do wsi – podjął, widząc, że Geralt nie odwzajemni grzeczności – wjeżdżać nie trza. Przestrzegli, że nie trza. Nijak, rozumiesz?

– Nie.

– Nie chcą cię tam! – wypalił kowal tutejszy. – Nie chcą i już. Mnie sprawy powierzono, ze mną gadaj i ze mną targu dobijaj. Ze mną. Bom nie dość, że niziołek, to jeszcze i kowal. Niziołka żadne czary się nie imają, a do kowala żadne licho nie ma przystępu. Ja się wiedźmina nie przelęknę.

– A ci we wsi co tacy lękliwi?

– Żarty sobie stroisz. Wiadomo, że za wiedźminem wszelkie zło się ciągnie i paskudne miazmaty, że zawsze jakąś on plagę przywlec może, nawet mór. I potem co, spalić wszystko, czego się dotknie? Nadto dziewek młodych we wsi jest co niemiara, a upilnujesz to wiedźmina? Zauroczy, wyrucha i masz babo placek. Wydaj toto później za mąż.

Mówiąc, kowal szczerzył zęby. Pacholik natomiast, otwarłszy usta, patrzył na Geralta wzrokiem pełnym strachu.

– Dobra – niziołek spoważniał – dość facecji. Siadaj, o, tu, na ławie.

– Nie szkoda ławy? Bo pewnie trzeba będzie spalić?

– Ja się nie boję. Tu kuźnia, tu czary nie działają.

Geralt usiadł. Augustus Hornpepper też usiadł, na zydlu naprzeciw. Pacholik też usiadł. Na polepie w kącie.

– Jakoś tak będzie z rok temu – zaczął niziołek – zdarzył się we wsi pomór. Gadzina zdychać jęła. Jałówki i woły. Kury się nie niosły. Chłop siano kosił, kosą się zaciął. Baba jedna poroniła. Otrok ze stryszku spadł, nogę złomił. Sołtys sraczki dostał, dzień i noc całą z wychodka ani rusz. Słowem, nie zliczyć nieszczęść. Dumali ludziska, dumali, aż wydumali. Że to uroki są.

Geralt grzecznie milczał.

– A żyła we wsi starucha – podjął po chwili Augustus Hornpepper. – Stara jędza, krzywa jak pałąk od wiadra, z brodawką na nosie. Zielarstwem się parała. Ją to przyuważono, że koło kurnika się kręciła, tego, co to się w nim kury nieść przestały. I do stawu napluła, a wnet ryby brzuchem do góry wypłynęły. No to wzięli tę staruchę i do tegoż stawu ją. Chlup! Patrzą: nie tonie. Znaczy, czarownica. Wyłowili…

– I spalili.

– Tak. Ale wcześniej kark skręciwszy.

– Słucham dalej.

Augustus Hornpepper zacharczał, splunął do cebra z wodą.

– Miała starucha kota – podjął. – Wielkiego czarnego skurwysyna. Wiadomo, co taki kot u czarownicy robi. Chcieli złapać i też spalić, ale uciekł im. W lasy zapadł i tyle go widzieli.

– I?

– I się zaczęło. Poszedł chłopak po chrust, przepadł. Po trzech dniach znaleźli. Z gęby skóra do kości zdrapana, ręka na wpół odgryziona, brzuch rozpruty, bebechy wywłóczone. Potem jeszcze jeden. I tak samo: pazurami podarty, pogryziony, kiszki na wierzchu. Potem jeszcze jeden, identycznie. Od razu widać: kocia robota. I potwierdziło się.

– Co się potwierdziło? I w jaki sposób?

– Jeden przeżył. Będzie z miesiąc temu. Flaki oburącz podtrzymywał, ale jakoś do wsi doczłapał. Zanim skonał, potwierdził. Kot. Czarny. Wielki. Wielki jak cielak. Tedy jasna sprawa, orzekli. To kot czarownicy. Magicznie urósł i mści się za swoją panią.

– Słucham dalej.

– Do lasu już nikt nie chodzi, jak jeno kupą. A i tak niełatwo taką kupę skrzyknąć, bo wszyscy w strachu. A tam są śródleśne łąki, kosić trzeba, inaczej siana zbraknie. To i uradziła starszyzna, żeby wiedźmina wezwać. Pieniądze zebrali. Tabliczkę kazali zrobić, zrobiłem, powiesiłem. Rad jestem cię widzieć tak rychło. Miecze, widzę, nosisz. Ja zaś mam ich pieniądze w depozycie. Zabijesz potwora, wypłacę.

– Mam zabić kota. Kota czarownicy?

Augustus Hornpepper milczał przez chwilę.

– Jestem kowalem – rzekł wreszcie, patrząc na wiedźmina przenikliwie. – Żadnych czarów się nie boję, lubo sam tu czary sprawiam. A coś myślał, że jak dokonać, by twarde żelazo zmiękło i pod młotem jaki zechcę kształt przybrało? To ognista jest magia i demoniczna siła, nie inaczej. Na domiar jestem niziołek. Na wszystko odporny.

Geralt nie skomentował. Kowal znowu charknął, splunął.

– Na wszystko odporny jestem – podjął. – Na pierdolenie o czarownictwie też. Bo jak świat światem bywało, że skot padał, a kury się nie niosły. Ryby sną, gdy woda zakwita. Kosiarze się kaleczą, gdy się po pijaku kos imają. A sołtysowa sraczka? Że niby co, ponadnaturalna? A pokażcież mi, moiściewy, coś bardziej naturalnego od sraczki. Wniosek otóż nasuwa się prosty: nie było tu ni czarów, ni uroków, ni żadnego diabelstwa. Niewinnej babie kark skręcili, ot co. Widzę, że zupełnie nie wzrusza cię to, co mówię.

– Też jestem odporny.

– W twoim fachu musisz być, to jasne. Cóż, niech każdy swego pilnuje. Moja rzecz, kowadło i młot. Baba niewinna zamordowana to rzecz starosty i sądów. Twoją, wiedźmina rzeczą załatwić to, co w lesie ludzi zabija. Bo coś zabija. Choć idę o zakład, że to bynajmniej nie babciny kot. Co? Młody wiedźminie? Jak myślisz?

– Dla uproszczenia – odrzekł Geralt po chwili – przyjmijmy, że to kot. Bo to nazwa dobra jak każda inna. Przejdźmy więc do detali. Ileż to masz w depozycie? Wielaż to mi wieś za kota zapłaci?

Kowal znowu milczał czas jakiś. Potem zacmokał.

– Kazali mi – powiedział wreszcie – silnie z tobą negocjować. Zacząć od dwustu... Zaczekaj, nie kręć głową, daj mi dokończyć. Oni, choć biedaki, nie są godni, by coś dla nich utargować. Skłonni są dać maksymalnie pięćset marek, tyle naskładali. I tak ustalmy, bez targowania.

Milczenie Geralta wziął za akceptację, i słusznie.

– Rzecz jasna – dorzucił od niechcenia – nie może być z góry. Nawet o zaliczce mowy nie ma. Rozumiem ich obawy. Bo gdyby mnie, dla przykładu, mordujący niewinne kobiety lud miejscowy miał za wstrętnego odmieńca, rozsiewającego plagi i miazmaty, za łasego na dziewki zboczeńca, gdyby brzydził się mną tak, jak oni tobą... Nie uznałbym za szczególnie nieetyczne, by wziąć pieniądze z góry i zwiać. Niech mają za swoje. Nie myślałeś o tym?

– Nie. Ani przez chwilę.

– Tak przypuszczałem. W zasadzie byłem pewny. Ale co, zapytać nie wolno?

●

Skraj boru dzieliło od kuźni jakieś ćwierć stajania. W połowie tej odległości stało coś, co zapewne jeszcze jesienią było wozem z sianem, teraz zaś zmieniło się w obrośniętą ruinę, której z dawnej świetności zostały wyłącznie podwozie i koła, wykonane przez

kołodzieja z materiału lepszego niźli cała reszta. Trzy koła, czwarte było połamane. Nietrudno było zgadnąć, że uszkodzony wóz po wyprzęgnięciu konia porzucono w popłochu, by móc rączej uciekać. I nie znalazło się odważnych, by po wehikuł później wrócić.

Geralt zatrzymał się przy wozie, chwilę poobserwował skraj lasu. Potem przystąpił do przygotowań. Zgodnie z zasadami, które wpojono mu w Kaer Morhen.

Dobył miecza. Broń dość zasadniczo różniła się od zwykłych mieczy bojowych tej klasy. Miecz wiedźmina, wykuty ze stali pochodzącej z meteorytu, miał długość całkowitą czterdzieści i pół cala, z czego na głownię przypadało dwadzieścia siedem i ćwierć. Zwykłe miecze miały głownię albo o cal krótszą, albo o cal dłuższą. Miecz wiedźmina ważył trzydzieści siedem uncji. Zwykłe miecze, nawet te krótsze, były zwykle znacznie cięższe.

Sprawdził ostrość klingi. W zasadzie niepotrzebnie, bo sprawdzał zaledwie wczoraj. Ale takie były zasady.

Z torby wydobył nieduże puzderko. Wcisnął palcem sekretną, otwierającą wieczko zapadkę. Wewnątrz, w wyścielanych przegródkach, tkwiły ciasno flakoniki z ciemnego szkła. Ich zamknięcia prezentowały się równiutkimi rzędami, jak żołnierze na musztrze. Geralt zamknął oczy. Umiał – musiał umieć – rozpoznawać flakoniki dotykiem, ich miejsce w szkatułce i niepowtarzalny, łatwy do rozpoznania opuszkiem palca kształt zamknięcia. Dotknął flakoników, rozpoznawał kolejne. Eliksiry leczące: Wilga, Czarna Mewa i Czajka. Morfujące: Pliszka, Kos i Czapla. Metamorfujące: Lelek i Dziwonia.

Wypił po łyku z dwóch – Kosa i Czapli. Uznał, że to powinno wystarczyć.

Ruszył raźno w kierunku lasu, poprzez sięgające wyżej kolan trawy.

Zachód słońca miał kolor wędzonego łososia.

●

Dużo później – bardzo niechętnie zresztą – Geralt powracał myślami do tego wydarzenia. I zawsze dochodził do wniosku, że przeżył właściwie przypadkiem. Że w tym, że przeżył, jego własna zasługa była minimalna. Że życie uratowała mu, w pierwszej kolejności, pora roku. W drugiej kolejności zaś fakt, że kot, którego miał zabić, wcale nie był kotem.

●

Las był wiosenny, rzadki, jasny w świetle księżyca. I po wiosennemu wysłany dywanem butwiejących liści i opadłego zeszłorocznego suszu. Mimo tego, gdyby jednak z zasadzki atakował kot, atak byłby bezszelestny. Ale to nie był kot, jego pazury nie chowały się w miękkich opuszkach łap. I zdradziło go chrupnięcie suchej gałązki. A reakcje wiedźmina po eliksirach były na tyle szybkie, by zdołał uniknąć zdradzieckiego ataku.

Odskoczył, a w zasadzie gwałtownie rzucił się w bok, padł na kolana, cielsko atakującego potwora otarło się o niego tylko, szpony zaledwie musnęły bark. Potwór zwinął się w skoku niczym wstęga, atakował powtórnie, nim jeszcze dotknął ziemi. Geralt nie zdążył wstać z kolan, ale zdążył dobyć miecza. I ciął.

Cięcie nie było celne, ostrze miecza przejechało tylko po płaskiej głowie stwora i zgoliło mu część skalpu wraz z wyrastającym ze łba pęczkiem macek. Zorril – Geralt wiedział już, że to był zorril – przypadł do ziemi, zaszamotał łbem, siejąc dokoła krwią. Wyglądał bardziej na jaszczura niż na wielkiego kota, choć owe pęczki macek na łbie faktycznie mogły przypominać kocie uszy, a białe kły w paszczęce też trochę z kotem się kojarzyły. Chlaszczącego po suchych liściach długiego ogona stwór też używał jak kot, jako steru równoważącego skoki.

Zorril rzucił się na wiedźmina długim susem. Geralt i tym razem uniknął ataku, ale i tym razem bez gracji, odskokiem bardziej rozpaczliwym niż zręcznym. Ale ponownie zdołał ciąć, szeroko i bezładnie, ale celnie, niemal odrąbując jedną z przednich szponiastych łap zorrila. Mimo tego potwór zdążył zaczepić wiedźmina pazurami drugiej łapy, ale szpony, miast rozerwać ciało, zgrzytnęły tylko po srebrnych ćwiekach kurtki. Zorril padł na trawę, a wiedźmin ciął z góry, z całej siły. Krew trysnęła fontanną, potwór zawył okropnie, mimo rozciętego brzucha już rzucał się do kolejnego ataku. Geralt doskoczył, rąbnął, ostrze dosięgło kręgosłupa, zorril zwinął się, wrzasnął strasznie, po ludzku niemal, wiedźmin ciął raz jeszcze, ostrze doszło do rdzenia. Zorril zaszamotał się, rwąc szponami ziemię. Geralt ciął jeszcze raz, przecinając kręgi w innym miejscu. Zorril wrzeszczał i miotał się, Geralt rąbał. I też wrzeszczał. Zorril wył, Geralt rąbał. Raz po razie, jak drwal toporem. Zorril nie wył już, skrzeczał tylko.

Trochę trwało – i wymagało dalszych cięć – nim znieruchomiał.

Księżyc wyszedł zza chmur, świecił poprzez bezlistne gałęzie drzew. W jego blasku rozchlapana krew była czarna niczym smoła.

Geralt padł na kolana i zwymiotował. Wymiotował długo. A że prawie nie miał czym, proces był bardzo, bardzo uciążliwy.

Zwracane eliksiry paliły przełyk jak ogień.

Odkrycie nowego dania większym jest szczęściem dla ludzkości niż odkrycie nowej gwiazdy.

Jean-Anthelme *Brillat-Savarin*

Rozdział siódmy

Comiesięczne spotkanie Szlachetnego Bractwa Smakoszy zwołano – jak zwykle – na pierwszą środę miesiąca, wypadającą trzeciego dnia lipca. Miejscem spotkania, jak zwykle, była sala rycerska królewskiego pałacu w Ard Carraigh. Za ustawionym w podkowę stołem zasiedli członkowie Bractwa, w pełnym składzie, liczącym osób dwadzieścia i trzy. Plotki i pogaduszki przy winie z Toussaint i solonych migdałach przerwało uroczyste wejście dwudziestego czwartego członka Bractwa, króla Kaedwen, Jego Wysokości Miodraga Pierwszego.

Król wkroczył na salę sam, bez przepychu i fanfar, powitano go również bez pompy, bez wstawania z miejsc ani oklasków.

– Witam, szanowni Kamraci – rozpoczął król, ledwie zasiadł na honorowym miejscu pośrodku stołu.

Na czas spotkań Bractwa jego członkowie, niezależnie od swych tytułów i rang, zwali się Kamratami. Sam król nie był zaś wówczas królem, lecz Prezydentem.

– Danie, którym dziś ucieszymy nasze podniebienia, prawdziwy rarytas – kontynuował rzeczowo Prezydent – zawdzięczamy, jak i wiele dań poprzednich, szanownemu Kamratowi Metzgerkopowi, właścicielowi wielu znanych nam restauracji. A oto i owo danie! Prosimy!

Przemowę nagrodzono toastami. Wino z Toussaint szybko znikało z dzbanów, pachołcy żwawo biegali z kolejnymi.

Na salę wszedł, dumnie wyprostowany, główny kuchmistrz królewski, *praefectus culinae*. Za nim, niczym żołnierze na paradzie, wmaszerowali czterej brzuchaci podkuchmistrze w śnieżnobiałych fartuchach i czapkach, uzbrojeni w długie noże i tasaki wielkie jak wojenne berdysze. W ślad za podkuchmistrzami objawiło się czterech kuchcików, uginających się pod ciężarem ogromnego drewnianego nosidła. Na nosidle, w wieńcu pieczonych jabłek, spoczywał...

Kamraci ochnęli jednym głosem.

– Na bogów! – zakrzyknął kapłan Immergut. Kapłan często zaklinał się na bogów i wzywał ich instancji. Co do tego, czy w nich wierzył, były uzasadnione wątpliwości. – Na bogów! Szanowny Prezydencie! Cóż to jest?

– Ptak – oświadczył, łyknąwszy z pucharu, Abelard Levesley, główny instygator królewski. – To jest ewidentny ptak. Znaczy się, drób.

Trudno było odmówić prokuratorowi racji. W pewnej mierze. Spoczywające na nosidle coś miało rumianą po upieczeniu skórę upstrzoną pypciami po wyskubanym upierzeniu, jak również skrzydełka, udka, szyję i kuper, w który kuchmistrze dekoracyjnie wetknęli kilkanaście zielonych, połyskliwych jak u pawia piór. Względem zaś szyi, to ta, sterczącа w górę niczym maszt okrętu, miała długość mniej więcej sążnia, zakończona zaś była głową – czaszką – wielkości arbuza, uzbrojoną masywnym, długim na co najmniej łokieć dziobem.

Cały zaś drób, rozkosznie pachnący pieczenią i majerankiem, ważył, biorąc na oko, ze trzysta funtów.

– Toto ma ze trzysta funtów – ocenił Rupert Mansfeld, margraf Marchii Dolnej. – Na oko biorąc.

– To jest Ptak Rok – orzekł Akteon de La Milleraie, marszałek heroldii królewskiej, sekretarz Bractwa. – Bez wątpienia legendarny Ptak Rok.

– Legendarny, właśnie – powiedział głębokim basem Sirius Vaikinen, margrabia Marchii Pojezierne j. – Ptak Rok to ptak mityczny. Nie ma takich ptaków!

– Ależ są, są – zaprzeczył Vlastibor z Polany, ambasador królestwa Redanii. – Na Wyspach Skellige widuje się je, rzadko, to prawda, ale się widuje. Ale roki inaczej wyglądają. Ten tu to jakby struś... Ogromny struś?

– To nie struś – zaprzeczył Mansfeld. – Popatrzcie tylko na ten dziób. To jest, kurwa, jakieś dziwadło.

– Dziwadło w rzeczy samej – uśmiechnął się złośliwie Jan Eychenholtz, główny łowczy koronny. – Ejże! Szanowny Prezydencie i ty, Kamracie Metzgerkop! Nie jest to aby mistyfikacja jaka? Sztucznie uczyniona składanka z różnych części różnych zwierzaków?

– Przeczę – zaprzeczył król, nim oburzony Ezra Metzgerkop zdążył zerwać się z krzesła. – Przeczę, jakoby była to mistyfikacja czy składanka. Zresztą niech wypowie się nauka. Kamracie Croft!

– Przypuszczam – przypuścił sędziwy Euclides Croft, rektor Akademii Magii w Ban Ard – że to jest jeden z tak zwanych ptaków grozy. Prawdopodobnie mamutak, *Aepyornis maximus*. Ale te ptaki wymarły...

– A niech sobie wymarły, cholera z nimi – zawołał Mansfeld. – Grunt, że jeden się ostał i dał się upiec. Wygląda smakowicie! I pachnie cudnie! Nuże, panowie kucharze, dalejże piordnisa porcjować!

– Nim się zaś ptaka poporcjuje – zdecydował król Miodrag – szanowny Kamrat Metzgerkop uraczy nas opowieścią. Dowiemy się,

jakim sposobem ów aepyornis trafił na nasz stół. Kamracie Metzgerkop, prosimy!

Ezra Metzgerkop łyknął z kielicha, odkaszlnął.

– Zapewne wiecie, szanowni Kamraci – rozpoczął – kim są wiedźmini. Otóż jakoś tak na tydzień przed Solstycjum pewien wiedźmin objawił się był w Marchii Zachodniej, w mieście Berentrode. I zdarzyło się…

●

Illustrissimus
Estevan Trillo da Cunha
Praefectus vigilum
Ard Carraigh

Ex urbe Berentrode, die 23 mens. Junii anno 1229 p. R.

Illustrissime Panie Prefekcie,

wnet po otrzymaniu innotescencji względem inkryminowanego wiedźmina, jak wymagała tego ważność rzeczy, tak się nią *statim* zająłem. Co rychlej wysłać moich postrzegaczy *non neglexi*, by za każdym krokiem onego śledzili. Albowiem czyż mógłbym nie dość starać się o prawo i porządek ja, na czyich barkach leży ten obowiązek? Ja *semper* na zawołanie jestem JWPana Prefekta i każdy rozkaz *statim* wykonać gotówem.

Co zaś postrzegacze donieśli, jest tak, że albo ów wiedźmin chytrek jest i niczym *vulpes* ślady swych występków chwostem zamiatać umie, albo w istocie jest to prostaczek bez winy nijakiej, w co uwierzyć trudno. Ośmielam się tem niemniej zauważyć, że ów wiedźmin, n. b. Geraldem zwany, dobru okolicy walnie się przysłużył, monstra-ludojada na torfowisku naszym ubiwszy. Na nikogo

uroków nie rzucał, nie kradł i nie kombinował, dziewek nie bałamucił. W karczmach nie upijał się ani do bicia nie brał, choć go, jako wiem, miejscowi obwiesie zaczepiać próbowali.

Specjalny mój postrzegacz jeden tak się zaś przestarał, że nocami w stajniach *investigavit*, by owego Geralda *in flagrante* przychwycić. Lubo nie przychwycił. Tedy przyjąć należy, że to *probabiliter* fałsz i łgarstwo, jakoby wiedźmini z kobyłami, kozami i innymi bestyjami kopulować zwykli.

Wszelakoż w wysiłkach nie ustanę i nadal tego wiedźmina Geralda będę *invigilare*, póki w Berentrode bawi. A mówi się, że on ku Górnej Marchii ruszyć zamierza, tam, gdzie Wielką Drogę kładą. O czym JWPana Prefekta uwiadomić nie omieszkam.

Iterum JWPana Prefekta o stałej mojej gotowości służyć upewniam i pomyślności życzę etc. etc., sługa i podnóżek,

Didier Hahn, *magister civium*

●

Od strony wartkiej, pluszczącej na głazach rzeczki niosły się babie wrzaski i łomotanie kijanek. Na brzegu pracowało ze dwadzieścia praczek. Jedne zawzięcie tłukły kijankami rozpostarte na mokrych kamieniach sztuki odzieży. Inne rozwieszały upraną bieliznę na krzakach. Jeszcze inne, w parach, składały wysuszoną i układały w koszach.

Wszystkie, co do jednej, darły się, przekrzykując nawzajem. Na domiar w przybrzeżnych zaroślach buszowały dzieci, zapewne progenitura praczek. Dzieci również się darły. Nieustająco.

Geralt szturchnął konia piętą, ruszył stępa w stronę młyna, budynku częściowo skrytego wśród gęstej i pięknie już zielonej wierzbiny. Minął grupkę młodzieńców, siedzących na wysokim

brzegu i wyczekujących, aż któraś z mocno podkasanych praczek pochyli się nad praniem i da miły oku prospekt.

Geralt wstydził się przed samym sobą, ale również gapił się przez kilka chwil.

Koło młyńskie obracało się, dudniąc, woda pieniła się, spadając z łopat, z hukiem przelewała się przez stawidło i przepust. Na grobli stało kilka wozów, prawdopodobnie z dostawą ziarna albo po odbiór przemiału.

Dwa wozy, zaprzężone w perszerony, stały też w pobliżu młynówki i stawu młyńskiego, szeroko rozlanego wśród wierzb i olch. Na stawie też trwała jakaś aktywność. Geralt podjechał bliżej.

Czterech wieśniaków w słomianych kapeluszach, zanurzonych w wodzie po pas, dźgało dno stawu żerdziami. Żerdzie te następnie podnoszono, wiedźmin spostrzegł, że do każdej pary żerdzi przymocowany był spleciony z łozy więcierz czy też sak. Wieśniacy wybieraną z więcierzy zdobycz ładowali do uwieszonych na szyjach worków, po czym wznawiali bagrowanie dna.

– To o raki idzie – wyjaśnił otyły i dość bogato odziany jegomość w lisiej czapie, widząc zainteresowanie Geralta. – Trwa połów raków, których tu zatrzęsienie, a wielkich osobliwie. O, proszę, mój drogi panie, zechciejcie rzucić okiem. Proszę bliżej, proszę bliżej.

Zachęcony, Geralt podjechał do wozu. Faktycznie, stało tam już kilkanaście wiklinowych koszy, w których, chrzęszcząc wśród pokrzywowych liści, leniwie poruszały się liczne skorupiaki.

– To do mojej oberży – wyjaśnił jegomość w lisiej czapie. – Jestem, widzicie, restauratorem, mój przybytek z raków słynie, w sezonie, znaczy się. Takiej zupy rakowej, jak u mnie, mój drogi panie, nigdzie na świecie nie pokosztujesz. Nie wierzycie?

– Wierzę. Na słowo.

– Odwiedźcie mój lokal, a dowiodę, żem nie gołosłowny! Oberża „Pod Rakiem i Ślimakiem" w Ban Fearg, należąca do sieci sławnych

restauracji pana Metzgerkopa z Ard Carraigh. Stąd, z Berentrode, do mnie mil trzydzieści. Daleko, ale bliżej tyle raków nie nałapiesz. Zapraszam... Ejże! Czyście to przypadkiem, mój drogi panie, nie ten wiedźmin, co to się o nim w miasteczku tyle mówi?

– Jestem nim – potwierdził wiedźmin. – I fakt, w sumie przypadkiem.

– Ho, ho – wziął się pod boki restaurator. – Taki młody, a już taka sława! Wszyscy gadają o tym potworze, ubitym na podmiejskich bagnach. Teraz nareszcie tam bezpiecznie, przedtem przestali torf kopać ze strachu, bo potwór co i rusz kogoś uśmiercał. Bali się go jak ognia, i nie dziwota, bo straszny ponoć był, horror istny. A wyście go, mój drogi panie, chwacko, powiadają, ubili! Ho, ho, taki młody?

Geralt nie powstrzymał uśmiechu. Z kikimorą na torfowisku poszło mu dużo lepiej niż z zorrilem. Lepiej. I czyściej. Nadal bez finezji i gracji może, ale na pewno czyściej.

– A teraz wy, mój drogi panie – podjął restaurator – tutaj jesteście, u młyna. Wychodzi, tutaj też niebezpiecznie?

– Ktoś jakoby widział tu jakiegoś potwora – zdradził Geralt. – Jakoby, powtarzam. Ale to było nocą. Podobno. W dzień, w tym zgiełku i tłumie, nic tu się nie pokaże. Ja tylko teren badam, żeby...

Nie dokończył. Od strony rzeczki i piorących bab rozległy się świdrujące uszy wrzaski. Krzyki bólu i przerażenia.

Geralt, nie czekając, obrócił i poderwał konia.

Pierwsze, co z daleka dostrzegł, to jaskrawe bryzgi krwi na suszącym się płótnie. I kilka ciał.

Wrzaski przeniosły się na groblę. I wtedy zobaczył.

Ptaszysko podobne było strusiowi, miało jednak wielki łeb i ogromny dziób. I wysokie było na piętnaście jak obszył stóp. Żaden struś nie miał takich rozmiarów. Na łbie ptak nosił sterczący

grzebień, podgardle miał niebieskie i wielki pęk zielonych piór na kuprze.

Ptak w wielkich susach wpadł na groblę, dopadł uciekających ludzi. Jednego dziobnął w głowę i obalił, drugiego kopnął, raniąc pazurem trójpalczastej nogi. Zobaczył Geralta, szeroko rozwarł dziób, tak, że przełyk było widać. I wrzasnął. Jak paw – ale dziesięć razy głośniej.

Koń wiedźmina spłoszył się wrzaskiem, zaszamotał i stanął dęba. Wiedźmin spadł, uderzenie plecami o kamień pozbawiło go oddechu. Koń wierzgnął i pocwałował w dal.

Ptak w imponujących susach dopadł leżącego Geralta. Geralt leżał na wznak i nie mógł dobyć miecza, ale wyciągnął rękę i poczęstował ptaszysko Znakiem. Poleciało pierze. Uznając wiedźmina za zbyt duży kąsek, ptak hulnął w górę, wrzasnął znowu i w cudacznych podskokach rzucił się za uciekającymi ludźmi ku wozom z rakami. Perszerony pierwszego wozu zatargały się w zaprzęgu, mało nie wywalając wehikułu. Ptak dziobnął lewego lejcowego w łeb, krew siknęła wysoko. Woźnica zeskoczył z kozła i chciał uciekać, ptak dopadł go, dziobnął i kopnął. Zobaczył restauratora i wrzasnął. Restaurator też wrzasnął. Chyba nawet równie głośno. Uciekł za wóz, po czym pędem rzucił się w stronę młyna. I Geralta. Ptak nastroszył grzebień, wrzasnął i pognał za nim.

Geralt już biegł, z mieczem w dłoni.

– Na ziemię! – krzyknął do restauratora. – Na czworaki!

Restaurator, o dziwo, posłuchał natychmiast. Padł na czworaki. Geralt z rozpędu skoczył mu na plecy, wybił się wysoko i ciął zamaszyście. Prosto w niebieskie podgardle.

Głowa ptaka poleciała w stronę stawu. Sam ptak, sikając krwią z szyi, popędził wzdłuż brzegu młynówki. Przebiegł z pół sta

kroków, nim padł w sitowie. I jeszcze kilka bitych chwil wierzgał pazurzastymi nogami.

– A mówiliście… – wydyszał restaurator, gdy Geralt pomagał mu wstać. – Obiecywaliście, że nic się tu nie pokaże… A tu masz ci los… Ledwom z życiem uszedł, prawda, dzięki tobie, mój drogi panie… A mój woźnica zabity…

– Chyba żyje. Trzeba mu pomóc.

Woźnica miał rozciętą głowę, krwawił silnie. Dostał też w plecy, głęboko, ptaszysko, jak się okazywało, miało na nogach potężne ostrogi i umiało nimi kaleczyć. Geralt opatrzył woźnicę, jak mógł, podanymi pasami płótna.

Zbierał się już tłumek, ludzie oglądali cielsko. Któryś z łowców raków przytargał ucięty łeb.

– O żeż ty… – zastękał restaurator. – Co to takiego jest? Było, znaczy…

– Mamutak – odrzekł Geralt. – Zwany też aepyornisem. Rzadki bardzo. Skąd się tu wziął? I dlaczego zaatakował? Z taką furią?

– Dwoje zabitych! – zawołał ktoś z tłumu. – Sześcioro rannych!

– Co za monstrum diabelskie!

– Dajcie tu ten łeb! – zażądał Geralt. – To moja zdobycz. Jak i cały aepyornis. Zostawcie cielsko w spokoju, odgońcie psy!

– Aha – domyślił się restaurator, drapiąc się w brodę. – Przecieżeście wiedźmin. Myślicie zainkasować za ptaszysko, prawda?

– Prawda.

– Ha. Tedy, hmm… Miałbym propozycję. Zapłacę ci za całego ptaka, razem z łbem, powiedzmy… Dwieście… No, niech będzie, mój drogi panie, dwieście pięćdziesiąt novigradzkich koron…

– Chcecie go… do oberży?

– Nie inaczej. Drób jest drób, co z tego, że wielki. No, to jak będzie? Burmistrz z Berentrode nie da ci więcej, znam go, żałuje

miejskich funduszy, bo sam z nich ciągnie intraty, on i cała jego familia. A ja zapłacę gotówką. Podjedziemy do najbliższego, mój drogi panie, banku...

– Właśnie. Podjedziemy. Gdzie jest mój koń? Ludzie, nie widzieliście? Bułana klacz? Osiodłana...

– Widzielim, a jakże! Wasz sługa ją prowadził. Tamój, w stronę miasteczka!

– Jaki, psiakrew, sługa?

●

Opatrzenie ściany frontowej ratusza miasteczka Berentrode wielkim transparentem z napisem „Wypierdalaj stąd razem z twoją petycją" byłoby bardzo rozsądne. Pozwoliłoby petentom zaoszczędzić sporo czasu i wysiłku, które mogłyby być wykorzystane z większym pożytkiem dla ogółu.

Zaś Didier Hahn, burmistrz miasteczka, nie nosił na szyi ryngrafu z wygrawerowanym ostrzegawczym napisem „Wredny kutas". A powinien nosić. Mnóstwu ludziom też zaoszczędziłoby to przykrych doznań.

– Strzeż no się rzucać oszczerstwa, wiedźminie – powiedział zimno, wysłuchawszy żalów Geralta. – W Berentrode nie ma koniokradów ani złodziei. To jest urbium praworządne, zamieszkałe przez uczciwych ludzi. Tutaj nikt nie kradnie.

– Mój koń, znaczy się, ukradł się sam?

– Nie wiem. Nie jestem stróżem konia twego.

– To nie będzie żadnego śledztwa?

– Nie będzie. Nie mam do tego ani środków, ani ludzi. Moi ludzie zajęci są śledze... Zajęci są innymi sprawami. A te twoje opowieści o skradzionym koniu nie tylko oszczerstwem, ale i oszustwem zalatują. Wydrwić chcesz grosz jakiś z miejskiej kasy, tak? Bacz, bym cię do jamy zamknąć nie kazał!

– Na mocy imiennego ukazu króla Dagreada wyjmuje się wiedźminów spod jurysdykcji władz lokalnych…

– Wsadzę cię do jamy i zobaczymy, czy cię król Dagread stamtąd wyciągnie! Dość tego gadania, słuchać o tym więcej nie chcę! Oddal się! Znaczy, wynoś się z ratusza! I z miasta też!

– Piechotą?

Didier Hahn sapnął gniewnie. Wstał zza biurka, przeszedł się po komnacie.

– Dobra – powiedział. – Niech będzie. Chociażeś wiedźmin, a dla mnie zwykły wagabunda i łapserdak, choć ludność mego miasta oczerniać próbujesz, choć się ciebie stąd batami powinno pognać… W uznaniu za to bydlę, któreś na torfowisku ubił. I za ludzisków, coś ich u młyna przed tym diabelskim ptakiem ocalił, udzielę consilium. Mamy tu stadninę, prowadzi ją mój krewniak, nazywa się Beniamin Hunnicut. Ma piękne konie. Jeśli zgłosisz się z mojego polecenia, da ci zniżkę. Nie dziękuj.

Geralt nie podziękował.

– A to ptaszysko, spod młyna – zainteresował się nagle burmistrz – to gdzie jest? Jego zewłok, znaczy się?

– W drodze do Ban Fearg, obłożony lodem.

– Tak? Szkoda. Za łeb może bym zapłacił… Miałbym do kolekcji. Rzuć okiem.

Geralt dopiero teraz zwrócił uwagę na szafę i gablotę. Gablota mieściła różne cudactwa, głównie jakieś kości. Na centralnym, honorowym miejscu, na stojaczku, stało ogromne jajo. Wydmuszka.

– Przedwczoraj mi przynieśli – pochwalił się Didier Hahn. – Myśliwi. Znaleźli gniazdo i to jajo. Rarytas, nie? Szkoda, szkoda, że nie masz łba. Mam jajo, miałbym i łeb. Szkoda, szkoda.

●

– Czy ja mam konie? Bogowie nieistniejący, ty pytasz, czy ja mam konie? Ty mnie natychmiast zapytaj, ile ja ich mam. Pozwól, młody wiedźminie, pozwól tędy. Ostrożnie, by w gówno nie wdepnąć, he, he. Ostrożnie, mówiłem. A teraz popatrz na ten wybieg.

– Widzisz, co to za źrebce? Co to za ogierki jak z obrazka? To są rasowe novigradzkie dzianety krwi gorącej, marzenie każdego kawalerzysty. Ogony jak jedwabne welony, a zady? A pokaż mi u baby której taki kształtny zad. Co jeden, to marzenie, he, he, nie zad. Każdy rycerz, mówię i zaręczam, za takiego konika to mi bez mrugnięcia okiem da przelecieć swoją żonę, he, he, albo córkę, mówię ci, albo jedną i drugą. Co? Że nie jesteś rycerzem? I że nie masz żony ani córek? Ha, trudno się mówi i kocha się dalej, he, he. Tedy nie ma wyjścia, trza potrząsnąć kiesą, he, he, trza wysupłać srebro. Zwykle za każdego z moich ogierków biorę dwieście pięćdziesiąt novigradzkich koron, w przeliczeniu na tutejszą walutę to będzie tysiąc dwieście pięćdziesiąt marek. Jako jednak żeś ty wiedźmin, profesja szlachetna, i żeś z polecenia pana burmistrza Hahna, tedy gotówem spuścić... No, niech będzie... dziesięć procent. Tyle opuszczę. Żeby też wiadomem było jak świat szeroki i długi, że wiedźmin na koniu z mojej stadniny jeździ. Że to ogierek z Berentrode, ode mnie, znaczy się od Beniamina Hunnicuta...

– Że co? Że nie ogierek? Że tamta kobyłka kasztanka, co tam ze stajni łeb wystawia? Ano pewnie, że na sprzedaż, jakżeby inaczej, toć tu stadnina jest, nie galeria obrazów, tu się sprzedaje, nie podziwia, he, he. Ile za klaczkę? No, niech stracę, policzę... dwieście koron. Jak dla brata, he, he.

– Ale jakże to tak, wiedźmin na kobyle, miast na ogierze? Niehonornie jakoś. Że co? Że to twój najmniejszy problem? Ha, klient nasz pan, chce klacz, ma klacz. Aleć to, he, he, mości wiedźminie, z końmi jak z rybami. Jać tu dzianety niby szczupaki

dorodne oferuję, a ty sobie płotkę wybierasz. Z czego się śmiejesz? Czy ja powiedziałem coś śmiesznego?

●

Ingo Xmutt jechał Wielką Drogą, wesoło pogwizdując. Kopyta ukradzionej bułanej kobyłki raźno postukiwały o dyle, którymi gościniec dopiero co wymoszczono. Xmutt był wesół i przy forsie – zawartość przysposobionych wraz z klaczą juków sprzedał na mijanym jarmarku krótko po udanej ekspropriacji konia. Teraz zmierzał żwawo na północ. Daleko jechać Wielką Drogą nie zamierzał, nie uśmiechało mu się spotkanie z kładącymi gościniec cestarzami i ich nadzorcami. Planował skręcić na północny zachód, w leśne dukty wiodące ku hengforskim przełęczom. W Hengfors zamierzał spieniężyć konia, a za zdobytą gotówkę osiąść czasowo w którejś z wiosek okolic Hołopola. A może i przezimować tam.

Z łoskotem kopyt wjechał na most nad leśną rzeczką, brzegi której tonęły w pokrzywach. I nagle przestał być sam. Od dwóch dni i dwóch nocy spotkał na nowym trakcie może trzy wozy i trzy osoby. A teraz nagle okazał się otoczony przez osób dziesięć. Na domiar złego były to osoby na koniach i uzbrojone. Na domiar złego otoczyły go ciasno, ze wszystkich stron.

– Oj – udał wesołego. – Panowie wojacy! A jużem się zląkł, że zbójcy... Pozwólcie, jam jest Raul Azevedo... W służbach margrabiego...

Przestraszył się, czy nie przesadził ze szlacheckim nazwiskiem, bo na szlachcica nie wyglądał z żadnej perspektywy. Ale wojacy, pomyślał, pomyślunkiem nie grzeszą...

– W służbach margrabiego – powtórzył przeciągle dowódca zbrojnych, wąsacz w łosiowym kubraku, ze złoconym pendentem, w kapeluszu z pękiem strusich piór. – Szlachcic, wnosząc z miana.

A ta bułana klacz, tuszę, właśnie ze stajni margrafa pochodzi? Prawda?

– Prawda, prawda – pospiesznie potwierdził Ingo Xmutt. – Ze stajni margrafa, a jakże. Iście, panie rycerzu, znacie się na koniach...

– Znam – potwierdził beznamiętnie kapitan Reisz Carleton. – Dość mi okiem na konia rzucić, poznam, nie zapomnę. Stąd wiem, na czyim koniu siedzisz, mości Azevedo, czy też jak tam cię zwać naprawdę. I wiem także, że prawowity właściciel tego konia nie sprzedałby go, nie zastawił, nie pożyczył ani nie oddał.

Koniokrad oblizał wargi. Rozejrzał się nerwowo. Nie było ani jak, ani dokąd uciekać, konni otaczali go ze wszystkich stron. A na znak dowódcy nagle ułapili go żelaznymi chwytami za ramiona, niemal unosząc z kradzionej kulbaki.

Kapitan Carleton rozejrzał się.

– Panie Aelvarr!

– Panie kapitanie?

– Widzi pan tamten dąb? Z takim ładnym konarem? Proszę zarzucić stryczek na ów konar.

Oto słowa Proroka: zaprawdę powiadam wam, że nastanie chaos w wielu miejscach i ogień często będzie wybuchał. Słońce rozjaśni się w nocy, a księżyc w ciągu dnia, gwiazdy zaś zaczną spadać. Krew będzie ciec z drzewa, a kamień wyda głos. Dzikie bestie będą atakować, a niewiasty brzemienne będą rodzić potwory.

I oto sprawdziło się proroctwo i oczom naszym stało się ono widome: niewiasty porodziły potwory. Wiedźmini są tymi potworami, heroldami chaosu i zguby.

Anonim, *Monstrum albo wiedźmina opisanie*

Rozdział ósmy

Illustrissimus
Praefectus vigilum
Estevan Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Datum die 26 mens. Iulii anno 1229 p. R.

Jaśnie Panie Prefekcie,

donoszę uprzejmie, że wiedźmin zwany Geraltem w lipcu miesiącu przybył na teren budowy Wielkiej Drogi, gdziem go też i wnet do ochrony wynajął. Przydatnym się był zrazu okazał, dwa monstra leśne leszymi zwane ubiwszy, które to monstra straszne dyzgusty nam na budowie czyniły.

Stosownie do rozkazu Pana Prefekta dwakroć zagadnąłem go o rok sto dziewięćdziesiąty czwarty i tamten incydent, co

o niego Pan Prefekt zagadywać kazał. Wielkie niby to oburzenie udawszy, mówiłem jemu, że to wonczas zbrodnia to była straszna, że horror i crimen okropny, kary wołający. Wiedźmin słuchał, ale słowa ni jednego nie uronił, w żaden dyskurs wciągnąć się nie dał i w ogóle pozór dał, jakby go sprawa nijak nie obchodziła.

Drugim razem podczas rozmowy konkretne imiona wymieniłem, tak jak Pan Prefekt kazał: Margulies i Chwalba. Wszakoż i tym razem wiedźmin sprowokować się nie pozwolił, ani krztyny pozoru zainteresowania nie dał, o nic nie pytał ani się w rozmowę nie włączył ni słowem.

Z czego wywód czynię, że ów wiedźmin Geralt niczego szczególnego o tamtych zajściach nie wie. U wiedźminów prawdziwy wiek zgadnąć trudno, ów Geralt aliści po mojemu nie więcej ma lat niż *decem et octo*, tedy w 1194 nijak go na świecie być nie mogło.

Donoszę zarazem, że wiedźmin już u mnie nie pracuje. Chcieli go moi cestarze nająć do tropienia i zabijania leśnych elfów, co się nader rozzuchwaliły, a wiedźmin odmówił, pry, że niby elfy to istoty rozumne i że on ich zabijać nie myśli. To żem go zwolnił i jechać precz kazał. Dokąd pojechał, nie jest mi wiadomem.

Pax vobiscum,
Michaelides Blaufall, *praefectus stratificum*

●

Otoczony murem budynek świątyni bogini Melitele położony był opodal miasteczka Frankthal, ulokowanego w dolinie o tej samej nazwie. Dolina była niezwykle malownicza, łukiem wcinająca się pomiędzy strome zbocza. Północne zbocze w całości porastał bór sosnowy, na zboczu południowym dominowały białopienne brzozy,

buki i dęby. Zbocze południowe kryło też źródło strumyka, spadającego w dół po kilku kaskadach, by wreszcie popłynąć meandrami dnem doliny.

Geralt popędził Płotkę, przebrodził strumień.

Świątynia bogini Melitele, jedna z niewielu, jakie pozostały, mieściła się w dawnym elfim pałacyku zwanym Elsborgiem, położonym mniej więcej staje od miasteczka Frankthal, w zakolu strumienia, wśród wielkich płaczących wierzb. Zwykle w okolicy było pustawo, toteż Geralt zdziwił się nieco, widząc u furty świątyni gromadkę ludzi. Nie myślał jednak nad zjawiskiem deliberować. Podjechał bliżej.

– A ten tu czego? – usłyszał. – Co to za przybłęda?

– Niechajcie, kumie. Toć to nie białogłowa, a my jeno białogłowy precz stąd pędzić mamy, nie?

Wiedźmin zsiadł. Furta świątyni była zbyt niska, by móc wjechać w siodle. Zakołatał.

– Hej, ty! – usłyszał znowu. – A ty tu czego szukasz? Z tymi kurwami w zmowie może jesteś? Z dzieciobójczyniami? Możeś ty z tejże gliny, co i one? Hej! Mówię do ciebie!

Próbujący chwycić go za rękaw chłop był całkiem spory, ale nie na tyle, ocenił Geralt, by ustać na nogach po uderzeniu. Namacał w kieszeni otrzymany od Holta klucz. Zastanawiał się, co będzie lepszym celem – kość oczodołowa? Czy może owa położona pół cala nad nasadą nosa glabella?

Chłop wyczytał chyba coś w oczach wiedźmina, bo cofnął się o krok i przełknął ślinę. Wiedźmin już był niemal zdecydowany, już zacisnął na kluczu kułak, gdy furta otwarła się i stanęła w niej wysoka kapłanka. Pamiętał ją, zawsze była bystra. Zorientowała się od razu.

– Wejdź – powiedziała ostro. – Prędko. Natychmiast.

Zamknęła za nim furtę, założyła zaworę.

– Witaj, Nenneke.

– Witaj, Geralcie. Wyrosłeś. Pamiętam cię chłopaczkiem. Mało co wyżej paska spódnicy sięgałeś mi głową. A teraz proszę, chłopak na schwał, miecze na plecach… Wiedźmin jak się patrzy.

– A ja ciebie pamiętam jako adeptkę. A teraz już kapłanka…

– To, co chciałeś zrobić pod furtą – zmierzyła go ostrym spojrzeniem – byłoby bardzo głupie.

– Przecież nic nie zrobiłem.

Westchnęła.

– Uczymy was, uczymy, a wy wciąż swoje.

– Nie wszystkiego nauczyłyście – odrzekł kwaśno. – I potem tylko wstyd. Nie wiem, co to orbita. Ani cyrograf. Nie wiem, co to znaczy sustentować się. Albo co to jest perpro góra. Ani co to finalnie…

– By się finalnie doedukować – przerwała ostro – zapisz się zimą na studia w Oxenfurcie. Jako wolny słuchacz. Książki czytaj, w wolnych chwilach.

– Wybacz. Nie chciałem…

– Chciałeś. Daj konia tu, do stajni.

Wyszli w alejkę wiodącą ku głównemu budynkowi.

– Dawno na szlaku? Kiedy opuściłeś Warownię?

– W marcu. Dzień przed Ekwinokcjum.

– Daleko wędrowałeś?

– W zasadzie… To ja tylko w Kaedwen.

– Tylko w Kaedwen? – zdziwiła się. – A tak chciałeś zobaczyć ocean, pamiętam. Łukomorze, Novigrad, Gors Velen…

– Może kiedyś. W Kaedwen zabiłem kilka potworów…

– Chwalipięta. Tylko to cię do nas sprowadza? Chwalić się? Ponarzekać na nasze nauki? Czy coś jeszcze? Eliksiry? Bo ranny ani chory chyba nie jesteś? Nie wyglądasz.

– Eliksiry się przydadzą, idą mi jak woda. Ale najbardziej… Chciałbym rozmówić się z matką Assumptą.

– Aha. – Nenneke nie patrzyła na niego. – Ważne musisz mieć sprawy. A matka Assumpta bardzo jest zajęta. Nie wiem, czy cię przyjmie.

– Póki nie sprawdzimy, wiedzieć nie będziemy.

– Mądrala.

Minęli ogród. Trudzące się na grządkach kapłanki i adeptki odprowadzały ich wzrokiem. Niektóre pomachały mu, nie pamiętał ich. Nie dziwota, gdy je ostatnio widział, były małymi dziewczynkami. A w końcu nic na świecie nie zmieniało się tak szybko, jak dziewczynki.

Szli dalej.

Pod zadaszeniem, otwartym ze wszystkich stron dla przewiewu, kilka adeptek w maskach na twarzach i długich rękawicach pracowało przy wyrobie mydła, mieszając w kadziach ługi, sody, oleje i jakieś intensywnie pachnące pachnidła. Geralt wiedział, że mydła z Elsborga cieszyły się zasłużoną renomą nawet poza granicami Kaedwen. Sam, gdy uczył się w świątyni, zmuszany był do używania takich mydeł. W Kaer Morhen w użyciu było wyłącznie pozbawione zapachu mydło szare. Nie chodziło – przynajmniej nie tylko – o wzgardę dla pachnideł i kojarzonej z nimi zniewieściałości. Zdecydowana większość potworów miała węch bardzo czuły – a niektóre wręcz niewyobrażalnie czuły. Nienaturalnie pachnący wiedźmin był z nimi bez szans.

– Wyrzucają nas stąd – powiedziała nagle Nenneke.

– Że co?

– Wyrzucają nas stąd – powtórzyła, mrużąc oczy. – Jeden z powodów… nie jedyny… to wy, chłopcy z Kaer Morhen. Rozeszło się, że was tu uczyłyśmy.

Kapłanka zapukała do dębowych drzwi. Weszli, zaproszeni.

Assumpta z Rivii, główna kapłanka świątyni, siedziała za zawalonym pergaminami biurkiem. Geralt ostatni raz widział ją przed ośmiu laty. Przytyła od tamtego czasu. I posiwiała mocno.

Towarzyszyły jej dwie kapłanki i adeptka. Kapłanki uśmiechnęły się do niego. Obie znał. Flavia uczyła historii. Ailidh Starszej Mowy. Adeptki nie znał. Była zbyt młoda, by ją znać.

– Matko Assumpto – powiedziała Nenneke. – To Geralt…

– Widzę. Flavia, Ailidh, Zdravka, dziękuję wam. Tobie też, Nenneke. Usiądź, Geralcie.

Za oknem, od strony ogrodu, skrzeczały sroki. Przeraźliwie. Dostrzegły gdzieś widać kota.

– Zmieniła ci się twarz – powiedziała wreszcie kapłanka. – I oczy, niezależnie od mutacji. Nigdy też nie krzywiłeś tak ust. Nie musisz nic mówić. Widzę i wiem.

– Podobno… – odkaszlnął. – Podobno chcą was stąd wyrzucić, matko. I podobno z naszej winy.

– Kto ci to powiedział? Nenneke? Nie, Geralcie. Żaden z was, edukowanych tu młodzików, nie ponosi winy i do żadnego z wiedźminów nie mamy żalu. A to, że kwitną ciemnota i ignorancja, że szerzy się kołtuństwo, to wszak też i nasza wina. Źle uczyłyśmy. Źle wychowałyśmy. Bo przecież to nasi dawni wychowankowie dziś nas stąd przepędzają. Prawem, które to oni ustanowili.

– Ci spod furty gadali… Gadali o odpędzaniu od świątyni niewiast. Szło im…

– Wiem, o co im szło. Też o prawo. Takie, że pomoc medyczna udzielana niewiastom jest z prawem sprzeczna i karalna. Wymyślili to, rzecz jasna, mężczyźni. Ha, gdyby to oni zachodzili w ciążę, zabieg terminacji byłby ogłoszony świętym misterium i odbywałby się on przy modłach, kadzidłach i chóralnych śpiewach.

– Dziwny jest ten świat – podjęła po chwili Assumpta z Rivii. – Z naszej bogini drwią, nasze modlitwy wykpiwają. Że niby zabobon. A na zachodzie i północy po pustkowiach jakieś kulty się mnożą, sekty jakieś. Pająki się czci, węże, smoki i inne potwory. O zbrodniach ludzie szepczą, o ofiarach z ludzi. A z tym jakoś nikt walczyć się nie sposobi. Ani sekciarzy przepędzać nie próbuje.

– Przenosimy się na południe, za Pontar – uprzedziła pytanie. – Do Temerii, konkretnie do Ellander. Tam jest opuszczona świątynia, miejscowy władca łaskawie pozwala się nam tam wprowadzić. Naturalnie tam również będziemy udzielać pomocy potrzebującym jej kobietom, niezależnie od tego, czy się to komuś będzie podobało, czy też nie. No, ale za dużo o naszych sprawach. Co u ciebie, mów.

Opowiedział. Ale tylko o swych wiedźmińskich misjach. Nie wspomniał o maruderze, zarąbanym pod wsią Neuhold. Ani o krukach na rozdrożu, ani o tym, co z tego wynikło. Matka Assumpta słuchała cierpliwie. I podsumowała, krótko i trafnie.

– Wyczuwam i wiem, czego ci trzeba.

– Wiesz?

– Pewnie. Bo przecież pomóc ci nie mogę inaczej, jak tylko moją wiedzą. Co chcesz wiedzieć, chłopcze? Wybacz. Wiedźminie Geralcie.

Milczał długo.

– Co się naprawdę wydarzyło w Kaer Morhen? W roku tysiąc sto dziewięćdziesiątym czwartym?

– Mnie o to pytasz? – Uniosła głowę. – Ty? Który od wczesnego dzieciństwa oglądałeś kości w fosie? I wykute w ścianie imiona siedmiu poległych bohaterską śmiercią wiedźminów? Który wychowałeś się na bohaterskich opowieściach?

– Właśnie o te opowieści mi idzie. Tak bohaterskie, że…

– Aż za bohaterskie? Takimi powinny być, chłopcze. Bohaterowie mają być bohaterami. A opowieści mają sprawiać, by

byli. I nie powinno się wątpić ani w jedno, ani w drugie. Ale cóż, nie zmienić tego, że czas nieubłaganie zamazuje wszystko, bohaterstwo również. A opowieści i legendy są po to, by temu przeciwdziałać, nawet kosztem tak zwanej obiektywnej prawdy. Bo prawda nie jest dla wszystkich. Prawda jest dla tych, co potrafią ją znieść. Potrafisz? Nie rób min. Nie potrafisz. Gdybyś potrafił, zażądałbyś prawdy od Vesemira. Od starszych. A ty zwracasz się do mnie.

– Bo ty nigdy mi nie kłamałaś.

– Takiś pewny? A może umiem kłamać tak dobrze, że mego kłamstwa nikt nie rozpozna? Ani dzieciak, ani nad wiek wyrośnięty osiemnastolatek? Nie wszystko mi mówisz, chłopcze.

Tym razem powiedział wszystko. Nie uniknął przy tym zająknięć.

– A więc to tu psa pogrzebano – powiedziała Assumpta z Rivii. – Preston Holt.

Długo panowało milczenie. Sroki zza okna ucichły.

– Jakoś tak wiosną roku sto dziewięćdziesiątego drugiego – kapłanka przyłożyła dłoń do czoła – objawił się ten paszkwil, *Monstrum albo wiedźmina opisanie*. Anonim, jak to zwykle, ale drukiem, a drukarnie wówczas na palcach jednej ręki się liczyło, więc i podejrzanych nie było za dużo. Wiele wskazywało na mających drukarnię czarodziejów z uczelni w Ban Ard, ale dowodów nie było, i nie dziw, trudno o równych czarodziejom speców od zacierania śladów.

– Anonim krążył szeroko, w licznych egzemplarzach, a wędrowni emisariusze odczytywali owo wątpliwej jakości dzieło analfabetom na wiejskich wiecach i zgromadzeniach. I wieść zaczęła obiegać marchie i szerzyć się niby pożar. Zarazy, choroby i niemoce, pomory bydła, poronienia i martwe porody u niewiast, klęski nieurodzaju i urodzaju, plagi szkodników, wszystkim nieszczęściom i biedom winni byli bezecni wiedźmini, pajęcze nici

wszystkch zbrodni i spisków wiodły do Kaer Morhen. Tedy Kaer Morhen, cytuję, miejsce, gdzie wiedźmini się gnieżdżą, starte być musi z powierzchni ziemi, a ślad po nim posypany solą i saletrą. W roku sto dziewięćdziesiątym czwartym, latem, ktoś wreszcie zdołał skrzyknąć i zorganizować motłoch, w góry ruszyła armia, jakieś sto głów uzbrojonego luda. Wróciła, i to w popłochu, mniej niż jedna trzecia. Reszta zgniła w fosie waszego zamczyska, ich kości leżą tam do dziś.

– Zapytasz, jakim cudem kilku wiedźminów pokonało setkę fanatyków? Powiem ci. Jak wiesz, najzdolniejsi i najlepiej wyszkoleni czarodzieje potrafią działać zespołowo, mogą łączyć siły przy rzucaniu zaklęć, z potężnie zwielokrotnionym przez to efektem. Wiedźmini robić tego nie umieją i nie mogą. Wasze wiedźmińskie Znaki to rzecz bardzo indywidualna, zgrana wyłącznie z danym konkretnym osobnikiem. A wtedy w Kaer Morhen, gdy tłuszcza sforsowała wał i podzamcze stało w ogniu, czterej ostatni pozostali przy życiu wiedźmini złączyli ręce i siły. I rzucili Znak wspólnie. Z morderczym efektem, rażąc masowo. Niestety, sami też tego nie przeżyli.

– Ale efekt był. Choć pozbawione obrońców Kaer Morhen było na łasce pozostałych przy życiu napastników, owi nie odważyli się wtargnąć do Warowni, zemknęli w panice.

– Wieść o napadzie rozeszła się. Panujący podówczas w Kaedwen młody król Eoin, człek w miarę światły, lekko się zdenerwował, nie byli zachwyceni również margrafowie. Ci ostatni wiedźminów nie darzyli bynajmniej sympatią, ale nie myśleli tolerować oddolnych inicjatyw i samowoli rozzuchwalonej hołoty. Potrzebna była nauczka. Dwóch kat ściął na szafocie w Ard Carraigh, czterech publicznie powieszono w ich rodzinnych wsiach. Niestety cała szóstka to byli ci najmniej winni. Głównych

prowodyrów – i inspiratorów – sprawiedliwość nie dosięgła. Przynajmniej nie od razu.

– A teraz czas na twą upragnioną obiektywną prawdę, Geralcie. Wykutych imion na murze Kaer Morhen jest siedem. Bohaterska opowieść mówi o siedmiu poległych. Ale wówczas w Kaer Morhen było wiedźminów ośmiu.

– Gdy o napadzie się rozniosło, poszłyśmy do Kaer Morhen, ja i kilka adeptek. Byłyśmy na miejscu na długo przed tym, nim zjawili się tam Byrnjolf i Vesemir z młodzikami. Znalazłyśmy trupy. Wiele trupów. I jednego żywego. Ledwie żywego.

– To był Holt.

– Wtedy się tak nie przedstawiał. Wtedy nazywał się Reyndert. A mówili na niego Zjawa Reyndert. A teraz posłuchaj. Reynderta nie znalazłyśmy w zamczysku, ale w pewnej odległości odeń.

– Sam Reyndert utrzymywał później, że niczego nie pamięta. Ale w gorączce bredził. A ja... Może postąpiłam pochopnie i nierozważnie, ale byłam wówczas... No, trochę młodsza niźli dziś... Emocje wzięły górę. O tym, co Reyndert mówił w malignie, wygadałam się Vesemirowi.

Milczała długo. Geralt nie ponaglał jej.

– Okazało się bowiem – podjęła – że Reyndert nie w obronie Kaer Morhen odniósł rany, lecz podczas ucieczki.

Geralt milczał.

– Minął czas. Czas, który wszystko zmienia. Tak zwana obiektywna prawda rozwiała się we mgle. Vesemir trwa w uporze, ja... Ja staram się nie trwać. Chcę wybaczyć... Nie, nie wybaczyć. Zapomnieć. Reyndert – teraz Preston Holt, bo wrócił do prawdziwego miana – od lat ofiarnie ratuje ludzi w Kaedwen przed potworami, odczynia klątwy i uroki. Bywa w świątyni. Często uzupełniałyśmy mu eliksiry, kilka razy leczyłyśmy z ran. Lecząc zarazem i moje. Te nawet bardziej bolesne. Te ze wspomnień.

– Ale dość o tym. – Poderwała gwałtownie głowę. – Powiedziałam dość. Może i za dużo, okaże się. A teraz posłuchaj rady. Pomysł, by zatrudnić się u Holta jako czeladnik, nie podoba mi się.

– Nie jestem zatrudniony. Działam na zasadzie dobrowolności i wzajemnego zaufania. Jestem perpro…

– *Per procura*. To znaczy „w zastępstwie".

– No wiem.

– A to, że zimować powinieneś w Kaer Morhen, nie u Holta w Rocamorze, też wiesz? Albo to, że bardzo niedobrze, by cię z Holtem kojarzono?

– Dlaczego?

– Holt… – Kapłanka przyłożyła dłoń do czoła. – Holt nie jest właściwym dla ciebie preceptorem. Powinieneś szukać własnych dróg. Dosłownie i w przenośni. Obiecaj mi, że porzucisz Rocamorę. I Holta.

Milczał. Assumpta z Rivii patrzyła na niego badawczo. Wreszcie westchnęła głęboko.

– Przybyłeś tu, Geralcie, nie zaprzeczaj, po informację i radę. Dostałeś i jedno, i drugie. Co z tym zrobisz, twoja rzecz. Czego mogłyśmy, nauczyłyśmy cię, na tym koniec, edukacja zakończona. Teraz, gdy popełnisz błąd lub narozrabiasz, gdy posłuchasz błędnej rady, to już nie Nenneke postawi cię do kąta. Życie cię tam postawi.

Długo siedzieli w milczeniu.

– Dokąd teraz zmierzasz?

– Do… – zająknął się, ale zdecydował nie kręcić. – Do Spynham. Potem na północny wschód, na kraniec marchii. Osadnicy potrzebują pomocy.

– Prawda. Jesteś wiedźminem.

Sroki w ogrodzie wrzeszczały nadal.

– Matko Assumpto?

– Tak?

– Ktoś mi ostatnio zarzucił, że imię Geralt jest… przaśne.

– A choćby i było. Ale to twoje imię.

– No tak, ale… Może by coś dodać? Jakieś „z", jak u ciebie? Jakiś szlachecki podrostek?

– Przedrostek. Ale przecie żaden z ciebie szlachcic, Geralcie. Na co ci stroić się w cudze piórka?

●

Zoë, Fervida i Hippolyta, dziewczęta z „Lorelei", nie miały nic do roboty. Było przedpołudnie i dzień powszedni. Umilały zatem sobie czas tak, jak która mogła i lubiła. Zoë robiła na drutach berecik dla córeczki. Fervida czytała podręcznik uprawy ziół doniczkowych. Hippolyta gapiła się w okno, obserwując jaskółki, latające wokół wieży ratusza miasteczka Spynham.

Wszystkie słyszały skrzypienie schodów, żadna jednak nie reagowała. Widok wchodzącej do komnaty Pampinei Monteforte też żadnej nie zbulwersował.

– Jest sprawa – oświadczyła Pampinea. Biust falował jej malowniczo. – Mamy gościa. Ale uprzedzam: ma to pozostać w sekrecie.

– Znowu pan burmistrz? – żachnęła się Zoë. A Hippolyta wzniosła oczy ku powale.

– Nie – zaprzeczyła Pampinea. – Tym razem to nie pan burmistrz. To gość jeszcze bardziej sekretny. Dlatego przychodzę do was, z którymi znam się nie od wczoraj. I którym ufam. Bo te młode, cóż, o donosicielstwo ich nie podejrzewam, ale głupiutkie są, mogą po prostu wypaplać…

– Któż to więc? Mówcież, pani mamo. Bo skonamy z ciekawości.

– Wiedźmin.

– Pan Holt? – zachichotała Fervida. – Czyżby jednak odmłodniał?

– No, no – pogroziła jej palcem Pampinea. – Bez takich żartów! Pan Holt to szanowany klient. Ale to nie o niego chodzi. To młody wiedźmin. Całkiem młody, rzekłabym. I sympatyczny. W miarę. Która się nie boi? I się podejmie?

– A ta, co się podejmie – spytała po chwili ciszy Zoë – to co z tego będzie miała?

Pampinea Monteforte nie zastanawiała się długo.

– Trzy czwarte taksy – zdecydowała – może zostawić sobie.

Dziewczęta popatrzyły na siebie. I na panią mamę.

– No, to – powiedziała z uśmiechem Hippolyta – chyba pociągniemy słomki. Krótsza wygrywa wiedźmina.

– A może – Fervida też się uśmiechnęła – skrócimy dwie słomki?

– A ja myślę – powiedziała Zoë – że te słomki nie są potrzebne w ogóle.

●

Szanowny Pan
Preston Holt
Districtus Ban Fillim
Oppidum Rocamora

Datum ex urbe Belvoir, die 6 mens Augusti anno 1229 post Resurectionem

Drogi Prestonie, *salve*,

zgodnie z duchem umowy naszej, niniejszym uwiadamiam, że od dnia wizyty u mnie młodego pana Geralta do dnia wysłania niniejszego listu na moje konto przekazami z różnych banków wpłynęły sumy na łączną kwotę marek kaedweńskich 4.885, -, słownie: cztery tysiące osiemset osiemdziesiąt pięć 00/100.

Właściwą po potrąceniu mojej prowizji i opłaceniu podatku kwotę transferuję na Twe zwykłe konto.

Niewątpliwie zwróciło twą uwagę, drogi Prestonie, że z przybliżonej kalkulacji wynika, iż od czasu majowej wizyty u mnie młody wiedźmin musiał eksterminować dobrych kilka potworów. To znaczy albo zabił ich sporo, albo zabił mniej, ale skutecznie się targował – zaiste, zarówno jedno, jak i drugie świadczy na jego korzyść. Gratuluję wyboru, będzie pociecha z twej *per procury*. Choć młody wiedźmin raczej nie wie, co znaczy to słowo, po raz kolejny okazuje się, że ważniejsze jest dobrze wykonywać robotę, niż wiedzieć, jak się ona uczenie nazywa.

Działaniami swymi, jak wynika z przekazów bankowych, młody wiedźmin objął część Marchii Zachodniej i Marchię Górną. Odwiedził, jak wiem, także świątynię bogini Melitele w Elsborgu. Ciekawe, że zaraz potem zajrzał do „Lorelei" w Spynham. I spędził tam czas jakiś. Ale cóż, młodość ma swoje prawa, a na co on wydaje jego *per diem*, to jego rzecz. Byleby za bardzo nie oszczędzał na jedzeniu, bo osłabnie.

Niepokoi mnie jedynie aktywność kręcących się koło młodzika rozmaitych szpicli. Mam powody przypuszczać, drogi Prestonie, że to bynajmniej nie młodzik ich interesuje, ale ty. Wzmóż ostrożność.

Saluto te,
Timur Voronoff

Niechaj wam łan szalejem zlega, ostem mątwi; niechaj was ugór tarnią posoczy, blekotem truje! Radości nie znajcie nijakiej, tą klątwą przeżarci do sedna, do wnątrza duszycy! Na próchno was zmiele, na rdzawe, na stęchłą, zbutwiałą czerwotocz!

Stefan Grabiński

Rozdział dziewiąty

Pierwszym, co Geralt zobaczył, wjechawszy do miasteczka przez bramę z kołowrotem, był wisielec. Dokładniej, młoda jasnowłosa dziewczyna w podartej przyodziewie. Wisiała na drągu studziennego żurawia, kołysząc się i obracając na wietrze. Mijając rozpoznawał szczegóły – spuchłą twarz, nienaturalnie wyciągniętą szyję, siniaki na udach, czarne od zakrzepłej krwi stopy.

Miasteczko było puste, jak wymarłe, w uliczce ni żywego ducha, nawet żaden pies nie wypadł zza płotu, nie obszczekał pęcin konia. Zamknięte okiennice i bramy straszyły wrogością. Zapowiedzią złych rzeczy, które już się tu stały. I jeszcze gorszych, które miały się stać.

Bliżej rynku zauważył kilka osób, on sam też został zauważony.

– Wiedźmin, tak? – podbiegł i wydyszał młodzik w berecie z bażancim piórkiem. – Ach, toć widzę, że tak. Dotarła tedy wiadomość? Nasze o pomoc wezwanie? Na wezwanie przybywacie, czyż nie tak?

– Gońca spotkałem. Całą okolicę cwałem objeżdżał. Z wezwaniem. Z wiadomością, że wiedźmin pilnie potrzebny

w miejscowości Szklana Góra. No to jestem. Na wezwanie. Bo to jest Szklana Góra, prawda?

– Prawda. Oj, to dobrze, to dobrze, że jesteście… Bo na nas tu nieszczęście spadło… Straszne nieszczęście… Ale pozwólcie tam, na rynek, tam własnym okiem zobaczycie. Pozwólcie, pozwólcie…

– Wiedźmin, znaczy? – Z grupki ludzi w podbramiu na rynku wyszedł postawny siwobrody jegomość. Guziki kubraka miał wielkie jak dukaty. I też złote. A raczej pozłacane.

– Znaczy, wiedźmińskie czary umie? Klątwy odczyniać? No, obaczym, obaczym. Zsiądźcie, podejdźcie. Bliżej, bliżej.

W podbramiu ludzi było z dziesięciu, od idącego wiedźmina cofali się z przestrachem, odwracali głowy.

– Tędy. – Siwobrody wskazał drogę. – Za mną.

Weszli na podwórze, potem trzeszczącymi schodami na krużganek. Tu siwobrody zatrzymał się, zakrył nos rękawem.

– Tam, za drzwi – powiedział niewyraźnie zza rękawa, wskazując.

I uciekł, niemal spadając ze schodów.

Wiedźmin już z odległości czuł paskudny, mdlący zapach zgnilizny, nie zdziwił go więc w sieni widok medyka. Profesję nieomylnie zdradzała skórzana hauba z długim ptasim dziobem i oszklonymi otworami do patrzenia.

Doktor na jego widok powiedział coś, kompletnie niewyraźnie zza ptasiej maski. Zrozumiawszy, wyszedł na krużganek, wzywając Geralta za sobą. Na krużganku ściągnął haubę, otarł spoconą twarz. Był bardzo młody.

– Na nic tam medycyna – odetchnął, machnął ręką. – Na nic tam kropienie octem, co tam da odkażanie siarką. Tam czarna magia w dziele. Klątwa, ani chybi.

– Składniej można?

– Można. – Medyk zmrużył oczy. – Jak najbardziej można. Oto wam składnie wyłożę, co następuje. Tam, w izbie, to nasz burmistrz, jego małżonka i troje dzieci, z czego jedno w kołysce. Trzy dni temu zarażeni czarną magią. W sposób iście straszny. Jakaś maź, coś jakby żywa smoła obłazi ich ciała. Zakażenie postępuje i pomału zabija. Może już zabiło... Wyście wiedźmin, widzę. Ale co tam chcecie uradzić? Co chcecie waszymi mieczami zdziałać?

– Powiem, gdy zobaczę.

– Doprawdy? Wejść tam chcecie? Do izby?

– Do izby.

Lekarz żachnął się, zamachał rękami, wyglądało, jakby chciał protestować, zmienił zdanie.

– Chodźcie – wybuczał spod maski, którą znów włożył. – Tędy.

W izbie było ciemno, odór zgnilizny dusił, szczypał w oczy. Słychać było cichy płacz dzieci, jednostajne zawodzenie kobiety.

Medalion Geralta zaczął silnie drgać.

Na kołyskę omal nie wpadł, stała mu na drodze. Wewnątrz leżał trupek dziecka. Cały pokryty czarnym kostropatym nalotem, jakąś wyschłą już mazią. Jak czarna lalka.

Burmistrz – bo on to być musiał – siedział w fotelu z oparciem. Do połowy ciała, od stóp do pasa, pokryty był ową czarną mazią. Maź, jak się wydawało, poruszała się. Geralt podszedł bliżej. Faktycznie, maź tętniła i drgała, wysuwała ruchliwe wypustki.

Kobieta leżała dalej, w kącie, obejmowała dwójkę płaczących dzieci. Też zanosiła się łkaniem. I na niej, i na dzieciach widoczny był ów czarny nalot.

Nie bacząc na ostrzegawcze buczenie medyka, Geralt zbliżył się bardziej. Ukląkł przy burmistrzu.

– Ratujcie – wydusił z siebie burmistrz, wyciągając ręce. Geralt cofnął się przezornie. – Ratujcie... Dzieci...

Jakby słysząc lub reagując na ruch, czarny nalot ożył, zapulsował i urósł, pokrywając burmistrza o dalszych kilka cali. Burmistrz zajęczał głośno. Kobieta w kącie zawyła, dzieci się rozkrzyczały.

Geralt dobył sztyletu, zebrał kroplę nalotu na czubek ostrza. Wstał, cofnął się. Wyszli wraz z lekarzem.

– Widzieliście. – Medyk stwierdził fakt, ściągnął maskę, wytarł twarz. – Widzieliście oczami własnymi. To nadprzyrodzona moc jest, czarna magia, albo i gorzej, jakaś demoniczna siła, czy coś takiego... A moją laskę i rękawice na podłodze widzieliście? Musiałem zdjąć, rzucić, bo breja się na nie przeniosła i rosła, rosła, ledwom zdążył... Co ja będę zresztą... Na swój nóż popatrzcie.

Kropelka mazi nabrana na sam czubek sztyletu teraz pokrywała już bez mała cal ostrza. Maź żyła, wzdymała się, wypuszczała wijące się wyrostki.

– Jak to całkiem pokryje i udusi tamtych ludzi – powiedział ponuro medyk – może przenieść się dalej. Szukać nowych ofiar.

– Nie. – Wiedźmin pokręcił głową. – Bo to faktycznie wygląda na czar złorzeczenia, klątwy lub uroku. Rzucony tylko na tych tutaj. Czar zabije tych tutaj i wygaśnie.

– Ale tamtych zabije, mówicie. Znaczy się, dla burmistrza i jego bliskich ratunku nie ma. No to ja bym jednak doradzał spalić dom.

Zeszli obaj na podwórze.

Na podbramiu zastali poruszenie. I przywleczoną na powrozie związaną dziewczynę z rozbitym nosem. Lat, jak wyglądało, niespełna piętnastu.

– Klątwę – perorował jeden z mieszczan, ten, który trzymał dziewkę na sznurze – wiadomo, niweczy jedynie śmierć tego, kto klątwę rzucił. Z tamtą dziewką, cośmy ją obwiesili, pomyłka wyszła, bo ona wisi, a klątwa cięgiem działa. Ale że owa dziewka znachorka była i zielarka, to i szkoda wielka się nie stała, nie ma co łez ronić. Teraz mamy, ot, drugą, tamtej znachorki krewniaczkę, ona winna

jest niechybnie, bo kto, jak nie ona. Tedy na stryk ją! Zobaczycie, jej śmierć klątwę zdejmie.

– A jak nie zdejmie? Jak znowu niewinną powiesim?

– Dom spalić trzeba – wtrącił medyk. – Spalić. To jedyny ratunek.

– Gówno! Zabudowa zwarta, pół miasta z dymem pójdzie!

– To co robić?

– Toć wiedźmin tu jest – zawołał siwobrody. – Po to żeśmy gońca posłali, nie? Po wiedźmina, nie? No to wiedźmina tera mamy! On się na czarach rozumie! Jego wysłuchajmy...

– Wiedźmin – przerwał chudy osobnik w czarnej szacie – młody coś. Doświadczeniem, jak mniemam, nie grzeszący?

Geralt nie uznał ze celowe odpowiadać.

Osobnik w czarnej szacie podszedł do Geralta, bardzo blisko. Na szyi, na łańcuchu, nosił jakiś święty znak.

– Tu nie wiedźmina gołowąsa trzeba! – Zionął straszliwie alkoholem, przetrawionym i świeżym zarówno. – Tu trzeba modlitwy!

– Modliliście się od rana, mości kapłanie – powiedział gniewnie siwobrody – i niceście nie zdziałali. Panie wiedźminie, co rzekniecie? Podejmiecie się ratunku?

– Ratować ma? – zionął znowu wódą kapłan. – On? Ciekawym, jak. A po prawdzie i nie ciekawym, bo co mi po ciekawości onej. Modlitwa. Tylko modlitwa, mówię wam. A wprzód dziewkę powiesić!

Siwobrody, rajca starszy rangą ewidentnie, poszeptał z innymi.

– Wynajmujemy was, młody wiedźminie – rzekł wreszcie. – My, znaczy władza tutejsza. Za trzysta marek. Ale płatne jeno wtedy, gdy się wam powiedzie. Znaczy, gdy skutek będzie.

– To jasne. Przyjmuję zlecenie.

– Jeśli jakoś pomóc trzeba, pomożemy, damy wam wnet, niczego nie odmówimy. Rzeknijcie jeno, co wam potrzebne?

Wiedźmin wskazał dziewczynę.

– Ona.

●

Nie musiał ani długo, ani daleko szukać, dopomógł pomocny w takich razach eliksir zwany Pliszką. I obserwacja odrobiny mazi na klindze sztyletu.

– Tam, nad strumieniem – spytał wciąż podążającej za nim dziewczyny. – Czyja to sadyba? Mówże głośniej, ledwo słyszę.

– Farbiarki… Kiedyś…

– Dziękuję. A teraz zmykaj do domu. I nie daj się im znowu złapać!

Chata stała na samym skraju – tym biedniejszym skraju – miasteczka, wśród olch nad strumieniem. Jeśli miał to być dom farbiarki, owo „kiedyś" bardzo rzucało się w oczy. Nie było widać suszących się pęków wełny i przędzy, na rzędach dawno nieużywanych naczyń na ganku zacieki pigmentu pozasychały i wyblakły.

Wszedł. Drzwi skrzypnęły. W sieni pajęczyna osiadła mu na twarzy, niewielu widać ostatnio chadzało tędy gości. Pełno było garnków, kociołków i innych utensyliów barwierstwa. Pachniało octem.

W izbie było jasno i zaskakująco porządnie.

Na bujanym fotelu z wiklinowym oparciem siedziała kobieta. Lat na oko czterdziestu. Mógł się mylić.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

– Masz śmierć na twarzy – powiedziała kobieta.

– Nie łudziłam się – mówiła dalej, nie zaprzestając powolnego bujania. – Wiedziałam, że ktoś taki jak ty się pojawi. Mieszczuchy

też w końcu mogły mnie wytropić… Może więc lepiej, że to ktoś taki jak ty.

Nie odpowiedział.

– Burmistrz – odezwała się znowu, po dłuższej chwili – zabił mi synka. Stratował koniem, pijany. A potem postraszył, wcisnął pieniądze. Wzięłam, więc myślał, że koniec, że załatwione. Długo czekałam. Wreszcie zdobyłam, a nie tanio, wiedzę i sposób. Nietanie było, a rzuciło się tak łatwiutko… Ruch ręki i słowo… Była rozpacz, był rozpaczliwy środek. Ale nie wiedziałam, że skutki będą tak okropne… I że ucierpi żona i dzieci… Dzieci! I ta niewinnie powieszona dziewczyna. Teraz chciałabym to odwrócić, cofnąć… Uratować ich. Domyślam się, jak.

– Jest tylko jeden sposób.

– Wiedziałam – kiwnęła głową. – Wiedziałam, że tylko moja śmierć… Ale nie chciałam popaść im w łapy, dać się zamęczyć i powiesić… Chciałam sama z sobą skończyć. Kupiłam truciznę, zobacz. Ale bałam się zażyć… Może teraz się ośmielę, przy tobie…

– To tak nie działa.

– Ach. Więc miecz. Ten, który masz na plecach.

Milczał, nie było celu potwierdzać. Ona też milczała.

– Zetniesz – powiedziała wreszcie – szybko, jednym ciosem? Żebym nie czuła…

– To tak nie działa.

– Ach – przełknęła ślinę. – Cóż… Jeśli tak trzeba… Jeśli to ocali dzieci…

– Ocali dwoje. Tych starszych. Dla najmłodszego już za późno.

Westchnęła głośno. Zobaczył łzę na jej policzku.

Dobył miecza. Wzdrygnęła się.

– Obnaż się. Wystarczy zsunąć koszulę z ramion.

– Wstać?

– Nie.

Oparł stopę o biegun fotela, zatrzymał bujanie. Mocno chwycił kobietę za ramię, wpił palce. Przystawił ostrze miecza do środka piersi. Na wysokości przyczepu piątego żebra.

– Chciałabym…

Nie dał jej dokończyć.

Pchnął silnie, czuł, jak ostrze gładko przebija kość mostka. Farbiarka krzyknęła, targnęła się, ale było za późno. Zaciskając jej palce na ramieniu, pochylił się i pchnął, mocno, ostrze z chrupem przeszło na wylot, ażurowe wiklinowe oparcie fotela też nie stawiło oporu. Naparł na miecz jeszcze mocniej, z siłą, aż cała klinga przeszła przez plecy, aż po ricasso. Kobieta nie krzyczała już, ale otwierała i zamykała usta. W których już pojawiła się krew.

Ale to nie był koniec rytuału.

Geralt zgarbił się, silnie szarpnął klingę w górę, druzgocąc mostek i przyczepy górnych żeber. Z ust kobiety bluzgnęła krew, wiedział, że klinga przecięła osierdzie i aortę.

Naparł na rękojeść i silnie szarpnął ostrze w dół, krojąc ostatnie, dolne przyczepy żeber. Tętnice. Żyły. I komory serca.

Farbiarka westchnęła. Oczy wciąż miała otwarte.

Ale to nie był koniec rytuału.

Obrócił ostrze. Targnął w poziomie, druzgocąc żebra. Najpierw w prawo, potem w lewo. Z komór serca i arterii teraz była już miazga.

Tym razem to już był koniec.

Pomału i ostrożnie wyciągnął klingę, wysunęła się gładko. Kobieta została na fotelu. Nieruchomo.

Gdyby nie krew, można było pomyśleć, że śpi.

●

Na rynku, zdyszany, podbiegł do niego ów młodzik w berecie z bażancim piórkiem.

– Złorzeczenie – powiedział Geralt, nim młodzik przestał dyszeć – powinno już przestać działać. Finalnie. Powinno się już móc zauważyć…

– Jest dobrze! – przerwał mu młodzik. – To ustępuje, cofa się! U pana burmistrza i u burmistrzowej już tylko stopy czarne, z dzieciaków już ta smoła zlazła całkiem…

– Rad jestem słyszeć. Czas tedy będzie wywiązać się z umowy, prawda? Co z moją zapłatą?

Młodzik zamilkł, zachrząkał, poczerwieniał w sposób absolutnie jednoznaczny. Geralt westchnął.

– Bo to widzicie, panie wiedźmin – drżącym głosem potwierdził jego przypuszczenia młodzik. – Niby wyście gdzieś precz poszli, znikli, a kapłan cały czas na miejscu był, egzorcyzmy i modły sprawiał… Tedy rajcy orzekli, że umowa nieważna. Że to nie wasza, ino kapłana zasługa, że się klątwa cofła… Jednym słowem…

– Jednym słowem nie zapłacicie mi nic.

– Ano – zacukał się młodzik. – Jakoś tak, widzicie, postanowiono… Decyzja zapadła. Ale żeby nic, to nie, nijak nie. Orzekli panowie rajcy, że możem wam zapłacić… pięć marek. Niby że za samo przybycie…

Geralt miał już na końcu języka, że panowie rajcy mogą sobie owe pięć marek w dupę wsadzić. Ale rozmyślił się. Pięć marek starczyłoby na obiad w karczmie na rozstajach. A on był głodny.

Przypomniał sobie oczy kobiety w momencie, gdy jego klinga rozrywała aortę. Nagle odechciało mu się jeść.

Ale jeść trzeba, pomyślał, wskakując na siodło Płotki i ruszając ku rogatkom.

Jeszcze jest o wiedźminach i to sciendum, iż niegodziwcy owi mieli od czarta daną wiadomość doskonałą ziół i innych substancyj. Wykradłszy tedy mędrcom wiedzę o pewnych dekoktach, sami na tej osnowie mixując jady i zabójcze essencye, wytworzyli alkahesty i philtra o straszliwej mocy, zdolne nie tylko pomieszać imaginacją, ale i całkiem naturę ludzką odmienić. Mając takowe alkahesty pod ręką gotowe, jęli wiedźmini dzieci porywać, osobliwie takie niemowlątka, co wnet po urodzeniu nie były przez rodziców płochych a głupich do świątyni noszone, przez co złe czary do nich dostęp miały. Jak docieczono, tymże porwanym dziecinom applikowali wiedźmini przemocą ów swój ohydny dekokt, przez co w dziecinach owych, tych nielicznych, co horrory owych traktamentów przeżyły, wszystko, co ludzkie, niszczało, a co łajdackie i złe, niby szalej kwitło. Tem to sposobem, sami się in naturalibus, rozmnażać niezdolni, jęli się wiedźmini mnożyć sposobem diabelskim.

Anonim, *Monstrum albo wiedźmina opisanie*

Rozdział dziesiąty

O wydarzeniu w miasteczku Szklana Góra, niegdyś faktycznie miejscu wytopu szkła z pozyskiwanych tam piasków kwarcowych, Geralt chciałby jak najszybciej zapomnieć. Nie dało się. Wieść rozeszła się szeroko, zaskakująco szybko i zaskakująco daleko. Za odczynienie uroku wychwalano co prawda głównie pewnego pobożnego kapłana, ale, o dziwo, ktoś rozpuścił plotkę czyniącą bohaterem jednak jakiegoś młodego wiedźmina. Przydrożne dęby

i słupy na rozstajach nagle udekorowały deski z napisami. Bardzo różne pod względem ortografii napisy na deskach rozpaczliwie wzywały ratunku. Pomoc wiedźmina, głosiły napisy, potrzebna jest pilnie – trzeba odczynić klątwę, czar lub zły urok.

Wciąż pełen młodzieńczego ferworu Geralt początkowo nie zlekceważył żadnego z wezwań, na każde pospieszył z zapałem. Entuzjazm gasł pomału, gdy przyszło mu tłumaczyć rodzinie, że dziadek, mający lat – klękajcie narody – dziewięćdziesiąt, cierpi na uwiąd starczy i związane z nim skretynienie i że nie jest to, jak utrzymywała rodzina, bynajmniej urok rzucony przez wredną sąsiadkę. W kolejnej wsi przyszło mu obejrzeć genitalia sołtysa i wyjaśnić, że to nie klątwa, lecz zaawansowany tryper i że nie wiedźmin tu potrzebny, lecz medyk. W kolejnych trzech osiedlach tłumaczył mężczyznom dotkniętym chwilową lub permanentną niemocą płciową, że on, wiedźmin, czegoś takiego odczynić nie potrafi. Zwykle, gdy odmawiał pomocy, posądzano go o chęć wyłudzenia większych pieniędzy i rugano od ostatnich. Kilka razy próbowano go podejść zwykłym oszustwem – osoby różnego wieku i płci symulowały opętanie, a o rzucenie uroku oskarżano kogoś z sąsiedztwa, krewniaka lub współmałżonka, w nadziei, że wiedźmin oskarżanego natychmiast zabije. Gdy wiedźmin odmawiał, posądzano go o szalbierstwo albo bycie w zmowie, rugano i przepędzano.

Bliżej końca września i po przebytych trzydziestu kilku milach Geralt zaczął dość wybiórczo traktować przybijane na słupach wezwania. Reagował tylko na te bez błędów w pisowni, a takich było bardzo, ale to bardzo mało. Z prawdziwym, a możliwym do odczynienia urokiem nie spotkał się jednakowoż ani razu.

Nie podjął się też zabicia niedźwiedzia, które to zadanie chcieli mu zlecić napotkani puszczańscy bartnicy. Niedźwiedź rozwalał im barcie i wyżerał miód. Geralt zasłonił się naprędce wymyślonym

wiedźmińskim kodeksem, choć tak naprawdę wcale nie palił się do konfrontacji z misiem, bo ten był wielki jak góra i miał, jak się okazało, na rozkładzie już kilku myśliwych.

Było mniej więcej tydzień po równonocy, gdy na krzywym słupie na rozstaju jego wzrok przyciągnęła deska z jasnego brzozowego drewna. Napis na desce był wypalony, rzadko się taki trafiał, zwykle inskrypcje mazano węglem. Ten napis był zaskakująco enigmatyczny.

WIEDŹMIN POTRZEBNY KLĄTWA

Wypalona strzałka wskazywała kierunek. W bór, w leśny dukt. Mniej więcej na południe.

●

Coś było nie tak. Wieś, jak zorientował się od razu, była opuszczona. I to od bardzo dawna. Strzechy na chałupach pozapadały się, wybite okna ziały czarnymi dziurami, oberwane skrzydła drzwi smętnie zwisały z framug. Obejścia i poletka porósł bujny chwast. Z zielska szczerzyły zęby połamane płoty.

Nic nie wskazywało na to, że to tu właśnie potrzebny jest wiedźmin. Nie było nawet śladu nikogo, kto mógłby potrzebować.

Piaszczysta droga, co ciekawe, nosiła jednak liczne – i świeże – ślady kopyt.

Bardziej doświadczony wiedźmin zawróciłby natychmiast i oddalił się pospiesznie. Geralt brak doświadczenia kompensował odwagą. Wynikającą z braku nie tylko eksperiencji, ale i wyobraźni. Trącił Płotkę piętą i ruszył w kierunku studni. Studnia też potężnie obrosła mchem i zarosła pokrzywą, ale żuraw wyglądał na cały, było tam też koryto.

Nie zdążył nawet zbliżyć się do studni, gdy jak spod ziemi – a raczej zza chałup – wyrosło nagle czterech drabów. Odzianych

jednakowo, wręcz umundurowanych, w żółto-czarne jaki. Pocieszało, że nie byli to zatem jacyś zwykli zbóje. Nie pocieszało, że wszyscy czterej mieli kusze. Napięte. I celowali w Geralta.

– Z konia. Na ziemię. I miecze na ziemię.

Nie wyglądało, by można było dyskutować.

– Naprzód. Tam. Do stodoły.

W stodole było jasno – bo dach był tak naprawdę jedną wielką dziurą. Resztki dachu zwieszały się z kalenicy i krokwi, w każdej chwili grożąc oberwaniem. Sporo tego, co się już oberwało, leżało wokół na polepie.

Obecny w stodole jegomość nic sobie nie robił z zagrożenia. Siedział na belce zrujnowanego sąsieka i dłubał w zębach źdźbłem słomy.

– Wiedźmin zwany Geraltem?

– Jestem nim.

Jegomość wykonał krótki gest. Drabi z kuszami wyszli ze stodoły. Geralt nie miał jednak wątpliwości, że za daleko się nie oddalili.

– Jestem Estevan Trillo da Cunha. Prefekt straży z Ard Carraigh. Odpowiedzialny za bezpieczeństwo królestwa Kaedwen. Okaż wiedźmiński znak.

Geralt rozpiął kurtkę, wyciągnął łańcuszek i medalion z wyszczerzonym wilkiem.

– Dziękuję. A oto mój znak i potwierdzenie tożsamości.

Jegomość wydobył zza pazuchy i pokazał Geraltowi okrągłą emaliowaną płytkę. Na płytce, na żółtym tle, widniał czarny wspięty jednorożec.

Estevan Trillo da Cunha był szczupły, wręcz chudy. Miał czarne włosy, zaczesane do tyłu i splecione w harcap, czarny wąs i czarną szpiczastą bródkę. Odziany był też na czarno. I dość bogato.

– A teraz do rzeczy – powiedział, wpijając w wiedźmina czarne oczy. – Wychodzi, że ty, wiedźminie Geralcie, jesteś dla królestwa

Kaedwen zagrożeniem. Ciążą na tobie oskarżenia o dwa morderstwa. W marcu, w osiedlu Neuhold, zabiłeś żołnierza. W sierpniu zaś, w Szklanej Górze, kobietę.

– Marudera zabiłem w obronie napadniętych ludzi i w obronie własnej. Są świadkowie…

Estevan Trillo da Cunha przerwał uniesieniem upierścienionej dłoni.

– Nie wiązałbym z tym nadziei. Świadkowie raz są, raz ich nie ma. A zeznania zmieniają bardzo często. I w zależności od potrzeby.

– Kobieta zaś rzuciła urok, zabiła tym urokiem dziecko, śmierć groziła jeszcze kilku ludziom. Urok mogła odczynić tylko jej śmierć. To wiedźmińska praca…

– Mam inne informacje. I dowody, potwierdzające ich prawdziwość.

– A tak w ogóle, to na mocy imiennego ukazu króla Dagreada wyjmuje się wiedźminów spod jurysdykcji…

– Ukaz dotyczy wiedźminów zabijających potwory. Potwory. Nie ludzi. Będę musiał aresztować cię, wiedźminie Geralcie.

Geralt milczał czas jakiś. Wydało mu się, że Estevan Trillo da Cunha leciutko uśmiecha się pod czarnym wąsem.

– Deska na rozstaju – powiedział wolno. – Z lipną wieścią, że klątwa. Odludzie. Zasadzka. Aresztowanie, ale takie jakby nieoficjalne. Żadnych świadków. Tak działa służba bezpieczeństwa królestwa Kaedwen? Ten medalion z jednorożcem, panie prefekcie straży, nie lipny aby również?

Estevan Trillo da Cunha też milczał i też czas jakiś. Przestał się uśmiechać.

– Nosisz wiedźmiński znak i działasz jako wiedźmin – powiedział wreszcie. – Niby to na własny rachunek, ale przecież tak naprawdę wysługujesz się komuś innemu.

– Nikomu się nie wysługuję. Jestem *per procura*, to znaczy…

– Jesteś pomocnikiem przestępcy – przerwał ostro prefekt. – Preston Holt, któremu służysz, jest przestępcą. Z premedytacją i skrytobójczo zamordował trzech ludzi. Wiem to, ale sama wiedza to za mało. Chcę go postawić przed sądem, a dla sądu potrzebuję niezbitych dowodów. I to ty mi te dowody dostarczysz.

– Że co, proszę?

– Odnajdziesz dowody na winę Holta i dostarczysz mi je. Wówczas ciebie samego ominie sąd, wyrok i kara. A za podwójne morderstwo karą, wiedz to, byłaby garota w więzieniu w Sturefors.

Geralt wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

– Trzech ludzi – podjął prefekt. – Zamordowanych w sposób niebywale okrutny, a przy tym tak, by nic nie wskazywało na wiedźmina. Znaczy, nie mieczem bynajmniej.

– Co ty nie powiesz.

– Kari Nourred, poruszający się o kulach kaleka, powieszony na własnych kalesonach. Otto Margulies, zasłużony społecznik i filantrop, zasieczony tasakiem do mięsa. Remko Chwalba, ojciec trojga i dziadek sześciorga dzieci, zatłuczony na śmierć szewskim młotkiem.

– I za każdym razem – zadrwił Geralt – świadkowie wskazali Holta?

– Za każdym razem wskazali kogoś innego i o kompletnie różnym wyglądzie. Nawiasem, czy wiesz, skąd nazwa posiadłości Holta? Rocamora?

– Nie.

– *Roac a moreah*. W Starszej Mowie: odwet, rodowa zemsta.

– No tak, to dowód niezbity. – Geralt nadal uśmiechał się drwiąco. – Ale czymże to mieliby zawinić Holtowi owi trzej? A może Holt ot tak, przygodnie, morduje przypadkowych ludzi? Jak to wiedźmin? Przecież na wiedźmina można zwalić wszystko. Na wszystko znajdą się dowody i świadkowie i wszyscy uwierzą, bo

przecież za wiedźminem wszelkie zło się ciągnie i paskudne miazmaty i trzeba spalić wszystko, czego on się dotknie. Wszystkiemu on winien być musi, w tym i morderstw. Zwłaszcza jeśli prawdziwych przestępców nijak nie można znaleźć, a trzeba się wykazać...

– Owi trzej zamordowani – wyjaśnił spokojnie Estevan Trillo da Cunha – przewodzili pospolitemu ruszeniu, które w roku sto dziewięćdziesiątym czwartym zaatakowało Kaer Morhen, to wasze Wiedźmińskie Siedliszcze. Właśnie dlatego, młodzieńcze, nie dam wiary, że winę za te zbrodnie ponoszą jacyś różni przypadkowi przestępcy. Bo wiem, kto zawinił naprawdę i jaki miał motyw.

– No, to się wyjaśniło – powiedział wolno Geralt. – Jesteśmy finalnie w domu. Rok sto dziewięćdziesiąty czwarty. Wiesz co, prefekcie? Jeśli to wszystko prawda, to tym trzem należało się, zasłużyli na swój los, sam bym ich chętnie zakatrupił, miałem motyw jak cholera, szkoda, że ktoś mnie ubiegł. Gdyby się trafiło spotkać tego kogoś, pogratulowałbym i podziękował. I postawił piwo.

– Nie będzie ci dana po temu okazja. – Prefekt wstał z sąsieka. – Bo będziesz siedział w celi w Sturefors w oczekiwaniu na rozprawę. Chyba że zgodzisz się...

– Nie zgodzę się.

– Czy wiesz, czemu rozmawiamy na odludziu i bez świadków? Bo jeśli zgodzisz się dostarczyć mi dowody, o które mi idzie, jeśli chociaż przyrzekniesz, że ich poszukasz, to odjedziesz stąd wolny niby ptak, a o naszej rozmowie nie dowie się nikt. Ale jeśli oficjalnie cię aresztuję, maszyna ruszy i wkręci cię w tryby, a z tych trybów nie wyjdziesz inaczej, jak tylko na szafot.

– Nie zgodzę się.

Estevan Trillo da Cunha wstał gwałtownie, podszedł do Geralta, bardzo blisko. Geralt, który już od jakiegoś czasu bawił się

w kieszeni swoim kluczem, zastanawiał się, co będzie lepszym celem – bregma, czyli łbisko? Czy też nasada nosa i owa tak ładnie brzmiąca glabella?

Do stodoły wpadł jeden z kuszników, zdyszany i spocony, gestykulował mocno. Prefekt jeszcze raz uderzył Geralta oczami, po czym wyszedł.

Geralt został sam. Tylne wrota stodoły był półotwarte, nikt ich nie pilnował, nie byłoby trudno dać tamtędy nogę i zniknąć w niedalekich chaszczach. Wiedźmin nie myślał jednak zostawiać na pastwę prefekta ani Płotki, ani swoich mieczy. Co będzie, to będzie, postanowił, siadając na sąsieku. Zaczekam.

Czekał. Z zewnątrz dobiegały podniesione głosy, stuk kopyt, chrapanie i rżenie koni. Po długiej chwili zapadła zupełna cisza. Zdawało mu się jednak, że słyszy pochrapywanie koni. I skrzyp żurawia studni.

Gdy wreszcie znudzony czekaniem wyszedł, mrużąc oczy od słońca, zdziwił się mocno. Na majdanie czekało pięciu konnych, w siodłach. Wszyscy mieli na sobie czerwono-czarne jaki. Po tych żółto-czarnych i po prefekcie z Ard Carraigh nie było śladu.

Przy studni stała wysoka jasnowłosa kobieta w męskim łosiowym kolecie i wysokich butach. Wyciągnięty ze studni ceber przelewała właśnie do koryta. Z koryta, schyliwszy łeb, piła Płotka.

Podszedł bliżej. Kobieta miała jadowicie zielone oczy o kształcie migdałów. Z rozpięcia koletu raziła wzrok biel gorsu mereżkowanej koszuli. Z wyszywanego srebrną nicią pendentu zwisał długi kord.

Gestem urękawiczonej dłoni kobieta wskazała oparte o studnię miecze.

– Twoja własność, jak mniemam?

Kiwnął głową.

– Jestem Elena Fiachra de Mersault, komendantka służby ochrony Marchii Górnej.

Geralt powinien był powiedzieć coś dowcipnego. W rodzaju, że urodzaj jakiś na służby ochrony. Albo że worek ze służbami się chyba rozpruł. Nie powiedział nic. Zwyczajnie zapomniał języka w gębie.

Kobieta zorientowała się w sytuacji i nie kontynuowała.

– Koń napojony – powiedziała po chwili krótko. – Możemy zatem ruszać.

– Nie będę... – Geralt odzyskał mowę. – Nie będę dostarczał dowodów.

– Dobrze się składa. Bo mi nie zależy. Na koń, proszę.

– To nie jestem aresztowany?

– A chcesz być?

– Nie.

– To wskakuj na siodło. Nudzi mnie ta rozmowa.

– Ale chciałbym wpierw...

– Pan margrabia Luitpold Lindenbrog – ucięła Elena Fiachra de Mersault – życzy sobie, byś ty, wiedźmin, zjawił się na posłuchanie w jego siedzibie, w kasztelu Brunanburh. Margrabia Lindenbrog ma tutaj, w Marchii Górnej, pełnię władzy. Na tę władzę, nawiasem mówiąc, dopiero co się powołałam. Nakazując Estevanowi Trillo da Cunha, by cię poniechał i wracał do siebie, do Ard Carraigh. Nie bacząc ani na to, co do ciebie ma, ani na to, czego od ciebie chce. A Estevan, choć jest w służbie króla, usłuchał grzecznie. Jak widzisz, nie ma go tu już. Wystarczyło słowa, by znikł. Sugeruję, byś i ty usłuchał życzenia pana margrabiego. Równie grzecznie. Nie myślę tracić więcej słów.

– Pojąłem. Cóż, jedźmy zatem.

●

Elena Fiachra de Mersault, komendantka służby ochrony Marchii Górnej, wiekiem zdawała się równolatką z kapłanką Nenneke

z Elsborga, co czyniło, jak wykalkulował Geralt, lat jakoś tak pod trzydzieści. Niełądną nazwać nie można było jej żadną miarą, była to jednak uroda zupełnie innego rodzaju niż uroda Pampinei Monteforte czy dziewcząt z „Lorelei". Uroda dziewcząt z „Lorelei" była – Geralt długo szukał właściwego słowa – pluszysta? Pluszata? Pluszowa? Taka miękka, miła i przyciągająca. Do komendantki de Mersault natomiast nic, ale to nic nie przyciągało.

Jechali w zupełnym milczeniu z godzinę chyba. I absolutnie nic nie wskazywało, by to de Mersault miała odezwać się pierwsza. Geralt miał, owszem, kilka pytań, ale nie kwapił się ich zadawać. Pamiętał, że komendantka nie lubiła tracić słów, nie uśmiechało mu się ponownie tego od niej usłyszeć.

Ale w końcu nie wytrzymał.

– Do czego jestem potrzebny margrabiemu?

Komendantka podjechała bliżej, tak blisko, że trąciła strzemieniem stopę Geralta.

– Jesteś wiedźminem. – O dziwo, nie zwlekała z odpowiedzią. – Jesteś potrzebny do spraw wiedźmińskich.

– A konkretnie?

– Nawet bardzo konkretnie.

Zamilkł, tracąc powoli cierpliwość.

Z oddali, tam, gdzie kończył się las i jaśniał zachód słońca, dobiegło szczekanie psów. I ryk wołu.

– We wsi – powiedziała Elena Fiachra de Mersault – przenocujemy. Wezmę tam margrafi stan. Wtedy pogadamy.

●

Stan, czyli obowiązek utrzymania orszaku podróżujących dostojników, notabli i urzędników niższego szczebla, był powinnością najczęściej oznaczającą dla wsi lub osiedla istny dopust boży, porównywalny chyba tylko z pożarem lub najazdem

wrogich wojsk. Geralt widywał w świątyni w Elsborgu wieśniaków, upraszających pomocy kapłanek i ich mediacji w sprawie skarg, jakie zanosili do władz na urzędników, którzy powinności stanu nadużywali, i to niekiedy mocno.

Nie należało się zatem dziwić, że wieś na skraju lasu, biedna zresztą zauważalnie, powitała komendantkę de Mersault i jej żądanie stanu bez entuzjazmu. Ba, niektóre baby zaczęły otwarcie lamentować, a dzieci beczeć. Niepotrzebnie. Komendantka skorzystała z powinności nader powściągliwie. Owszem, sama nie odmówiła, gdy starszy osady oddał do jej dyspozycji całą swą chałupę. Żołnierzom kazała jednak zanocować w szopie. I sustentować się własnym prowiantem, nie uszczuplając i tak nader szczupłego już dobytku społeczności i zapasów żywności i paszy, bez których przetrwanie zimy mogłoby okazać się dla wsi problematyczne.

O obietnicy nie zapomniała. Gdy zapadła noc, Geralt towarzyszył jej w chacie starszego osady. Za krzywym i niestarannie oheblowanym stołem. Przy świecy, którą wydobyła z własnych juków. We wsi świecy nie uświadczyłeś, były tylko kaganki. Te zaś okropnie śmierdziały starym łojem.

– Jesteś – zaczęła, wpatrzona w migotliwy wąs płomienia świecy – co widać, wiedźminem młodym raczej. Toteż nie powinno cię zdziwić, gdy spytam, chcąc się upewnić. Potwór zwany strzygą. Posiadasz wiedzę o czymś takim?

– Posiadam. Strzyga to potwór z grupy upiorów, podgrupy nocnic. Powstać może w wyniku zmian płodu skutkiem klątwy lub uroku rzuconego na ciężarną matkę…

– Gdy ciąża jest wynikiem incestu.

– Według podań ludowych. Klątwa lub urok mogą też być rzucone nie na płód, ale na osobę. W dowolnym wieku. Jeśli urok podziała, obłożona nim osoba po śmierci stanie się strzygą.

– Widziałeś kiedykolwiek?

– Widziałem – potwierdził. Nie skłamał. Ale nie dodał, że widział ryciny. W *Physiologusie* i innych księgach z wiedźmińskiej biblioteki.

– I wiesz, jak sobie z czymś takim poradzić.

– Wiem. – I tym razem nie dodał, że z książek i wykładów Vesemira.

– Czyli – podjął, nie doczekawszy się reakcji – macie w Brunanburh strzygę. To jest sprawa, do której jestem potrzebny margrabiemu.

W krąg światła rzucanego przez świecę wbiegła mysz. Stanęła słupka, rozejrzała się. Podbiegła do czubka buta Eleny Fiachry de Mersault. Potem przebiegła przez czubek. I znikła w ciemności.

– Mniej więcej rok temu, latem – Elena Fiachra de Mersault odprowadziła mysz beznamiętnym wzrokiem – do kasztelu Brunanburh zawitała szlachcianka z Ard Carraigh. Potajemnie i incognito. Z córką, lat piętnastu. Szlachcianka poprosiła o azyl i obronę. Z uwagi na dawną znajomość margrabia Lindenbrog zagwarantował jej jedno i drugie. Po krótkim pobycie szlachcianka opuściła kasztel i Marchię. Dokąd się udała, wiadomym było wyłącznie margrabiemu. Ale pojechała sama. Córka została u nas.

Geraltowi wydało się, że po ostatnich słowach komendantka westchnęła lekko. Ale nie przeszkadzał w monologu.

– Córka została – powtórzyła komendantka. – Ale na krótko przed Midinvaerne zachorowała i rychło zmarła. Margrabia bardzo to przeżył.

Geralt domyślał się dalszego ciągu. To, że się domyślał, komendantka odgadła bez trudu. I skróciła relację.

– Zaczęło się jeszcze przed końcem Yule. Dziewczyna zaczęła wychodzić z grobu jako... Jak to powiedziałeś? Potwór z grupy upiorów i podgrupy nocnic? Ludzie nie mieli jednak problemów z nazwaniem potwora jego właściwym imieniem. Bo chociaż

wszystko było jedną wielką tajemnicą, plotek nie dało się powstrzymać. Owa szlachcianka z Ard Carraigh zbiegła ze stolicy przed ojcem. Z córką, która… Była zarazem jej siostrą. I dlatego właśnie została strzygą. Potworem z bardzo wielkimi i bardzo ostrymi zębami.

– Strzyga – Elena Fiachra de Mersault wciąż patrzyła na płomień świecy – zaczęła robić to, co zwykle robi strzyga. To znaczy wyłazić z grobu nocami i zabijać ludzi. Na potęgę.

– Prawdziwe bogactwo Marchii Górnej – podjęła po chwili – i margrafa osobiście, to sól. Całe Przedgórze, czyli zachodni stok Gór Sinych, zwłaszcza okolice Brunanburh, stoi na ogromnych podziemnych bryłach soli kamiennej, tej najlepszej jakości. Obecnie pracują tam już trzy szyby, a wydobycie sięga kilku tysięcy centnarów rocznie. A perspektywy są znacznie większe. Pod Brunanburh wyrosło całe miasteczko górników, mieszka tam ich dobra setka, z rodzinami.

– Pech chce, że cmentarz i grobowiec strzygi są właśnie w pobliżu tego miasteczka i samej kopalni. Strzyga nie trudzi się dalekim chodzeniem i liczba ofiar wśród górników rośnie. I nagle nikt nie chce ani tam mieszkać, ani pracować w margrabiowskiej żupie. Strzyga zagraża Marchii ekonomicznie.

– Powiesz, że gromada górników z oskardami powinna dać sobie radę z byle strzygą, tak? Otóż nie dała sobie i nie daje. Rozeszły się plotki i słuchy. A to, że strzyga to stwór nadprzyrodzony i śmiertelnikom się z nią nie dołać. A to, że każdy przez strzygę ukąszony sam się strzygą stanie. A to, że nie trzeba ukąszenia, samego spojrzenia wystarczy. A to, że i spojrzenia nie trzeba, klątwa strzygi działa nawet na odległość i biada każdej będącej w okolicy niewieście ciężarnej. A do tego wszystkiego…

Zamilkła nagle. Płomień świecy zafalował, knot prysnął i zakopcił.

– Do tego wszystkiego wieść głosi, że margrabia Lindenbrog nie myśli o tym, by dokonać… anihilacji. Wciąż nadaremnie szuka sposobu, by zdjąć klątwę. I odczarować dziewczynę. Margrabia szuka, strzyga morduje, górnicy uciekają z Brunanburh, lud się burzy. I domaga, by margrabia coś wreszcie zrobił. Konkretnie, by wyzbył się uprzedzeń, które ma. I wezwał pomocy wiedźminów. Których… No, powiedzmy, że nie lubi.

Geralt mógł pokiwać głową, ale uznał, że nie trzeba.

– W Szklanej Górze – komendantka uniosła głowę – zdjąłeś urok, zabijając osobę, która urok rzuciła. W przypadku strzygi też się tak postępuje?

– Nie. Całkiem inaczej. I żeby było jasne: nie zamierzam jechać do Ard Carraigh, żeby zabić ojca dziewczynki.

– Dobrze wiedzieć.

Milczeli czas jakiś.

– Mam dziwne uczucie – odezwał się – albo raczej przeczucie. Że nie mówisz mi wszystkiego.

Tak naprawdę Geralt nie miał ani uczucia, ani przeczucia, a w zachowaniu i mowie komendantki nie było niczego, ale to absolutnie niczego, co mogłoby faktycznie wskazywać na niepełną szczerość. Po prostu strzelił na chybił trafił. O dziwo, trafił.

Równie dobrze mógł nie trafiać. Bo Elena Fiachra de Mersault w ogóle się nie przejęła.

– Nie zwykłam – spojrzała mu w oczy nad płomieniem świecy – wyznawać wszystkiego na pierwszej randce. A teraz idź już stąd. Wyruszymy o wschodzie słońca, trzeba się wyspać.

Istnieją, drogi margrabio, na tym świecie zjawiska nieodwracalne. Takie, które przemieniają się tylko w jedną stronę i przemienione odmienić się na powrót w poprzednią postać nie mogą. Przykładowo: nie da się z rybnej zupy zrobić akwarium. Albo, żeby użyć prostszych i bardziej zrozumiałych dla Ciebie słów, nadto z dziedziny bardziej Ci bliskiej: nie da się odzbuczyć jaja, które się zezbuczyło. Jeszcze prościej i bez metafor: co się strzygą stało, strzygą będzie po wiek wieków. Było, drogi Luitpoldzie, myśleć wcześniej. I głową, a nie kuśką. A teraz masz to, na coś zasłużył.

Fragment listu czarodzieja Artamona z Asguth, dziekana Akademii Magii w Ban Ard, do Luitpolda Lindenbroga, margrafa Marchii Górnej.

Rozdział jedenasty

Teren za kasztelem Brunanburh był płytką kotlinką, naturalnym siodłem między wzgórzami. Kasztel wznosił się na wyższym, urwistym wzgórzu, nad niższym dominowały ruiny majestatycznej niegdyś budowli, ruiny wciąż majestatyczne. Geralt domyślał się, że kiedyś była to świątynia. A dużo dawniej niż kiedyś jakaś budowla elfów, którą najpierw zrujnowano, a później na świątynię przerobiono. A potem tę ostatnią zrujnowano również.

Kotlinkę, prócz pokracznych wierzb, okalał chruśniak, splątane krzewy, prawdziwy ich gąszcz. Środek zaś pokrywał podobnie prawdziwy las kamieni nagrobnych, głazów przeróżnego rozmiaru i kształtu. Od razu dawało się zauważyć podział cmentarza na część

starożytną, pamiętającą czasy elfie, i nowszą, ludzką. W elfiej dominowały mocno tknięte zębem czasu i obrosłe mchem przysadziste dolmeny. Nowszą, ludzką, pokrywały nagrobki nowoczesne – smukłe kolumny, kolumienki i stele.

Była pełnia. Cmentarz w świetle księżyca prezentował się urokliwie i czarownie.

Geralt był poinstruowany, wiedział, gdzie szukać właściwego grobu. Bez instrukcji znalazłby go pewnie również, bo się wyróżniał. Nie było tam steli, jedynie płyta z jasnego marmuru. Płyta zupełnie gładka, bez żadnych znaków czy epitafiów.

Nieomylnym znakiem były też porozrzucane w okolicy czaszki i kości. Niektóre ofiary strzyga wlekła w pobliże swej krypty, by tu ucztować.

Wiedział, co przyjdzie mu czynić, dobrze pamiętał nauki z Kaer Morhen.

Wszystkie teorie odczarowywania upiorów z grupy nocnic – a było tych teorii kilka – zgodne były co do faktu, że metamorfujący strzygę czar pryśnie, jeśli martwicę zaskoczy poza jej kryptą trzeci kur, znaczy się, trzecie pianie koguta. Rzecz jasna nie o samego koguta szło ani o jego pianie, lecz o astronomiczny czas i położenie Słońca poniżej horyzontu. O astronomicznym czasie mało jednak kto słyszał, a położenia Słońca pod horyzontem nikt poza astronomami nie umiał zmierzyć. Czas wyznaczały więc koguty, piejąc po trzykroć między północą a świtem. Pierwsze pianie, czyli pierwsze kury, miały miejsce zaraz po północy. Drugie kury zwiastowały rychły brzask, czyli moment, gdy nad horyzontem pojawiała się poświata. Trzecie kury rozbrzmiewały o świcie, w momencie, w którym poświata brzasku zacierała na nieboskłonie najsłabiej jaśniejące gwiazdy.

Było tuż przed połową października, a daleki dzwon i pierwsze kury obwieszczające północ przebrzmiały jakoś tak godzinę temu.

Do świtu pozostawały więc mniej więcej cztery godziny. Może trochę więcej. Może mniej.

Usiadł na grobie u wylotu ścieżki wiodącej do osiedla górników. Z torby wydostał szkatułkę, wcisnął zapadkę, przesunął palcem po zamknięciach flakoników. Wilga, Czarna Mewa, Czajka, Pliszka, Kos, Czapla, Lelek i Dziwonia.

Dziś, pomyślał, wydobywając flakonik z przegródki, bez Lelka się nie obędzie.

●

Wszystkie cztery ściany komnaty dekorowały trofea myśliwskie. I to nie byle jakie. Wieńce jeleni, wśród których najmniejszymi były chyba ośmiodwudziestaki. Suknie i łby jak nic sześćsetfuntowych odyńców. Skóry wielkich rosomaków. Niebywałej wielkości ślimy, czyli karbowane rogi muflonów.

Honorowe miejsce – nad kominkiem, przy którym grzał nogi Luitpold Lindenbrog, margrabia Marchii Górnej – zajmowało poroże gigantycznego łosia, łopaty o rozpiętości dobrych osiemdziesięciu cali.

Margrabia w milczeniu przypatrywał się Geraltowi, bawiąc się wielkim srebrnym pucharem, zdobionym czymś w rodzaju fragmentów kości. Wyglądał jak dobrze zadbany pięćdziesięciolatek. Względnie jak czterdziestolatek, który całe życie kompletnie o siebie nie dbał. Sinawy nos i wydatny brzuch zdradzały upodobanie do trunków i rozkoszy stołu.

Mimo tych epikurejskich raczej cech margrabia wyglądał surowo i groźnie. Może to przez mocno pobrużdżone zmarszczkami i przedłużone zaawansowaną, a przedwczesną łysiną czoło. Może przez brwi, krzaczaste i nastroszone jak para jakichś kosmatych gryzoni. Może przez oczy o paskudnym wyrazie.

Na Geralcie bijąca od margrabiego groźna surowość nie zrobiła wrażenia. Zapewne skutkiem młodzieńczego braku wyobraźni.

W kącie komnaty, pod wielkim wypchanym orłem, stało krosno, przy nim siedziały dwie kobiety, dokładniej jedna kobieta i jedna dziewczynka. Dziewczynka miała jakieś dwanaście lat i wyglądała jak dziewczynka. Ładna, gdyby nie ślady po ospie. Kobieta miała długie proste włosy, wielkie oczy i wąskie usta. Nie wyglądała najlepiej. Może przez przeraźliwą bladość oblicza i biel delikatnych rąk. Może przez coś jeszcze, czego Geralt nie umiał zdiagnozować.

Obie – kobieta i dziewczynka – pracowały przy krośnie. Automatycznymi dość ruchami obsługując urządzenie, przeplatając wątek i nici osnowy, kobieta czółenkiem, dziewczynka bidełkiem. Coś, co w wyniku pracy powstawało, przypominało firanę. Albo sieć. Układ nitek był dziwny – wzór wyglądał jak rybia łuska. Albo jak płytki zbroi karaceny.

Fragmenty kości na kielichu margrafa, jak zauważył Geralt, obejmowały zęby i oczodoły.

– Wiedźminie – przerwał ciężkie milczenie Luitpold Lindenbrog, unosząc puchar. – Czy wiesz, co to jest?

Geralt wiedział, ale zmilczał.

– Ten kielich – podjął margraf – został sporządzony z czaszki wiedźmina właśnie. Herszta wszystkich wiedźminów. To trofeum z wiekopomnej bitwy pod Kaer Morhen, jaką stoczono w roku sto dziewięćdziesiątym czwartym. Na pamiątkę owej bitwy części czerepu ubitego wówczas wiedźmina zostały wprawione w kielich. Kielich ten rodzic mój, margrabia Marchii Górnej przede mną, otrzymał w podarunku od jednego z uczestników tamtego zwycięskiego boju.

Geralt nie miał najmniejszego zamiaru wyprowadzać margrafa z błędu. Trofeum było oczywistym falsyfikatem. Czy margraf miał

tego świadomość, czy też został okpiony, nie miało większego znaczenia.

– Dlaczego ci to mówię i dlaczego niniejszym piję z kielicha w twojej przytomności? Robię to, by ci uświadomić, że podobnie jak mój rodzic za wiedźminami nie przepadam. Mutację, której zawdzięczacie swoje istnienie, uważam za rzecz przeciwną naturze i nie zasługującą na to, by w naturze egzystować. Jeśli nawet odważnie przyjmiemy, że czynicie tyleż dobrego, co i złego, jeśli założymy, że wasze dobre uczynki równoważą wasze wybryki i przestępstwa, to w rezultacie wychodzi na zero. Zero. Czyli nic. Ten zerowy wynik oznacza, że, krótko mówiąc, jesteście światu całkowicie zbędni.

– Ale – margrabia łyknął z pucharu i uniósł głowę – mogę zdobyć się na tolerancję, gdy w grze jest profesjonalizm. Nie przepadam, oględnie mówiąc, także za elfami i mieszańcami. Ale toleruję Fiachrę de Mersault, kwarteronkę, ba, zaszczycam ją wysokim stanowiskiem, bo to wybitna profesjonalistka. Jeśli więc przemagam odrazę i rozmawiam z tobą, to też dlatego, że za profesjonała chciałbym cię uważać. Chociażeś gołowąs... Deianira! Herzeloide! Dość mi tego stukania! Wyjdźcie! Obydwie!

Ostatnie słowa margrafa zabrzmiały iście jak ryk łosia. Kobieta i dziewczynka aż skuliły się na ten dźwięk. Powstały i w pośpiechu opuściły komnatę, porzucając tak krosno, jak i utkaną w rybią łuskę firanę.

Luitpold Lindenbrog odprowadził obie wzrokiem, zachowując milczenie, nim wyszły. Dla Geralta stało się jasne, że to nie stuk krosna przeszkadzał margrabiemu, lecz ich obecność. Najwyraźniej nie chciał przy nich mówić.

– Powierzona mojej opiece panna – przemówił wreszcie, łyknąwszy znów z kielicha – zmarła nagle. I po śmierci, po pochówku, przemieniła się w strzygę. W diabelską poczwarę, która

nocami wyłazi z grobu, zabija ludzi i sieje postrach w całej okolicy. Komendantka de Mersault miała rozkaz wprowadzić cię w szczegóły, więc niezawodnie je znasz. Potwierdź.

– Potwierdzam.

– Ja zaś dorzucę co nieco. Widzisz, wiedźminie, wieści tutaj rozchodzą się migiem, zwłaszcza gdy ktoś pomaga im się rozchodzić. Zaś pewien kapłan ze Szklanej Góry pomagał, i to bardzo. Chwalił się wszem wobec, że w owym miasteczku za pomocą modłów żarliwych odczarował i uwolnił od straszliwej klątwy burmistrza i jego rodzinę. Gdy i do moich uszu to doszło, a strzyga już podówczas zdążyła zagryźć z tuzin ludzi, posłałem Fiachrę i owego kapłana kazałem do oczu sobie postawić. No i stoi przede mną, wypisz, wymaluj, jak ty teraz. Ale jemu łydki się trzęsły, aż litość brała, a tobie, baczę, nie trzęsą się. Ha, pewnie przez brak wyobraźni.

– Ale wróćmy do sprawy. Mówię kapłanowi, w czym rzecz, że strzyga jest i że odczarować trzeba. Opisałem mu, jak strzyga wygląda i czym się para. A on, widzę, blady się zrobił jak dupa zimową porą. Czuję więc pismo nosem, ale pytam grzecznie, bardzo grzecznie, czy on aby pewny jest, że tam w Szklanej Górze to jego właśnie modły złorzeczenie przemogły? I czy gotów jest wyczyn powtórzyć i naszą upierzycę odczarować? A on oczy spuścił, mamrocze coś. Ponaglony głową kiwa, pry, gotów jest, ale wpierw musi do bogów się pomodlić w samotności noc całą. Przyzwalam łaskawie, ale żem nie łykiem szyty, każę potajemnie wartę postawić. I co? A imaginuj sobie, że ledwo się ściemniło, kapłan chyłkiem nogę dać próbuje. Naturalnie warta go za kark i do mnie. Ja znów pytam, i znów grzecznie, czemu zbiec zamiarował? Jak to tam z tym jego klątwy odczynianiem było i czy klimkiem mi nie rzuca bynajmniej? A on dalej swoje. Mnie zaś grzeczność minęła dziwnie jakoś. Krócej, wkurwiłem się. Kazałem go do żelaznej klatki wsadzić

i na krokształtynie nad urwiskiem powiesić. Nie powisiał nawet i pół godziny, a już wrzeszczy, zmiłowania prosi. I wyznaje, że w Szklanej Górze to wcale nie on klątwę odczynił. I nazwał tego, kto tego naprawdę dokonał. Odgadniesz, kogo nazwał?

Geralt pokiwał głową.

– Odgadłeś – ucieszył się pozornie margrabia. – Wielcem rad. No to teraz co? Podejmiesz się strzygę odczarować? Nie mów mi tylko, że wpierw musisz modlić się noc całą. Bo klatka wisi tam, gdzie wisiała.

– Z kapłanem w środku?

– Gdzieżby tam – skrzywił się Luitpold Lindenbrog. – Uwolniłem go i posłałem w diabły. Kazawszy wpierw, gwoli nauki, wsypać mu kilka bizunów.

– Czy jeszcze ktoś próbował... Czy już kogoś wasza mość... Marchia ma chyba czarodzieja rezydenta?

– Miała. Wzięło mu się i zmarło, wiosną łońskiego roku. Mieli mi kogoś przysłać z Ban Ard, do dziś dnia nie przysłali. Jeśli zaś już przy Ban Ard jesteśmy, to w sprawie strzygi upraszałem pomocy u jednego czarodzieja stamtąd. Możnego maga, dużą w tej ich akademii figurę, a na dodatek krewniaka Deianiry, małżonki mojej, a wcześniej komilitona mego ojca nieboszczyka. Myślałem, dopomoże. Kto, myślałem, jak nie on. Różdżką machnie, zaklęcie wyśpiewa i odczaruje. A on... Miast pomóc, list do mnie napisał.

Geralt widział minę margrabiego i domyślał się treści listu, ale milczał.

– Ten list – wycedził margraf – zachowałem. A trafi się okazja, to każę go skurwysynowi zeżreć.

– A zatem – Luitpold Lindebrog wstał – pozostałeś na placu boju ty. Wyznam ci szczerze, że mierzi mnie mocno, musieć ciebie, wiedźmina, cierpieć tu i prosić o pomoc, ale mi się niestety inne opcje skończyły. Z wielką tedy niechęcią, ale to tobie, nie komu

innemu, muszę zaoferować za godziwą robotę godziwą zapłatę. Więcej niż godziwą, powiedziałbym. Pięćset novigradzkich koron. Tyle dostaniesz, jeśli zdejmiesz urok i ze strzygi znowu będzie dziewka. Odczyniłeś, jak dowiedziono, urok rzucony na burmistrza w Szklanej Górze. Znaczy się, umiesz odczyniać, chociażeś młokos. Odczaruj tedy strzygę. Gwoli mojej satysfakcji, a twego zarobku. I sławy, bo o twoim wyczynie roztrąbię na świat cały. Będziesz sławniejszy niźli sam Preston Holt.

– A teraz wyjdź. Audiencja skończona.

●

Geralt czekał.

Przetrzymał pierwszy wstrząs po wypiciu eliksiru. Wzrok błyskawicznie adaptował mu się do ciemności. Księżyc dawał dość światła, gdy wyglądał zza chmur, ale eliksir sprawił, że wiedźmin widział jak za dnia, a nawet lepiej, bardziej ostro i kontrastowo. Widział szczury, biegające po nagrobkach, do niedawna skryte w cieniu. Słyszał ich popiskiwanie, bo słuch wyczulił mu się również. Z oddali, od strony osiedla górników, słyszał szczekanie psów. I odległe pohukiwanie sowy.

Czekał.

Najpierw uciekły szczury, rozprysnęły się na wsze strony jak szare pociski. A potem kamień zazgrzytał o kamień.

Strzyga wyskoczyła z grobu jak pchnięta sprężyną, susem na dobre dwa sążnie w górę. Zaryczała, zawrzeszczała, w dzikich podskokach obiegła grobowiec, doskoczyła do najwyższej w okolicy steli, wdrapała się na sam szczyt, zwinna jak małpa. Po małpiemu zatrzęsła zadartym tyłkiem, wrzeszcząc i wyjąc. I dostrzegła wiedźmina.

Znów zawrzeszczała upiornie, zeskoczyła ze steli. Zamachała długimi łapskami. I od razu zaatakowała. W szerokiej, rozwartej

w ryku paszczy zabłysły kły, wielkie i ostre jak sztylety.

Geralt odskoczył, zawirował w piruecie, strzyga otarła się o niego, kły kłapnęły, szpony przecięły powietrze. Wykorzystał okazję i przewagę, z całej siły uderzył ją pięścią w bok głowy, srebrnymi ćwiekami rękawicy. Zasyczało, zadymiło, potworzyca przypadła do ziemi, zaryczała dziko, zatrzęsła łbem. Dobra nasza, pomyślał, jak każda strzyga jesteś wrażliwa na srebro, ślicznotko.

Strzyga nie spieszyła się z następnym atakiem, trzęsła łbem i dymiącym uchem. Tym razem zbliżała się wolno, szczerząc kły, śliniąc się obrzydliwie.

Księżyc na moment wychynął zza chmur, rozjaśnił okolicę wystarczająco, by Geralt mógł lepiej przyjrzeć się martwicy.

Wzrostu była nikczemnego, wszystkiego jakieś cztery stopy, z nieproporcjonalnie olbrzymim łbem, okrągłym jak dynia. Wielkie wyłupiaste ślepia gorzały ogniem, w szerokiej rybiej paszczęce bielały kły. Imponującej wielkości.

Na skórze miała dziwny wzór. Deseń. Jakby wypalony. Lub wytrawiony kwasem.

Geralt wolno wkroczył pomiędzy nagrobki. Idąc, otaczał strzygę, ta obracała się w miejscu, sprężona i skurczona, gotowa do ataku. Szczerzyła zębiska i kłapała żuchwą.

Wiedźmin rozwinął srebrny łańcuch, pętlami układając go w lewej dłoni. Prawą ręką wprawiał koniec łańcucha w ruch wirowy. Czekał na sprzyjający moment, na chwilę, gdy strzyga oddali się od nagrobków, wyjdzie na czystszy teren.

Doczekał się, i to szybciej, niż się spodziewał.

Łańcuch świsnął w powietrzu, a potworzyca przypadła do ziemi i zaatakowała z leżącej niemal pozycji. Łańcuch, miast opleść strzygę, zaledwie smagnął ją po grzbiecie. Zawyła wściekle, jej skóra zasyczała i zadymiła w kontakcie ze srebrem.

Drugiej szansy wiedźmin nie dostał. Na jego zdumionych oczach strzyga ucapiła łańcuch obiema łapami, syk i dym z palonej skóry zdawał się jej nie przeszkadzać, wrzeszczała tylko okropnie. Targnęła łańcuchem. Geralt przezornie puścił swój koniec, ale ostatnie ogniwa zdołały zaczepić za klamrę pasa. Wybity z rytmu stracił równowagę i upadł na nagrobek, przewracając go. Strzyga zaatakowała dzikim skokiem i przygniotła go do ziemi, jej kły zakłapały mu tuż nad twarzą, ślina zalała oczy. Wykręcił się spod niej i z całej siły walnął w kosmate ucho srebrnymi ćwiekami rękawicy. Walnął raz, drugi i trzeci, aż strącił ją z siebie.

Odturlał się, chroniąc za nagrobek, zdołał się zerwać. Strzyga znów hulnęła, tym razem uniknął przygniecenia błyskawicznym odskokiem. Znowu się potknął, cudem odzyskał równowagę. A strzyga już była na nim, już orała pazurami jego kubrak i kłapała kłami przed twarzą. Odtrącił ją rozpaczliwym dość uderzeniem srebrnych ćwieków, tak silnie, że padła na ziemię. Nim się zerwała, odskoczył, złożył palce w Znak Aard.

Nie wyszło.

Spróbował ponownie, ze strachu dość niezbornie. Znowu nie wyszło.

Eliksir nie powinien był do tego dopuścić, ale bojowy szał nagle ustąpił przerażeniu. Panika spłynęła na niego niczym wodospad i to panika podyktowała dalsze akcje. Geralt odskoczył, wyszarpnął miecz z pochwy. Z wyskoku i półobrotu ciął atakującą strzygę w szyję, klasycznym mandritto tondo. Ucięty w połowie łeb zwisł strzydze na bark, mimo tego potworzyca nadal szła, nieskoordynowanie wymachując szponiastymi łapami. Geralt otoczył strzygę półobrotem i ciął raz jeszcze. Głowa odpadła i potoczyła się między groby. Z szyi potwora trysnął wysoko w górę gejzer tętniczej krwi. Zdołał odskoczyć, nim go skąpał.

Zbliżył się, powoli i ostrożnie. Wiedział, że animowany magią potwór potrafił narobić szkody nawet po utracie głowy. Leżąca między nagrobkami strzyga wyglądała jednak na zupełnie martwą. I była taką, w rosnącej kałuży krwi wciąż pompowanej przez serce.

I na oczach wiedźmina zaczęła się zmieniać.

Stopniowo, od stóp poczynając. Poprzez golenie, uda, brzuch, piersi. Aż stała się młodą dziewczyną. Bardzo młodą. I bardzo martwą. Bo bezgłową.

Geralt zaklął dość brzydko. To nie był efekt, którego oczekiwał. I z którego mógłby być dumny. I wcale a wcale nie był.

Pochylił się. I przyjrzał. Zdumiony. Ostatnim, co ze strzygi pozostało w dziewczynie, był ów dziwny deseń na skórze. Jakby wypalony. Lub wytrawiony kwasem. Deseń coraz mniej wyraźny, powoli całkiem znikający, ale wciąż jeszcze widoczny.

Coś jakby rybia łuska. Albo płytki zbroi karaceny.

●

Komendantka Elena Fiachra de Mersault długo patrzyła na niego w milczeniu.

– Powtórz – powiedziała wreszcie.

– Zmuszony byłem – powtórzył posłusznie – dokonać… anihilacji.

– Całkiem? – spytała po kolejnej chwili milczenia – Zupełnie całkiem?

– Bardziej nie można.

– No tak – pochyliła głowę. – Widać zresztą.

Odruchowo potarł twarz, wyczuł zeschłą krew. Nie ze wszystkim udało mu się uniknąć tryskającej ze strzygi fontanny. Po części wyjaśniała się też reakcja pokojówki i strażników, wzbraniających wstępu do sypialni komendantki osobnikowi upstrzonemu krwią jak rzeźnik. Albo medyk.

Elena Fiachra de Mersault powierciła knykciami w kącikach oczu, ziewnęła. Podczas gdy Geralt wykłócał się ze strażnikami, zdążyła wstać z łóżka i się ubrać. Włożyła spodnie i wysokie buty. Nadal była jednak w koszuli nocnej, którą w spodnie upchnęła. Koszula, flanelowa, była w kolorze różowym, zapinana pod szyją na trzy guziczki, z kołnierzykiem o zaokrąglonych rogach.

– No cóż – powiedziała wreszcie. – Co się stało, to się nie odstanie. Margrabia zachwycony jednak nie będzie. Nie o taki efekt, jak mi się zdaje, mu szło.

Teraz na Geralta wypadła kolej długo pomilczeć. Zastanawiał się, co i jak powiedzieć.

– Wiem – rzekł wreszcie ściszonym głosem – jak doszło do przemiany w strzygę. Kto rzucił urok. Kto zawinił.

– Zawinił? – Komendantka de Mersault poderwała głowę, położyła obie dłonie na blacie stołu. – A nie wydaje ci się, że szukanie winnych i orzekanie o winie to całkiem nie twoja kompetencja? Że tym, co mówisz, mocno wykraczasz poza swoją gestię i warsztat?

– Ano tak – westchnął. – Całkiem niedawno uświadomił mi to pewien kowal. Niechaj każdy, powiedział, swego pilnuje. Jego, kowala, rzecz to kowadło i młot. Morderstwo to rzecz starosty i sądów. A rzecz wiedźmina to miecz.

– Proszę – komendantka zmrużyła oczy – jakiż mędrzec był z tego kowala. I jak utrafiał w samo sedno problemu. Użyłeś przed chwilą jednak słowa, którego w danej sytuacji winieneś się wystrzegać. Bo jedynym winnym morderstwa jesteś ty, ty sam. Ktoś inny, z większym doświadczeniem i umiejętnościami, czarodziej, kapłan, uczony, inny wiedźmin wreszcie, mógł dziewczynę odczarować. Była szansa. Ty dziewczynę tej szansy definitywnie pozbawiłeś. Mordując ją. Nie przerywaj. Ja, rzecz jasna, takich oskarżeń wobec ciebie nie wysunę, uznaję, że działałeś w stanie

wyższej konieczności i dla faktycznie wyższego dobra. Dzięki tobie, już od tej nocy, nie będzie więcej ofiar.

– Chciałbym w to wierzyć.

– Co masz na myśli?

– Ty również wiesz, kto zawinił, komendantko.

Pobębniła palcami po blacie stołu.

– Ciekawe przypuszczenie – powiedziała. – Któremu zresztą przeczę. Podejrzenia, przypuszczenia i domysły to nie wiedza. Ty też przecież żadnej wiedzy nie masz. Masz domniemania. I co na podstawie tych domniemań chciałbyś uczynić?

Pochyliła się, spojrzała mu w oczy.

– Co chciałbyś zrobić, pytam? Tak jak w Szklanej Górze, rozwalić, krzyżowymi cięciami, całą klatkę piersiową podejrzanej osoby? Byłam tam, widziałam, coś zrobił z farbiarką. Co zatem teraz? Od kogo zaczniesz? Zmasakrujesz najpierw Deianirę na oczach Herzeloide czy Herzeloide na oczach Deianiry? Matkę na oczach córki czy odwrotnie?

– W Szklanej Górze ja…

– Uratowałeś od śmierci burmistrza, jego żonę i dwójkę dzieci, wiem – przerwała mu gwałtownie. – Tutaj nie uratujesz nikogo. Nie ma kogo ratować.

– Dokładnie biorąc… – zająknął się. – Dokładnie biorąc to jest kogo. Kogoś, kiedyś, finalnie w przyszłości… Kto może wiedzieć, co te dwie mogą jeszcze utkać na tym ich krosienku? Jaki kolejny deseń? Jeśli ktoś umie, jeśli wie, jak rzucać urok…

– Niechybnie rzuci znowu? – przerwała. – Cóż, gwarancji nie ma. Zwłaszcza gdyby zaszły zbliżone okoliczności. Gdyby jakiś podpity staruch zgłupiał na punkcie jakiejś piętnastolatki. Gdyby piętnastolatka kokietowała starucha i kręciła przed nim tyłkiem, ale trzymała na dystans, nie dopuszczała, nim nie spełni jej żądań i zachcianek. A on, zbałwaniały ze szczętem, spełniłby każde. Tak,

dobrze przypuszczasz. Skretyniały na punkcie piętnastolatki Lindenbrog najpoważniej w świecie planował zrobić z tej pannicy, obiektu swych żądz, margrabinę. Dla niego nie pierwszyzna, z tej samej przyczyny wypędził poprzednią żonę. Teraz miał zamiar wypędzić Deianirę. Razem z córką. Dzieckiem, które skutkiem przebytej choroby jest głuche i nieme.

– A zatem – podjęła – żadnych śledztw wszczynać się nie będzie. Nie ma po co. Dla wszystkich było, jest i będzie oczywistym i niepodważalnym, że dziewczyna stała się strzygą, bo była poczęta w związku kazirodczym, została spłodzona przez ojca z jego własną córką. O tym się już szeroko rozpowiada i to już jest wersja obowiązująca. I niech tak zostanie. Rozumiemy się?

Kiwnął głową.

– Świetnie. – Elena Fiachra de Mersault pacnęła w blat dłonią. – Słońce wschodzi, górnicy z osiedla wnet zaczną sposobić się do szychty. Pójdę ogłosić im wspaniałą nowinę. Dzielny wiedźmin wybawił ich. Nieulękle stanął do walki z potworzycą, pokonał ją i zabił. Zagrożenia już nie ma, można przestać po zmroku zapierać drzwi kołkami. I do karczmy można będzie iść z wieczora, a z karczmy wracać do domu choćby i późną nocą. Całe górnicze osiedle, dzielny wiedźminie, i cały kasztel Brunanburh wiedzieć będą o wydarzeniu, zanim jeszcze słońce dobrze się podniesie. I zanim, co nie mniej ważne, margrabia Lindenbrog wygrzebie się spod pierzyny, wyszcza i zażąda wina. Pojmujesz mnie?

Kiwnął ponownie.

– Świetnie – powtórzyła komendantka. – A teraz będę się ubierać, więc wynoś się. Idź do swej kwatery, siedź tam, nie wychodź i nie otwieraj nikomu. Prócz mnie.

Usłuchał bez słowa.

Something is coming, strange as spring. I am afraid.

John Gardner, *Grendel*

Rozdział dwunasty

– Spodziewałem się ciebie wcześniej. – Preston Holt pogrzebał w saganie drewnianą łyżką, wyłowił z kapusty kawałek żeberek. – Wieść niosła, że w Brunanburh byłeś w okolicach połowy października. Gdzie zmitrężyłeś?

– W sumie to nigdzie. – Geralt oblizał utłuszczone palce, łyknął wina. – W Brunanburh zaciągnąłem się jako eskorta transportu soli, jaki ruszał ku Ard Carraigh. Zapłacili przyzwoicie, a u mnie krucho było z gotówką. Karawana wyruszyła krótko przed Saovine, ale wlokła się jak ślimak. Robiło się coraz zimniej, bałem się, że w końcu spadną śniegi, a my utkniemy do wiosny w jakimś obozie…

– Ale wreszcie jesteś. Jak raz w samo Midinváerne. Na ostatni, że się tak wyrażę, dzwonek.

●

W Kaer Morhen, rzecz jasna, znano Koło elfiego cyklu rocznego i osiem świąt, osiem magicznych punktów zaznaczonych na obwodzie Koła. Wiedźmini znali Imbaelk, Lammas, Belleteyn, Saovine oraz solstycja i ekwinokcja. Traktowali jednak wszystkie te dni wyłącznie jako daty kalendarzowe. Nikt w Wiedźmińskim Siedliszczu nigdy nie pomyślał nawet o tym, by dni te jakoś świętować czy czcić.

Spore było zatem zaskoczenie Geralta, gdy w Midinváerne, dniu przesilenia zimowego, dotarł wreszcie do okolic miasteczka Ban Fillim, do folwarku Rocamora, siedziby Prestona Holta. Było po zmroku i dostrzeżony z daleka blask ognia najpierw zaniepokoił go nieco. Uspokojenie przyniosły wkrótce dosłyszane śpiewy, śpiewy wesołe i radosne, nie mogące w żaden sposób towarzyszyć pożarowi czy też innym niemiłym ewenementom. Wszystko się wyjaśniło, gdy wjechał na majdan. Płonęło tam ogromne ognisko, a na ustawionych wokół ławach zasiadał cały personel folwarku, zasilony jeszcze prawdopodobnie o kilku przybyłych z okolicznych wsi krewnych, powinowatych lub znajomych personelu. Geralt ledwie zdołał zleźć z kulbaki, gdy wśród gromkich a nieskładnych życzeń szczęśliwego Solstycjum i wesołego Yule wręczono mu ociekający pianą kufel i kawał opieczonej kiełbasy. Przyszło też chwilę posiedzieć z towarzystwem i nawet udać, że się śpiewa. Nie trwało to długo – Preston Holt zaraz zabrał Geralta do świetlicy i usadził za stół. Na stół ten ochmistrzyni wnet postawiła stągiew wina i parujący sagan, zawierający, jak się okazało, żeberka młodego dzika w przesyconej tłuszczem kapuście.

Holt wydobył z kredensu dwa kielichy, otarł je z kurzu, napełnił.

– Opowiadaj. – Siadł za stół. – Opowiadaj, wiedźminie Geralcie.

●

Opowiadał. Mało składnie i nieco zająkliwie. O wszystkim – lub prawie wszystkim – co zdarzyło się od miesiąca Blathe po początek zimy. Holt słuchał, nie przerywając. Czasem sprawiając wrażenie, że wręcz drzemie. Ożywił się nieco, gdy Geralt doszedł do spotkania z komendantką Fiachrą de Mersault, do audiencji u margrabiego Lindenbroga i do walki ze strzygą.

Z majdanu nadal dobiegały śpiewy, śmiechy i radosne pohukiwania. Świąteczna zabawa trwała w najlepsze.

– Następnego dnia po zabiciu strzygi – kończył opowieść Geralt – nim oddzwoniono południe, całe Brunanburh, otaczające kasztel miasteczko i osiedle górników świętowały pozbycie się potwora, a ja nagle awansowałem na bohatera.

Preston Holt słuchał nadal w milczeniu, bawiąc się kielichem.

– Komendantka de Mersault postarała się, by o moim wyczynie dowiedział się każdy, od najmniejszego dzieciaka po najstarszego dziada. Gdzie się nie pokazałem, fetowali mnie wszyscy hucznie, wiwatowali na cześć, aż mi głupio było. Na rękach próbowali mnie po ulicach obnosić, ale na to nie pozwoliłem. Piosenki zaczynali składać i wyśpiewywać. Ale co było robić, musiałem znosić, bo...

– Margrabia Lindenbrog – domyślił się Holt.

– A jakże. Komendantka wiedziała, co robi, wszczynając rozgłos. Margrabiego odrąbany łeb strzygi raczej nie uszczęśliwił, podejrzewam, że już przymierzał moją własną głowę do swojej kolekcji, nad kominek, gdzieś pomiędzy łosia a muflona. Ale musiał nadrabiać miną, a mścić się nie mógł w żaden sposób, nijak mu było dobierać się do skóry fetowanemu przez wszystkich bohaterowi, który ocalił ludność od śmiertelnego zagrożenia. Zwłaszcza że gromko i powszechnie wiwatowano też na jego cześć, za to, że wiedźmina sprowadził i wynajął. A że górnicy zaczęli wracać i sól jęli kopać w dwójnasób, margrabiemu jakoś łatwiej było odżałować fakt, że młódki, którą sobie upodobał, nie ma i nie będzie. Tyle że...

Geralt zająknął się. Holt nie ponaglał.

– Tyle że nie zapłacił mi nic. I na oczy nie chciał widzieć. To ostatnie mnie zresztą raczej ucieszyło, bo...

Zamilkł. I milczał długo. Preston Holt pokiwał głową, wstał, wyjął z kredensu wielką kwadratową butlę z ciemnego szkła.

– Widzę – powiedział, nalewając – że opowieść wymaga trunku o większej mocy niż to cienkie wino. Nuże, wypij.

– Co miałem… – Geralt łyknął z kielicha, z trudem złapał dech, zakasłał. – Co miałem margrabiemu powiedzieć? Że to wszystko moja wina? Że miast wycieńczać strzygę tańcem aż do trzecich kurów, ściąłem ją, bo… Bo mi nagle nogi zmiękły, a gardło ścisnęło się tak, że w oczach pociemniało?

Preston Holt milczał. Ogień w kominie huczał.

– Miałem mu powiedzieć – uniósł głowę Geralt – że coś ze mną jest nie tak, że jestem defekt, wybrakowany, nieudany wiedźmin? Że popełnił błąd, zlecając zadanie mnie, zamiast jakiemuś bardziej… udanemu wiedźminowi? Takiemu, który nawet bez eliksirów nie może, po prostu nie może doznać czegoś takiego, co ja tam doznałem? Czy margrabia by to zrozumiał? Wątpię. Bo ja sam nie rozumiem.

Holt milczał.

– Tamten maruder, w marcu… Ten, co to mnie za niego mało nie powiesili… Rzucił się na mnie z toporem, a ja nawet nie dobyłem miecza. Gładko wywinąłem się spod ciosu. I dopiero za drugim razem, gdy zamierzył się znowu, to go… I nic mi nie było. Nawet oddech mi nie przyspieszył. Z tą farbiarką też… Więc co ze mną jest nie tak? Prestonie Holt? Czy możesz mi to wyjaśnić?

Holt wstał.

– Nie, nie mogę. Idźmy spać. Późno się zrobiło.

●

Zima, jak się okazało, szła od północy trop w trop za Geraltem, wręcz następując mu na pięty. Dwa dni po Midinváerne powiał mroźny, kąsający skórę wicher. Nazajutrz niebo pociemniało, a w powietrzu zamigotały śnieżynki. Dnia następnego było już wszędzie zupełnie biało. Po kilku kolejnych dniach zaspy piętrzyły się już po horyzont niby góry, a dachy wszystkich budynków folwarku przywdziały grube białe czapy. Wątpić nie było można – nastała

kaedweńska pora zimowa, w krajobrazie nic nie miało się zmienić przynajmniej do marca, jeśli nie do kwietnia.

●

Kilka dni później, gdy po zachodzie słońca siedli u komina z kielichami w dłoni, Preston Holt bez ponaglania poruszył temat, który Geralta nurtował od bardzo dawna.

– Czy wiesz, Geralcie, skąd wzięli się wiedźmini? Jak powstali? Jaki był początek tego wszystkiego?

– Wiem. Mówiłeś w Spynham. Że niby pochodzimy od wiedźm…

– To też prawda. Ale ja mówię o samych początkach. Chcesz posłuchać?

– No pewnie.

Holt łyknął z kielicha, zapatrzony w żarzące się w kominie polana.

– Jak w przypadku wszystkich wynalazków i inowacyj – zaczął – impuls wyszedł od wojska i wojny. Każdemu wodzowi marzyła się jednostka do zadań specjalnych, złożona z niesamowicie sprawnych i niepokonanych w walce nadludzi. Każdy władyka i każdy samozwańczy król pragnął podobnej przybocznej gwardii. Czarodzieje, konkretnie elitarna grupa zwąca się podówczas Kręgiem, postanowili zaspokoić zapotrzebowanie. Tworząc superczłowieka, czyli ulepszoną wersję gatunku ludzkiego, będącą pierwszym stopniem do ewolucji całego gatunku do wyższego pod każdym względem poziomu. W teorii – a raczej w teoriach, bo było ich kilka – chodziło o stworzenie formy przejściowej, z której to formy, drogą doboru naturalnego, powstanie nowa, lepsza rasa ludzka. Metody były różne. Jedni czarodzieje wybrali metodę ożywiania wyselekcjonowanych trupów i ulepszonych trupich kompozycji. Inni koncentrowali się na płodach w łonie matek. Inni wreszcie brali na warsztat maleńkie dzieci. Efektów długo nie było,

a nieudane obiekty lądowały w laboratoryjnych krematoriach. A krematoria dymiły bez przerwy.

– Ale wreszcie przecież się im udało.

– Fakt. Udało się. Podobno zupełnym przypadkiem. Ale wreszcie stworzyli mutagen, anatoksynę, hormon i wirusa, wszystko, co było potrzebne. I oczywiście dopracowali się formuł i rytuałów magicznych, niezbędnych, by te dekokty zadziałały. Ale gdy wszystko już było zapięte na ostatni guzik i brakowało tylko zastosowania całości w praktyce, jeden z pracujących przy projekcie czarodziejów wykradł cały materiał i zbiegł.

– Jak ten heros z legendy, zapomniałem imienia... Ten, co to niby ukradł bogom i dał ludziom ogień. Tak?

– No, tak daleko to bym może nie szedł. Czarodzieje z Kręgu, jak należało oczekiwać, oskarżyli renegata o co się tylko dało, wliczając wredny spisek w celu zdobycia władzy nad światem. Inni przypisywali mu pobudki bardziej szlachetne. Że niby superczłowiek i owszem, ale nie dla władzy, nie do jakiejś królewskiej straży przybocznej, ale dla wspólnego dobra. Dla ogółu. A ogół, przypominam, mocno cierpiał z powodu potworów, czyniących egzystencję niekiedy niemalże niemożliwą. Ulepszona istota miała ludzi przed potworami chronić i ratować. Miała być ratunkiem i lekiem na każde zło.

– Czarodziej-renegat – kontynuował Holt w zamyśleniu – wkrótce dokonał żywota, w niejasnych okolicznościach. Zdążył jednak wcześniej skonstruować laboratorium, w którym zaczęto tworzyć te ulepszone istoty. Laboratorium powstało na Północy, aż za źródłami rzeki Toiny.

– Mirabel. – Geralt stwierdził, nie zapytał.

– Mirabel – potwierdził Holt. – Stara cytadela pod górą Traanberg. Czarodziej miał uczniów. I to ci wyprodukowali w Mirabel pierwszych wiedźminów.

– A Beann Grudd i Kaer Morhen?

– Powstały później. Wśród uczniów, o których mówiłem, były różnice zdań co do tego, jakim sposobem wytworzyć najlepsze mutacje. W końcu doszło do rozbratu i z jednej placówki zrobiły się trzy. Było na wiedźminów zapotrzebowanie, potwory skutecznie uprzykrzały ludziom życie. Więc produkowano, ile się tylko dało. Bez oglądania się na okoliczności. I w ten sposób początek stał się początkiem końca.

Geralt milczał.

– Głowę dam – rzekł Holt – że wiem, jakie jest twoje najdawniejsze wspomnienie z Kaer Morhen. Bo moje jest takie samo. Wielkie dormitorium na dwadzieścia łóżek. Dookoła chłopcy. Spać nie można. Ktoś płacze, ktoś jęczy, ktoś inny krzyczy albo gada przez sen. Mijają tygodnie i robi się coraz ciszej. Wreszcie jest całkiem cicho. Bo zostało was trzech.

– Jeden – mruknął Geralt – był całkiem malutki. Ciągle płakał. A któregoś dnia zabrali go... I już nie wrócił.

– Mutacje – kiwnął głową Holt – potrafią mutować samorzutnie. Przy produkcji eliksirów nieuniknione są błędy. A wytworzone i przechowywane w piwnicach patogeny ulegają degradacji. Nic nie trwa wiecznie. Uważałem – a nie byłem jedynym – że Prób należy zaprzestać. Przeżywało jedno dziecko na dziesięć. Nie można było mówić o granicach błędu. To zakrawało na zbrodnię.

– Trochę to potrwało, były kłótnie, były spory, były argumenty. Ale w końcu rozsądek zwyciężył. Prób zaprzestano całkowicie. Niestety, zbyt późno. Słyszałeś o Kotach, prawda? To się stało, jak wiesz, w Beann Grudd. W Mirabel podobno doszło do czegoś jeszcze gorszego, ale błędy natychmiast... wyeliminowano. W Kaer Morhen nic podobnego nigdy nie miało miejsca. Gdy ty opuszczałeś Warownię, ilu było tam nadal malców?

– Sześciu.

– Ciekawe, ilu przeżyje. W każdym razie ty, Geralcie, jesteś jednym z ostatnich, którzy z Kaer Morhen wyruszyli na szlak.

– Jednym z ostatnich. Szkoda, że niezbyt, jak wychodzi, udanym. To przez te zleżałe eliksiry?

– Może. Może nie tylko. Natura, gdy natyka się na mutację, walczy z nią. Nie masz wyjścia, młody wiedźminie. Musisz pogodzić się z własną niedoskonałością.

●

Zima nie odpuszczała. Mało, zdawała się surowieć coraz bardziej. Rocamora tonęła w zaspach.

Holt szybko znalazł sposób na nudę i bezczynność. Tu nie gawra i w sen zimowy zapadać nikt nie będzie, oświadczył. Są zajęcia i na czas zimowy, zajęcia, których żadnemu wiedźminowi zaniedbywać nie wolno.

Odziani w przeszywane kaftany i ochronne skórzane czapki, uzbrojeni w trzystopowe dębowe kije, obaj wiedźmini godzinami ćwiczyli wypady, parady i finty. A było co ćwiczyć.

Były angelika i angelika ridoppio, niezawodne w ataku na tętnicę szyjną. Delta i delta stocatta, kończące się rozcięciem tętnicy udowej. Alfa i alfa sottomano, na tętnicę pachową. Volta affondo dwa na trzy i volta affondo dexter na tętnicę ramienną. Oraz finty uniwersalne, o wszechstronnym zastosowaniu: dziewiątka, lilia stretto passo, lilia fendente i lilia montante. No i – rozumie się samo przez się – były obronne parady na wszystko powyższe.

Podczas zawiei, zamieci lub silnego mrozu ćwiczyli w stodole, a gdy wicher cichł i ocieplało się, wychodzili na majdan. I ćwiczyli godzinami. W samych koszulach, z których para biła jak z kotłów.

Mimo próśb Holt nie chciał zdradzić Geraltowi sekretu swojej finty, tej zaczynającej się z mandritto, potem molinetto i tramazzone. Finty, przed którą praktycznie nie było obrony.

– Muszę – mówił stary wiedźmin – mieć w końcu przed tobą jakieś sekrety.

– Chociaż zdradź – nalegał Geralt – czyś to ty sam tę fintę wymyślił?

– Nie. Nauczyłem się od kogoś.

– Opowiedz.

– Wejdźmy do izby, bo zimno. A pani Berta już nalewa grzane piwo.

●

– Był taki jeden – Holt pociągnął z kufla – z Beann Grudd…

– Kot?

– Aha. Ale nawet jak na Kota był… Powiedzmy, że bardzo nieudany. Po prostu kawał psychopatycznego drania. W końcu odebrali mu medalion i przepędzili. A że był prawdziwym mistrzem miecza, założył szkółkę szermierczą, żeby się utrzymać. Z ciekawości zapisałem się. Incognito, pod przybranym imieniem. Ubarwiwszy włosy wywarem z orzechowych łupin.

– I tam wyuczyłeś się tej finty – stwierdził, nie zapytał Geralt. – A obrona przed nią? Kot nauczył cię parady?

– Na to nie ma parady. Jest tylko jeden sposób, by się przed tym obronić.

– No?

– Bełt z kuszy, z dziesięciu kroków.

– Żartujesz?

– Nie. Dobra rada, Geralcie. Ów mistrz wyszkolił kilku uczniów. Jeśli trafisz na któregoś z nich, uciekaj. A chyżo.

●

Obaj, Holt i Geralt, byli zbyt dobrymi szermierzami, by podczas ćwiczeń odnieść jakieś poważniejsze obrażenia. Mniej poważne,

cóż, zdarzały się, i to wcale często. Wieczorami ochmistrzyni smarowała im krwiaki leczniczym sadłem – jakoby niedźwiedzim, ale jak na niedźwiedzie nazbyt mocno owo sadło śmierdziało kozłem. Leczniczą moc wszelakoż, kozioł czy nie kozioł, sadło posiadało i na drugi dzień obaj wiedźmini byli jak nowi i mogli od nowa brać się za dębowe kije.

Tym dziwniejsze było, że pewnego ranka – było to w lutym – Preston Holt zaniemógł na tyle, że rano nie mógł podnieść się z łoża. O posłaniu po medyka nie było i co marzyć, zaspy zalegały jak okiem sięgnąć, żadna z dróg nie była przejezdna. Pozostawało łoże, gorzałka i koźle sadło. W ćwiczeniach szermierczych nastąpiła, ma się rozumieć, przerwa.

Wymuszona bezczynność skierowała wreszcie uwagę Geralta na mały alkierzyk i skryte w nim półki z księgami. Bibliotekę, trzeba było przyznać, miał Holt iście imponującą. Z księgozbiorem świątyni w Elsborgu biblioteka starego wiedźmina konkurować rzecz jasna nie mogła, ale do ksiąg w świątyni kapłanki nikogo z zewnątrz nie dopuszczały, toteż i skrytą tam wiedzę mógł Geralt jedynie sobie wyobrażać. A do biblioteki Holta wystarczyło ręką sięgnąć. Tedy Geralt sięgał, ile wlazło. A było w czym przebierać i co wybierać. Na półkach kurzyły się cztery bestiariusze, dwa zupełnie Geraltowi nieznane, dwa pozostałe w dużo lepszym stanie niż te z Kaer Morhen. Był tam też dobrze zachowany egzemplarz *Physiologusa*, jak też *Aviarium et reptiliarium* Hugona z Alny, prawdziwy biały kruk. Były dzieła historyczne i geograficzne, jak *Historia świata* Rodericka de Novembre, *Regni Caedvenie Nova Descriptio* Baldwina Adovardo, anonimowy *Liber Memorabilium* i prastary *Chronicon Novigradense*. Nie brakowało traktatów o magii i grymuarów, jak *Mocarstwa żywiołów* Paola Giambattisty, *Świat niewidzialny* Jana Bekkera, Ard Aercane i *Dhu Dwimmermorc*.

Holt pojękiwał w łożu, smarowany koźlim sadłem, Geralt wertował księgi.

Jak kazało oczekiwać trywialne porzekadło, księgi miały być źródłem wszelkiej wiedzy i kluczem do wszelkich tajemnic. I tak się stało. Jedna z tajemnic, wcale nie najmniejsza, w bibliotece Holta się kryła. A Geralt ją znalazł. Gdy wypadła spomiędzy innych ksiąg.

●

– Opowiadałem ci o spotkaniu z owym… Tryllo…

– Estevanem Trillo da Cunha – poprawił Preston Holt, przeciągając się ostrożnie. Dopiero co wstał był z łoża, pozornie zdrowy i wyleczony. – Estevan Trillo da Cunha to *praefectus vigilum*, czyli prefekt straży królewskiej.

– No właśnie. Mówiłem ci, że ów prefekt usiłował zwerbować mnie do szukania haków na ciebie. Dowodów przestępstw, jakich jakoby miałeś się dopuścić. Ty zaś na moje słowa lekceważąco machałeś ręką, drwiłeś, że spokojnie mogłem dać się zwerbować i szukać owych dowodów. Albowiem takich dowodów nie ma.

– Tak powiedziałem. I tak jest w rzeczy samej. Nie ma żadnych dowodów.

– Nie ma, powiadasz. – Geralt zademonstrował cienką i nieco podniszczoną broszurę. – A ja, spójrz tylko, co znalazłem w twojej bibliotece. Wypadło zza innych ksiąg. *Monstrum albo wiedźmina opisanie*. Z odręczną dedykacją. „Wachmistrzowi Ottonowi Marguliesowi w podzięce za wierną służbę". Ha. Otto Margulies, zasłużony społecznik i coś tam na „fil", zapomniałem. A wychodzi, że wachmistrz. Czyli najemny żołdak. Ale to przecież ten zabity Margulies, o którym gadał ów prefekt. Skąd u ciebie ta książeczka?

Holt wzruszył ramionami. Geralt parsknął.

– No jasne, niepotrzebnie pytałem. A trofea po tych dwu innych, jak im tam było? Nourred i Chwalba? Też są tu gdzieś do

znalezienia?

– Może i są, kto wie. – Holt skrzyżował ramiona na piersi. – Szukaj. Może też skądś wypadną?

– Wachmistrz Margulies, Nourred i Chwalba podobno przewodzili tej zgrai, co w dziewięćdziesiątym czwartym napadła na Kaer Morhen. Więc jakoś mi ich nie żal i płakać po nich nie myślę…

– Raduje mnie to – zadrwił Holt. – Bo już myślałem, że zechcesz odprawić za nich tryznę.

– Rocamora. – Geralt nie przejął się drwiną. – *Roac a moreah*. W Starszej Mowie: zemsta. Bynajmniej nie kupiłeś posiadłości razem z nazwą. Sam ją nazwałeś. Ciekawe, przed czy po?

Holt ponownie wzruszył ramionami.

– Niedawno – podjął spokojnie Geralt – pewien kowal powiedział mi całkiem mądrą rzecz. Niechaj każdy, mówił, swego pilnuje. Jego, kowala, rzecz to kowadło i młot. Wiedźmina rzecz to zabijać potwory. A karanie za przestępstwa to rzecz starosty i sądów.

– Słowa warte zapamiętania. – Holt spoważniał. – Pamiętaj o nich, kiedy znowu rzucisz się z mieczem bronić jakiejś napastowanej dzieweczki. I zaszlachtujesz człowieka na śmierć.

– To zupełnie co innego…

– Nieprawda. To dokładnie to samo. I dość już o tym. Zawołaj jejmość Bertę. Niechaj tu przyjdzie z tą jej maścią.

●

Do rozmowy nie wracali przez czas dłuższy. Ale w końcu jednak do niej wrócili. Geralt zmusił się i przeczytał do końca anonimowe dzieło pod tytułem *Monstrum albo wiedźmina opisanie*. Czasem się śmiał, czasem zżymał, często bardzo brzydko klął. Ale przeczytał.

– Tego wpisu – pokazał Holtowi dedykację dla wachmistrza Marguliesa – dokonał niechybnie sam autor dzieła. Szkoda, że się nie podpisał.

– Podpisał się. Spójrz uważnie.

– Ten obrazek? Ten ptaszek?

– Martlet. Tak się to nazywa w heraldyce. Zapewne mobilium rodowego herbu autora. Niestety, takie mobilia zbyt są częste, by po nich trafić do właściwej osoby.

– Znaczy się – powiedział wolno Geralt – nie wiesz, kto to taki. Ha, znowu niepotrzebnie pytałem. Przecież gdybyś wiedział, to byś go zabił. Prawda?

– Nie – wycedził Holt. – Pobiegłbym w te pędy do starosty. Panie starosto, uprzejmie donoszę, że taki jeden popełnił paszkwil, za pomocą którego poszczuł na wiedźminów setkę fanatyków. Skutkiem czego siedmiu wiedźminów straciło życie, a jednego ledwo odratowano. Tak, wiem, panie starosto, że nie ma paragrafu zabraniającego pisania paszkwili, a prawo nie przewiduje karania za paszkwile. *Nullum crimen sine lege*. Ale to bardzo brzydko pisać takie rzeczy. Proszę zatem, panie starosto, by tego paszkwilanta jednak co rychlej aresztować i postawić przed sądem. Niechaj zatriumfuje prawo i sprawiedliwość.

– Drwisz?

– No pewnie, że drwię.

●

Zima, choć sroga, poddała się nadspodziewanie łatwo i niemal bez walki. Powiały ciepłe wiatry, śniegi jęły szybko znikać. Już w połowie miesiąca lutego, zwanego przez elfy Imbaelk, zakwitła leszczyna, gęstymi kępami zarastająca południową stronę posiadłości. Całe krzaki pokryły się złotożółtymi, przypominającymi liszki kotkami. Brzegi ukrytego wśród olch i wierzb strumyka wciąż były w lodowych nawisach, oblodzone były też skraje okolicznych bajorek i płytkich rozlewisk. Żabom to nie

przeszkadzało, entuzjastycznie przystąpiły do godów. Wnet wszystkie wody zrobiły się gęste od skrzeku.

Wreszcie, dając nieomylny sygnał wiosny, zaśpiewały nad polami skowronki.

I na koniec przyszło Ekwinokcjum, które wiosny początkiem było już całkiem oficjalnym.

A Geralt podjął decyzję.

●

Nieprawda, nie podjął. Bił się z myślami przez kilka kiepsko przespanych nocy. Wspominał rozmowę z kapłanką Assumptą z Rivii. Wspominał, co mówił Estevan Trillo da Cunha, prefekt królewskiej straży. Żałował, że znalazł wśród książek to, co znalazł. I był już, zdawało mu się, całkiem zdecydowany.

Ale rankiem, po przebudzeniu, nie był.

●

Na śniadanie były naleśniki z powidłami, palce lizać. Ale Preston Holt prawie nie jadł. Miał podkrążone oczy. Wyglądało, że kilka ostatnich nocy przespał kiepsko.

– Przyjdzie nam się pożegnać – oznajmił krótko. – Zdecydowałem zakończyć naszą przygodę, Geralcie. Nic nie trwa wiecznie. Od tej wiosny przechodzisz na własny rozrachunek. Gdy tylko bardziej się ociepli, opuścisz Rocamorę.

– No w... Znaczy, posłuchaj...

– Opuścisz Rocamorę.

– Ma to coś wspólnego...

– Ma jak najbardziej. Twój... i mój pech, że odkryłeś... To, co odkryłeś. Estevan Trillo da Cunha nie zrezygnuje, ciągle będzie deptać ci po piętach. Jeśli cię przyciśnie, gładkim łgarstwem się nie

wywiniesz, bo marny, jak się zorientowałem, z ciebie kłamca. Pogrążysz... Głównie siebie.

– Ja...

– Nie przerywaj. Nadto czas, byś zobaczył to twoje wytęsknione morze. I trochę świata.

Geralt milczał.

– A teraz – Holt wstał – wdziewaj ochraniacze i bierz palcat. Wiosna, żal siedzieć w chałupie. Idziemy na majdan. Zanim odjedziesz, przećwiczymy jeszcze parę fint.

Hippokamp, equus marinus monstrosus, takoż zwany borbothis a. zydrach. Połową koń, połową ryba. Wyższą częścią alias od głowy koniu podobny, lubo z płetwami miast kopyt, zadnią częścią rybie jest similis.

Dowiodła nauka, że nazwie swej na przekór H. nie jeno w morzach, ale i w słodkich wodach bytuje, jest bowiem duplicis generis. Jeśli słodkowodny, to w wielkich jeziorach najczęstsza jego jest rezydencja. Mylony, nawet przez ludzi uczonych, bywa H. z takimi monstry jak jeleń morski (cervus marinus a. polmorarius) lub osioł morski (onus marinus).

Plebs mniema, że jest H. zrodzon z Natur różnych, to jest rodzi się z pomieszania nasienia circa coitum konia z rybą. Fałszywe jest to mniemanie, bo jak niby miałby się taki coitus dokonywać? Rozum się miesza, gdy sobie to chcieć imaginować.

Physiologus

Rozdział trzynasty

JWPanu Prefektowi Straży
Estevanowi Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Napisany: w Ban Fillim, kwietnia 18-tego, w roku 9-tym panowania najjaśniejszego króla Miodraga

JWPanie Prefekcie,

uniżenie donoszę, co się w posiadłości zwanej Rocamorą wydarzyło. Podejrzany Holt znowu niemocą był złożon i medyka do posiadłości wzywano. A ów młody wiedźmin, Geraldem się mianujący, ten, co to go JWPan Prefekt w szczególnej uwadze ma, ten z posiadłości był wyjechał. A że nocą wyjechał i potajemnie, tedy donieść nie mogę, kiedy wyjechał i dokąd się był udał, za co wybaczenia proszę.

Szczęśliwości wszelkiej JWPanu Prefektowi życząc, pozostaję z poważaniem wielkim,

Uger Zolteri, agent śledczy kor.

●

– Tak oto, młody panie wiedźminie – kupiec zdjął czapkę, wytarł nią czoło, wskazał na przydrożny słup z przybitą blachą – jesteśmy już w Marchii Pojezierne j. Gród Tullach już tam, za lasem! Tośmy już doma są! Bezpiecznie! A to dzięki wam!

– E, tam – machnął ręką Geralt. – Spokojnie było. Nic się nie działo.

– Nie działo, bo wiedźmin był w pogotowiu. Strzeżonego bogi strzegą, a wyście strzegli. Taka była umowa i sprawiedliwieście swoje pięćdziesiąt marek zarobili, sprawiedliwie. Jedźmy! Hej, poganiaj tam!

Świsnęły baty, zaskrzypiały osie, zadudniły na wybojach koła. Oba kupieckie zaprzęgi, dwa wozy, potoczyły się po gościńcu.

– Marchia Pojezierna. – Geralt przyjrzał się przybitej do słupa blasze. Z bliska dało się na pordzewiałej nieco powierzchni rozpoznać herb, w czarnej tarczy dwie srebrne ryby adossés, czyli zwrócone ku sobie grzbietami. – To już?

– Ano. Widzicie tam, w dole? Woda lśni. To jezioro Tuaim Dur, sam jego koniec. Bo za nim wnet zaczyna się drugie jezioro, Długim zwane. Nad nim gród Tullach leży. Wnet ujrzycie!

Wiedza Geralta o Marchii Pojeziernej była znikoma. *Regni Caedvenie Nova Descriptio*, dzieło Baldwina Adovardo, znajdowało się co prawda w bibliotece Prestona Holta, ale Geralt zaledwie je przekartkował. Nie wiedział więc, że głównych, czyli największych jezior, od których marchia brała nazwę, było cztery: Tuaim Dur, Długie, Toikka i Rannveig. Trochę mniejszych było osiem, ale ich nazwy mało kto pamiętał, wyjąwszy okolicznych rybaków. Całkiem małych jezior nikt nie liczył, a ich nazw nie pamiętał nikt zgoła. Były to wszystko jeziora rynnowe, wyryte bardzo, baaardzo dawno temu przez lądolód i wypłukane nurtami rzek płynących pod nim. To znaczy teoretycznie, albowiem teorie o lodowcach i zlodowaceniach dopiero zaczynały rodzić się wśród co nowocześniejszych naukowców z Oxenfurtu. Najstarsi naukowcy nadal uparcie przypisywali krajobraz działalności Siły Wyższej, a tegoż krajobrazu zróżnicowanie entuzjastycznej i twórczej inwencji, mającej ową Siłę cechować. Jeśli zaś chodziło o ludzi spoza Oxenfurtu i kręgów uniwersyteckich, to mogłeś im opowiadać o lodowcach, ile chciałeś, a oni i tak ni w ząb nie rozumieli. Skąd się wzięło jezioro, pytałeś, a oni, że deszcz napadał do dziury.

Geralt nie wiedział też, że linia jezior, ułożonych w osi północ-południe, historycznie wytyczyła wschodnią granicę Marchii Pojeziernej i królestwa Kaedwen jako takiego. Granica była ustabilizowana. Osadnictwo dokonało się na zachodnich brzegach jezior. Na wschód od nich, aż po dalekie Góry Sine, rozciągały się dzikie i nieprzebyte puszcze, nadal stawiające skuteczny opór siekierom osadników.

Wyjechali z lasu. W dole błyszczało srebrem ploso jeziora. Czerniała na nim wyspa, dość mocno oddalona od brzegu. Do samego brzegu przytulało się zaś otoczone palisadą miasteczko. Ogrodzona drewnianymi pomostami przystań pełna była rybackich łodzi, na palach suszyły się sieci, dymiły wędzarnie. Nad całością krążyły, drąc się, mewy i rybitwy.

Wiodąca do miasteczka Tullach brama z kołowrotem była otwarta na oścież, a strzegący jej wojacy wykazali małe zainteresowanie kupcem i obydwoma jego wozami. Jeden wszakoż musiał kupca znać, bo wdał się z nim w ożywioną rozmowę. Geralt rozglądał się, nie będąc do końca pewien, czy warto mu wjeżdżać do miasteczka, czy też nie tracąc czasu kontynuować podróż. Rozmyślania przerwał podniecony głos kupca.

– Oho, młody panie! Uśmiecha się do was szczęście! Tu w Tullach wiedźmina potrzebują, pilnie go wyglądają. Mówią, że wisiało ogłoszenie na granicznym słupie. Nie widzielim, musiał zerwać hultaj jakiś...

– Jeśliś po prawdzie wiedźmin – powiedział, podchodząc, dowódca posterunku. – Tedy nie mieszkając udaj się do magistratu, tam ci rzekną, co i jak. Tą uliczką prosto, na placu dom z zielonymi drzwiami, na drzwiach pozłotką wieża i korona wymalowane. Bez trudu najdziesz.

●

– Pokaż wiedźmiński znak – zażądał burgrabia. – Nie to, bym ci nie ufał albo, uchowajcie bogi, oszustwo węszył...

Urwał, pochylił się, przyjrzał medalionowi z wilkiem, który Geralt wyciągnął zza pazuchy.

– Wybaczcie. – Burgrabia przeszedł na grzeczniejszą formę. – Aleście młodzi wielce, tedy...

– Wiedźmin – odezwał się milczący dotąd obecny w komnacie, poważny do ponurości mężczyzna w skórzanym kubraku przepasanym pasem ze stalowych klamer i ogniw – najęty ma być nie przez władzę grodową, ale przez sprawującego zwierzchność nad całą marchią jaśnie pana margrafa. Którego jam jest tu plenipotentem. Nazywam się Diego Mars. Seneszal Diego Mars.

– Kłaniam się, mości seneszalu. Najęty mam być do czego?

– Kasztel Thornhall, letnia rezydencja pana margrafa, nawiedzany jest przez jakiegoś stwora. Należy sprawić, by ów stwór nie nawiedzał. Jakimkolwiek sposobem. Szczegółów wywiecie się na miejscu. Opłaceni, zaręczam, będziecie sowicie.

– Gdzież jest ów kasztel? Wyruszamy zaraz?

– Czekamy jeszcze na kogoś.

Burgrabia westchnął, zamachał rękami.

– I to długo dość – powiedział z przekąsem. – Szanowna mistrzyni daje na siebie czekać. Taka moda widać u magiczek, dawać na siebie czekać.

Wskazał na leżący na stole krążek wielkości korony, ozdobiony jednak nie profilem novigradzkiego hierarchy, lecz wytrawionymi runami i dziwnymi znakami. Pośrodku krążka była wypukłość, kamień półszlachetny złocistożółtej barwy.

– To jest klejnot przywołujący – wyjaśnił burgrabia. – Zwie się tere port. Jeśli ten żółty kamyk trzykroć mocno pocisnąć, to on wysyła wezwanie, a wezwana osoba wnet przybędzie, czarodziejskim sposobem. To się nazywa tere portancja. Wezwaliśmy, czekamy. Długo już wielce…

– I poczekamy – uciął ponuro seneszal Diego Mars – tak długo, jak będzie trzeba. Uzdrowicielka potrzebna jest pilnie i koniecznie. Bez niej do Thornhall mi nie wracać, bo…

Rozległo się głośne, trochę jakby owadzie brzęczenie, przechodzące w brzęczące crescendo. Pod ścianą komnaty objawił się świecący owal. W owalu wpierw zamajaczyła niewyraźna sylwetka, a po chwili wyłoniła się stamtąd niewysoka kobieta w męskim stroju.

Burgrabia i seneszal wstali, ukłonili się.

– Wielce czcigodna pani mistrzyni…

Geralt też się ukłonił. A jego amulet silnie zawibrował i zatętnił pod koszulą.

Pamiętał czarodziejki widziane na rynku w Spynham, wyglądające młodo i piękne jak z obrazka. Wyłaniającą się z magicznego owalu kobietę o krótkich ciemnych włosach nazwać niełądną nie było można bynajmniej, lecz tamtej olśniewającej urody szukać u niej było próżno. Młodości też nie – wydawała się nieco starsza niż kapłanka Nenneke z Elsborga. Jej pucołowata i rumiana twarz emanowała jednak sympatią, jakimś od razu wyczuwalnym sentymentem, który sprawił, że Geralt nie spuścił oczu, lubo pamiętał nauki Prestona Holta, wedle których czarodziejki nie znosiły gapienia się i miały innych ludzi za bydło. Przybyła kobieta nie sprawiała takiego wrażenia.

– Gdzie jestem? – Głos kobieta też miała sympatyczny. I melodyjny. – Nie znam tego miejsca. Ale to nie Thornhall.

– Miasto Tullach, pani. Jam jest burgrabia…

Kobieta zdjęła z ramienia i postawiła na podłodze wielką płócienną torbę.

– Skąd w Tullach mój talizman? – spytała. – Zostawiłam go w Thornhall. Do użytku margrabiego Vaikinena.

– Jaśnie oświecony pan margraf – zająknął się burgrabia – powierzył ten talizman mnie…

– Albowiem – wtrącił seneszal – nie życzył sobie, by na Seevalk znajdował się talizman służący do teleportacji. Pan margraf miał po temu powody.

– No właśnie – dodał burgrabia. – Więc talizman jaśnie pan dał mnie. Do użycia w potrzebie…

– A potrzeba zaszła, jak wiem. Gdzie pacjent? Syn margrabiego, młody hrabia Frederik, który uległ wypadkowi?

– Już o tym wiecie? – zdumiał się zauważalnie seneszal. – Tak szybko? Jakim sposobem?

– Magia, plotka i gołębie pocztowe. Pan seneszal Diego Mars, jeśli dobrze pamiętam? Spotkaliśmy się już.

– W rzeczy samej. – Seneszal ponownie się ukłonił. – Witam, szanowna pani Natteravn. A ranny hrabia Frederik leży w Thornhall, na Seevalk. Udamy się tam bez zwłoki.

Medalion Geralta znowu zawibrował.

– A tu obecny wiedźmin? – Magiczka utkwiła w nim zielone oczy. – Uda się z nami?

– Z nami i owszem – uciął Diego Mars. – Jeśli wolno zatem prosić, to w drogę.

– Mój koń – wtrącił Geralt. – Jest w stajni…

– I niech tam zostanie. Nie będziemy podróżować konno.

●

Celem podróży, jak się wyjaśniło, była Seevalk, wyspa na jeziorze Długim, widoczna daleko na plosie jako ciemny i okryty mgłą kontur. A środkiem transportu okazała się wielka i toporna sześciowiosłowa łódź, wyładowana pokaźną ilością skrzyń, skrzynek, beczek i worków. Ładunek, okazało się, obejmował dodatkowo cztery owce i czarnego kota w klatce.

– Mamy płynąć tym? – zdziwiła się magiczka. – Tą barką? Z tym zwierzyńcem i kupą bagażu? Mieliście wszak na Seevalk stateczek!

– To nie jest barka – zachmurzył się Diego Mars. – To jest szalanda. A to, co mamy na Seevalk, to nie stateczek, lecz kuter żaglowy. Ale ten jest chwilowo zajęty, więc zostaje szalanda. Wsiadajcie, proszę.

Wsiedli, zajmując miejsca bliżej dziobu. Wioślarze zastękali chórem, wiosła zaskrzypiały w dulkach, łódź zwana szalandą odbiła od pomostu.

– Wybacz, że przedstawiam się dopiero teraz – odezwała się po chwili kobieta. – Jestem Vrai Natteravn, uzdrowicielka.

– Geralt. Wiedźmin.

– Leczyłam kiedyś wiedźmina. Nazywał się Holt, Preston Holt. To było dawno i wątpię, by ktoś tak młody jak ty… Czy mi się zdaje, czy ty się z lekka boczysz na mnie? Aha, nagadali ci, że jest animozja między czarodziejami i wiedźminami, co?

– Nagadali.

– Za moich konfratrów przepraszać nie myślę. – Magiczka spoważniała. – Ale wiedz, że ja się nie uprzedzam. Na moją animozję trzeba sobie zapracować. Więc się nie bocz. Zgoda?

– Zgoda.

– Mars wynajął cię, tak? Ma to coś wspólnego z poszkodowanym synem margrafa?

– Nie ma nic. Podobno jakiś potwór dokucza im tam na wyspie.

Wiatr wiał, dulki skrzypiały, szalanda raźno sunęła po falach. Mgła zaczęła rzednąć. Mewy wrzeszczały. Owce beczały. Kot miauczał.

– Ten żagiel, o, tam. – Uzdrowicielka osłoniła oczy dłonią. – Panie Mars? Czy to nie wasz stateczek właśnie?

– Kuter – poprawił cierpliwie seneszal. – Kuter żaglowy „Nihil Novi".

– A zajęty jest przez kogo? Kto nim żegluje?

– Druhowie i komilitoni jaśnie pana hrabiego Frederika. Polują na hippokampy.

– Na co?

– Przecie mówię. Na hippokampy.

Kuter żaglowy „Nihil Novi" obrał nagle kurs prosto na nich. Po chwili zbliżył się do szalandy na tyle, by mogli lepiej mu się przyjrzeć. Miał trzy żagle, dwa trójkątne z przodu i duży czworokątny z tyłu. Gdy zbliżył się jeszcze bardziej, mogli rozróżnić na pokładzie kilku ludzi. Dobiegły też do nich śpiewy, śmiechy i okrzyki. Niezbyt trzeźwe.

– Wesołe coś to polowanie – oceniła Vrai Natteravn. – Na hippokampy, jak powiadacie. A po cóż im one? Jakież to walory one posiadają, by na nie polować?

– A bo to, widzicie, jest tak. – Seneszal odchrząknął. – Łońskiego roku Ezra Metzgerkop, znany restaurator, wkradł się w łaski naszego króla Miodraga, ugaszczając monarchę i dwór niebywale rarytetnym daniem, ogromnym upieczonym ptakiem, apornisem, jeśli dobrze nazwę spamiętałem. Owa pieczeń tak królowi posmakowała, że nagrodził Metzgerkopa tytułem barona. Wielu pozazdrościło. I zaczęły się łowy, sporo łasych na szlachecki tytuł ruszyło w ostępy, by upolować dla króla większy jeszcze jakiś unikat…

– Pojmuję. Czyli ci, tam, na tym jachcie…

– Na kutrze. Mówiłem, to są druhowie…

– I komilitoni hrabiego. Słyszałam. I chcą upolować hippokampa?

– Rozeszło się, że król chętnie by takiego zjadł. No, to oni uparli się, że go pochwycą…

– I zostaną baronami?

– Oni są baronami. W większości. Ale liczą na sławę i królewską przychylność.

– A tu, w tym waszym jeziorze – zainteresowała się Vrai Natteravn – naprawdę żyją hippokampy?

– Żyją. Pono. Mało kto jednak z bliska widział, bo one płochliwe nad miarę. Trzeba w skrytości, po cichu… A tam, na kutrze… Sami miarkujecie.

– Miarkujemy, a jakże – rzekła z przekąsem magiczka. – To nie polowanie, a bankiet na wodzie.

Jakby ilustrując, jeden z baronów z żaglowego kutra przewiesił się przez burtę i nader obficie wyrzygał. Reszta załogi ryczała ze śmiechu.

– *Nihil novi* – powiedziała Vrai.

Dulki skrzypiały, pióra wioseł siały krople wody. Mewy wrzeszczały. Kuter „Nihil Novi" złapał wiatr w żagle i oddalił się. Pijackie śpiewy i krzyki przestały do nich dolatywać.

Na rzut kamieniem od dziobu szalandy woda nagle wzburzyła się, a nad powierzchnię w dzikich skokach wyprysnęło kilka srebrzystych ryb.

– Pstrągi – rozpoznał Geralt. – Spore, więcej niż łokciowej długości. Ciekawe, co też je pogoniło?

– Tu w toni – wyjaśnił Diego Mars – bytują szczupaki po sześćdziesiąt i więcej funtów. Dla takiego łokciowy pstrąg to jak uklejka. A żyją w głębinie i inne bestie, o których wolej by mi jednak w złą godzinę…

– A może – zaciekawiła się Vrai Natteravn – to któryś z tych osławionych hippokampów wystraszył te pstrągi?

– Hippokampy – zaprzeczył Geralt – nie jedzą ryb. I nie polują na nie.

– To co one jedzą?

– Wodorosty.

– Zielsko? Znaczy, pasą się? Jak krowy?

– Można tak powiedzieć.

– Ale lepiej – wtrącił z naciskiem seneszal – tego nie mówić. Szczególnie w Thornhall. Młody pan hrabia Frederik przecie właśnie w walecznym starciu z hippokampem poniósł uszczerbek. Gdyby zaczęto gadać, że to krowa go poraniła…

– Hrabiego zranił hippokamp? – zdziwiła się uzdrowicielka. – Jakże to? Niby roślinożerca… Co ty o tym powiesz, wiedźminie?

– Roślinożercy – odrzekł Geralt – też potrafią być groźni.

●

Stojący na wyspie Seevalk fort Thornhall otoczony był podwójnym ostrokołem. Pierwszy jeżył się na samym brzegu wyspy, teraz, przy wysokim stanie wody, krótko po stopnieniu śniegów i lodu, zanurzony był niemal do połowy. Druga palisada wieńczyła wysoki na kilka sążni ziemny wał. Nad całością górowały dwie czworokątne wieże.

– Prawdziwa forteca – ocenił wiedźmin. – Obronna, widać.

– Obronna – potwierdził Diego Mars. – Bo też i obraniała się nie raz i nie dwa.

– W początkach marchii – dodała Vrai Natteravn – dochodziło tu do utarczek z leśnymi elfami.

– Wschodni brzeg był ich – dorzucił seneszal – a zachodni nasz, ludzki. A wyspa była forpocztą. Przechodziła z rąk do rąk. Wreszcie myśmy górę wzięli i fort pobudowali. Za króla Bendy to było, wiele lat temu.

Wpłynęli do zatoki, która okazała się przekopanym kanałem. Kanał przegradzała wielka i ciężka brama z belek. Z czatowni nad bramą dostrzeżono ich i okrzyknięto, zabuczał róg. Wrota otwarły się powoli. Za wrotami była przystań, ze wszystkich stron otoczona pomostami. Szalanda dobiła do jednego z nich, znajdując wolne miejsce pomiędzy innymi łodziami.

Geralt rozejrzał się. Widziane z oddali wieże z bliska przypominały raczej blokhauzy, zbudowane zaś były z sosnowych tramów imponującej grubości. Pomiędzy wieżami lokował się ogromny, pojedynczy, drewniany, kilkukondygnacyjny budynek, również bardziej na warowny blokhauz niż na dom patrzący, podobnie jak wieże ze strzelnicami zamiast okien.

Wysiedli na pomost, a wioślarze natychmiast przystąpili do rozładunku. Vrai Natteravn, wyglądało, chciała o coś spytać seneszala, gdy ten nagle zachrząkał i zgiął się w ukłonie.

Po pomoście, w asyście dwóch służek, szła ku nim dziewczyna. Lat z wyglądu piętnastu-szesnastu, jasnowłosa. Niezwykle urodziwa, szczuplutka, wyglądała delikatnie, krucho, niemalże łamliwie. Szła, nieznacznie unosząc i podtrzymując elegancką chabrową suknię, by dół nie zaczepiał o chropowate deski.

Diego Mars skłonił się jeszcze niżej. Dziewczyna obróciła nań wielkie sarnie oczy, ale tylko na moment. Interesował ją, wyglądało, wyłącznie piętrzący się już na pomoście ładunek, który dostarczyła szalanda.

– Hrabianka Ludmilla – wyjaśnił półgłosem Diego Mars, widząc pytający wzrok Geralta. – Córka jaśnie wielmożnego pana margrafa Vaikinena. Przebywa tu, na Seevalk, chwilowo, można rzec...

– Można rzec – parsknęła Vrai Natteravn – że jest tu uwięziona. Nie ma co owijać w bawełnę, panie Mars. Plotkę zna już całe Kaedwen.

– Ja tam się plotkami nie bawię. – Seneszal zmarszczył brwi. – A tak w ogóle, to jaśnie margraf w prawie jest. Ojca prawem córę nieposłuszną do porządku przywołać. A jeśli trza, to i pokarać.

– Co przeskrobała? – Geralt nadal wpatrywał się w pannę jak urzeczony.

– To sprawa miłosna – uśmiechnęła się uzdrowicielka. – Dziewczęce serduszko zabiło żywiej...

– Zabiło nie tam, gdzie trza – przerwał z ponurą miną Diego Mars. – Nie wtedy, co trza. I nie do tego, co trza. Co będę gadał, wy, pani mistrzyni, ani chybi wszystko i tak wiecie. Znacie plotki.

– Ma się rozumieć, że znam – parsknęła znowu Vrai. – Serce hrabianki Ludmilli skradł, z jej pełnym przyzwoleniem i ochotą, junosza Redfern Finnegan. Nie kto inny, a Finnegan właśnie. I powstał problem.

– Jakiż to?

– Nienawidzą się – wtrącił Mars – Vaikinenowie z Finneganami. Rodowa wróżda między nimi.

– Krwawa? Były trupy?

– Poniekąd – skrzywił się seneszal. – Ale wam, młody panie wiedźmin, miast plotką, rychlej by się swoimi wiedźmińskimi dziełami zająć. Pani mistrzyni takoż, wybaczenia proszę, winno być z racji powołania do cierpiącego rannego pilno…

– Co racja, to racja. – Uzdrowicielka poprawiła torbę na ramieniu. – Spieszę do rannego co tchu. Zobaczymy się później, wiedźminie. Prowadźcie, panie Mars.

●

Obok, na pomoście, kilka kobiet sprawiało ryby. Asystował im czarny kot, ten sam, który przybył na Seevalk wraz z Geraltem i uzdrowicielką. Po wodzie przystani pływały rybie łuski, flaki i pęcherze pławne.

Słońce pięknie zachodziło nad jeziorem, odbijało się w jego tafli. Coś się tam darło w oddali, prawdopodobnie żurawie.

– Młody hrabia Frederik Vaikinen – opowiadała Vrai Natteravn, oparta o palisadę – indagowany konfabulował, co się zmieści, ale ja jestem medyczką, umiem rozpoznać charakter obrażeń i przyczynę ich powstania. Więc zmusiłam go, by się przyznał. Bynajmniej nie hippokamp, wystaw sobie, zawinił, ani żaden inny potwór. Syn margrafa w stanie upojenia alkoholowego wspiął się dla popisu na maszt kutra i z tegoż masztu spadł. Ma złamany obojczyk i zwichniętą kostkę, a stłuczone kolano spuchło mu jak bania, nie obędzie się bez odciągania płynu… A jak twoje sprawy, wiedźminie?

– Powolutku.

Grasujący po Thornhall stwór, jak się okazało, upodobał sobie pomieszczenia kuchenne, tam też Geralt udał się zasięgnąć języka.

Panie kucharki, miłe niewiasty, już na wstępie ugościły go kuflem piwa i garnuszkiem solonych wiunów.

Geralt ogryzał wiuny, popijał piwo, a panie kucharki zdawały relację. Potwór, opowiadały jedna przez drugą, jest mały, ale dokuczliwy. Ma żabi pysk i wyłupiaste ślepia. Rechocze jak żaba. Że przyłazi z jeziora, na swych żabich łapach nanosi brud i szlam, nic tylko sprzątaj. Paskudzi w różnych miejscach. Nasikał w kącie. Wyżera produkty. Rozsypał po całej kuchni kaszę i mąkę. Stłukł imbryk. Zwędził srebrną łyżkę wazową z jaśniepańskim herbem. W to ostatnie Geralt wątpił mocno, potwór, z opisu wodnik, niezawodnie oskarżany był o taką kradzież fałszywie, łyżkę musiał zwędzić ktoś inny.

Ostatni raz, wyznały panie kucharki, potwór widziany był będzie temu dwa tygodnie. Jeszcze piwa?

Vrai Natteravn wysłuchała opowieści, nie przerywając.

– Wodnik może być dokuczliwy, dla ludzi nie jest jednak niebezpieczny – dokończył Geralt, westchnąwszy. – Ale skoro płacą... Cóż, trzeba będzie popatrolować, popilnować, a jak się objawi, nastraszyć i przepłoszyć... Ty zaś, pani, opowiedz mi o tej rodowej wróżdzie. Poniekąd krwawej.

– Nie musisz tytułować mnie panią. – Magiczka kopnięciem strąciła z pomostu rybią głowę. – A względem wróżdy, to jest tak: Magnus Vaikinen, dziad Siriusa, obecnego margrafa, robił interesy z Roaldem Finneganem. Mieli spółkę. Kiedy ta splajtowała, Roald i Magnus jęli nawzajem oskarżać się o malwersację i złodziejstwo. Głośno i publicznie. W końcu Magnus wyzwał Roalda na pojedynek. Poszczerbili się w szrankach nawzajem mocno. Na wieść o tym żona Roalda poroniła, a sędziwy i chory ojciec Magnusa z alteracji dokonał żywota. To właśnie są te trupy – poniekąd. I stąd poszła wróżda. Każde pokolenie coś do niej dokładało. Do dziś. Sirius Vaikinen i Gordon Finnegan rywalizowali o tytuł zwierzchnika

Marchii. Gdy król mianował margrabią Siriusa, Gordon na prawo i lewo krzyczał o szalbierstwie, kumoterstwie i korupcji.

– A panna Ludmilla?

– Klasycznie, można rzec. Na jakimś balu czy raucie spotkała młodego hrabiego Redferna Finnegana, syna Gordona i prawnuka Roalda. Dośpiewaj sobie resztę.

– Ze śpiewem nietęgo u mnie. I w życiu nie byłem na żadnym balu.

– Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia – uśmiechnęła się magiczka. – Zaczęli się potajemnie spotykać. Wiedzieli, że rodzice na związek nie zezwolą, więc postanowili uciec. Margrabia Sirius udaremnił ucieczkę, córkę uwięził tutaj, na niedostępnej wyspie, a kuratelę zlecił synowi, hrabiemu Frederikowi, bratu Ludmilli. Margrabia nie bez kozery zlecił straż nad siostrą właśnie synowi, Frederik z całkiem prywatnych powodów nienawidzi Redferna, w żadne konszachty z nim nie wejdzie ani przekupić się nie da. Publicznie kilka razy ogłosił, że siostrę prędzej zobaczy na marach niż w związku z Redfernem. Hrabia Frederik uznał jednak, że najlepszą kuratelę nad zakochaną siostrą sprawuje sama wyspa i nadzór jest zbędny. Z zapałem więc wykorzystuje dane mu przez ojca samodzielność i środki finansowe. Ściągnął na Seevalk swych kompanionów, pod pozorem polowania na hippokampy piją i balują bez przerwy. O, o wilku mowa. Wracają strudzeni i pijani łowcy potworów.

Wrota przystani rozwarły się ze skrzypem i zgrzytem, do wewnątrz wpłynął żaglowy kuter „Nihil Novi". Zacumował przy pomoście, a po chwili z pokładu zeszła – z niejakim trudem – grupka młodych ludzi. Większością mocno się zataczających. I mocno hałaśliwych.

– Złota młodzież z Ard Carraigh. – Vrai wydęła wargi. – Progenitura bogatych, utytułowanych i dobrze ustawionych

rodziców. Niektórych znam, z nienajlepszej zresztą strony. Ten, o, który ledwo idzie, to młodszy syn barona Dormonta. Leczyłam go, nie zdradzę, na co. A ten ostatni, najtrzeźwiejszy chyba, to Primian Grohot, syn właściciela browaru, nuworysza. Co on robi w tym towarzystwie, nie odgadnąć.

– Poluje na hippokampa.

Vrai parsknęła, rozbawiona sugestią.

– Polowanie – spoważniała – niezawodnie przysporzy mi pacjentów, gdy jeszcze któryś coś sobie złamie. Byleby się żaden nie utopił, bo tu medycyna będzie bezsilna. A o hippokampy bym się nie martwiła. Nie wygląda, by rozhulana złota młodzież zdołała im w jakimkolwiek stopniu zaszkodzić.

Geralt nie skomentował.

– Bywaj na razie. – Uzdrowicielka poprawiła szalik. – Idę odciągać hrabiemu płyn z kolana.

– Powodzenia.

...Nie traćmy czasu
Na pożegnalne formy, ale chyżo
Wynośmy się z tych miejsc. Gdzie grozi zdrada,
Godziwie kradnie, kto sam się wykrada.

William Szekspir, *Makbet*
przełożył Józef Paszkowski

Rozdział czternasty

Wraz z zapadnięciem nocy całe Thornhall tonęło w nieprzebitych ciemnościach. Ze względów bezpieczeństwa – wszystko wokół było z drewna – skrzętnie gaszono wszystkie ognie, w tym także pochodnie i kaganki, którymi w dzień oświetlano schody i kręte korytarze. Jedynym światłem – w postaci słabo świecących latarń – dysponowali strażnicy w czatowni i na palisadzie. Strażnicy ci, jak stwierdził Geralt, traktowali swą służbę i obowiązki nadzwyczaj niedbale, zdając się na niedostępność wyspy. Było oczywistym, że wyspie i fortowi od bardzo dawna nikt poważnie nie zagroził, co zaowocowało u straży rutyną i rozleniwieniem. Geralt był pewien, że to właśnie dlatego wodnik mógł bez trudu i niezagrożony penetrować pogrążony w mroku obiekt. Ba, uwadze strażników-obiboków mogłoby umknąć pewnie nawet stado przeskakujących ostrokół hippokampów.

Dla Geralta ciemność, rzecz jasna, przeszkody nie stanowiła, jego zmutowanym oczom zupełnie wystarczało światło gwiazd. Wewnątrz budynku zdawał się nadto na słuch. A także na węch –

wodniki, jak wiedział, śmierdziały rybim śluzem, mułem i butwiejącym tatarakiem.

Dziś na ostrokole nie było widać żadnego strażnika, wszyscy siedzieli w czatowni i grali w karty, narzekając na psią służbę na zasranej wyspie, na której nie było nawet na co wydać lafy, bo karczma i burdel były daleko i w dodatku za wodą.

Geralt obszedł palisadę dookoła, wypatrując jakiejś ukrytej pod suszącymi się więcierzami szczeliny, przez którą zakradający się z jeziora wodnik mógłby wślizgnąć się do wewnątrz. Nie znalazłszy niczego podejrzanego, wszedł do budynku. Korytarz wiodący do pomieszczeń kuchennych zdążył spatrolować już wcześniej, teraz postanowił sprawdzić korytarz prowadzący do komnat margrafa, zbrojowni, magazynu i kwater strażników. Ledwo tam wszedł, gdy jego medalion zadrgał silnie, zawibrował i zatętnił pod koszulą.

Zrobił kilka kroków, medalion uspokoił się. Zawrócił. Po kilku krokach medalion ożył znowu. Cofnął się – wibrowanie ustało.

Coś w korytarzu emitowało magię.

Wiedźmin uniósł dłoń, składając palce w Znak. Wokół momentalnie zrobiło się jasno. Zbliżył się, przyjrzał dokładnie. Musiał niemal zbliżyć twarz do ściany, ale w końcu zobaczył.

Na ścianie, cienką i ledwie widoczną kreską nakreślony węglem, widniał kontur. W kształcie drzwi. I nie było wątpliwości – to ten kontur właśnie był czarodziejski.

Żaden ze znanych Geraltowi bestiariuszy nie przypisywał wodnikom umiejętności magicznych. Wszystkie podkreślały jednak ich wielki spryt i przebiegłość i zgodne były co do tego, że wszystko, co zobaczyły, wodniki potrafiły naśladować niczym małpy.

Czy zdobywszy magiczny amulet lub inny artefakt, zdarty, dajmy na to, z topielca, wodnik umiałby się nim posłużyć? Geralt nie wiedział tego. Ale postanowił sprawdzić.

Światło Znaku przyćmiło się, po chwili zgasło całkiem. Geralt cofnął się o kilka kroków, skrył za załomem korytarza. Czekał, bez najmniejszego ruchu i w zupełnej ciszy, spowolnił nawet oddech.

Nie czekał długo.

Medalion zawibrował silnie. Kontur na ścianie rozjarzył się i zaświecił, nakreślone węglem drzwi otwarły się i coś z nich wyszło.

Geralt zareagował błyskawicznie. Dopadł przybysza jednym skokiem i ucapił go chwytem modliszki. Schwytany okazał się jednak nie lada siłaczem. Niemal bez wysiłku rozerwał chwyt i potężnym ciosem rzucił wiedźminem o ścianę. I grzmotnął go pięścią. Geralta ocalił wiedźmiński refleks, pięść, miast trafić w skroń, ledwo musnęła głowę. Geralt sam zrewanżował się ciosem w korpus, po czym ponownie rzucił się w zwarcie. Wiedział już, że przybysz nie był bynajmniej wodnikiem. Gabaryty były nie te i zapach nie ten, miast mułu i tataraku była ledwo uchwytna woń rumu i ziół.

Obaj upadli na podłogę, poturlali się po niej. Przybysz znalazł się pod spodem, ale poderwał się i łokciem potężnie zdzielił Geralta w bok głowy. Wiedźminowi rozbłysło w oczach. Ale nie zwolnił chwytu, sam z krótkiego zamachu walnął mężczyznę w szczękę, poprawił jeszcze raz. Sądził, że to wystarczy. Mylił się. Przybysz obmiękł najwyżej na sekundę, po czym odwzajemnił się zamaszystym – i celnym – sierpowym. Po czym oburącz chwycił Geralta za gardło i jął dusić, nie zważając na ciosy, które wiedźmin zadawał mu na oślep i w różne miejsca.

Zewsząd zabłysły nagle rozkołysane światła latarń, zatańczyły cienie, korytarz zaroił się od ludzi. Twarde ręce porwały Geralta i ściągnęły go z przeciwnika. Ów również zaszamotał się w uścisku silnych ramion.

– Puścić wiedźmina! – ryknął Diego Mars. – A tego trzymać! I związać go! Związać, mówię!

Latarń i pochodni przybywało, w korytarzu zrobiło się tłumnie. I ciasno. Przeciwnika Geralta poderwano, związano i przyparto do ściany. Wiedźmin zdumiał się, jak młody był to człowiek. Nie wyglądał na starszego od niego samego.

Diego Mars podszedł, zaświecił związanemu latarnią w twarz. Związany zmrużył oczy. Był gładko ogolony, co wyjaśniało ów zapach korzennego rumu, używanego po goleniu przez modnych dandysów.

– No, no – powiedział seneszal, nie kryjąc zdziwienia. – A to ci niespodzianka. Pan hrabia Finnegan. Tutaj, w Thornhall. Jakimż to losem i cudem? Żal, żal, mości hrabio, że bez zapowiedzenia. Ale cóż, witamy. Wy czterej, bierzcie go. Idziemy na górę. Reszta rozejść się! Nie ty, wiedźminie. Ty zostajesz i idziesz z nami.

Rumor, łomot i harmider dotarły też widać na piętro, albowiem w otwartych drzwiach czekała na nich Vrai Natteravn z latarnią w ręku, w białym lekarskim kitlu. Komnata za nią była oświetlona kilkoma lichtarzami.

Mars dał znak, strażnicy wciągnęli związanego do środka. Magiczka, seneszal i Geralt weszli również.

W wielkim fotelu, z oparciem niemal sięgającym powały, siedział Frederik Vaikinen, hrabia, syn margrafa Marchii Pojeziernej.

Hrabia miał długie jasne włosy, skręcone w kędziorki jak u panny, spiczasty nos i brzydko zmrużone zielone oczy. Spod okrywającego ramiona sobolowego futra wyglądała chuda naga pierś, przepasana na krzyż bandażami, przez oba ramiona i pod pachami. Nogi młodzieniec również miał gołe, lewe kolano też spowijał bandaż.

Obok fotela stał mały stoliczek, na nim Geralt dostrzegł opatrunki, flakoniki i niklowaną szprycę. Niezawodnie medyczne

parafernalia Vrai Natteravn. Mimo późnej pory właśnie opatrywała widać pacjenta.

– Jaśnie panie – przemówił, skłoniwszy się, Diego Mars. – Melduję, żeśmy znienacka pojmali…

– Widzę, kogoście pojmali – przerwał Frederik Vaikinen. Głos miał jeszcze mniej przyjemny od wyrazu oczu.

– Urodzony panicz Redfern Finnegan – ciągnął Frederik, wpatrzony w związanego – raczył zaszczycić nas swą osobą. Nocą. Jak złodziej. Jak opryszek. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Złodziejstwo i bandytyzm to wszak rodzinne tradycje Finneganów. Ale przecież ty nie do mnie przyszedłeś, Redfern. Nie ze mną chciałeś się zobaczyć, ale z moją siostrą. A nie można było jak człek cywilizowany? W dzień? Przyjść z kwiatami i prezentem? Poprosić o pozwolenie na odwiedziny?

– A ty… – Młodzieniec pachnący rumem szarpnął się w rękach strażników. – Ty byś udzielił pozwolenia?

– Nie – warknął hrabia Frederik. – Psami bym cię kazał poszczuć.

– Jasne. Bo taka to tradycja rodzinna Vaikinenów. Hycle!

– Nie rozwieraj tu na mnie gęby, skurwysynu! – wrzasnął Frederik, unosząc się w fotelu.

– Sam jesteś skurwysyn, Fred! A w ogóle to chędoż się.

– Ja cię… – zachłysnął się syn margrafa. – Ja cię… Ja cię zaraz ocwiczyć każę… Batogiem, jak sukę. A potem na wrotach cię każę powiesić… Mars! Do mnie!

Diego Mars podszedł do hrabiego, pochylił się, zaszeptał mu do ucha. Frederik Vaikinen poczerwieniał.

– A co ty mi tu z ojcem wyjeżdżasz? – wrzasnął. – Co to, na mitygowanie ci się wzięło? Na dobre rady? Gdzieś mam twoje rady! Ojca tu nie ma, jest w Ard Carraigh, a gdy jego nie ma, rządzę ja! Pojmujesz? Rządzę ja! I zrobię z gaszkiem, co zechcę!

Seneszal skłonił się, nic nie powiedział.

– Pewnie ci się zdaje – odezwał się Redfern Finnegan – że mnie nastraszysz, Fred. Nie wysilaj się. Nie uda ci się.

– Tak? – Hrabia Frederik zerwał się z fotela, strącił z ramion sobolowe futro, zakusztykał ku związanemu. – Ja ci zaraz w mordę dam, Redfern! Ja cię…

– Zabroniłam ci wstawać – powiedziała ostro Vrai. – Niweczysz rezultaty leczenia. I moje wysiłki.

– Nadto śmiało sobie poczynasz, czarownico! – zwrócił się ku niej Frederik. – Nadto sobie pozwalasz! I o tytule zapominasz! Do mnie się mówi „jaśnie oświecony"!

– Widzę – odrzekła zimno magiczka – że nie jestem już tu potrzebna. Pożegnam się zatem. I rano opuszczę wyspę.

– Szczęśliwej drogi. Mars, zapłać jej.

– Nie ma potrzeby. Rozliczę się z margrafem Siriusem. Sprawy finansowe zwykłam załatwiać z ludźmi poważnymi.

Jej słowa i wyjście jakieś wrażenie na młodym hrabim jednak wywarły, bo usiadł, trochę posapał, ale wyraźnie się uspokoił.

– Mars.

– Tak, jaśnie panie.

– Finnegana pod klucz. Do loszku. I idźcie stąd wszyscy do diabła.

●

Wbrew deklaracji Vrai Natteravn nie opuściła wyspy wczesnym rankiem. Do drogi gotowa była dopiero około południa. Geralt przyszedł na przystań, by się pożegnać.

Magiczka poprawiła torbę na ramieniu, odgarnęła włosy z czoła, popatrzyła na niebo i mewy. Długo milczała.

– Sztuka uzdrawiania, wiedźminie – powiedziała wreszcie, nie patrząc na niego – ma też swoją drugą stronę. Taki jakby… rewers.

Ja mogę uśmierzyć ból stawów, ale mogę też sprawić, by zaczęły dotkliwie boleć. Mogę znieczulić bolący ząb, ale mogę i spowodować ból zęba. Albo wszystkich zębów. Mogę wyleczyć komuś żylaki odbytu, ale mogę też wywołać temu komuś prawdziwe piekło w dupie. Mogę więcej jeszcze w takim stylu, sam sobie dośpiewaj. Wiesz, dlaczego ci to mówię?

– Nie.

– Bo jeszcze chwilę temu zamierzałam w któryś ze wspomnianych sposobów dogodzić tobie. Bo byłam na ciebie bardzo zła. Zrujnowałeś moje plany, naraziłeś moją opinię i moje dochody. Domyślasz się, jak.

– Zakochany hrabia Finnegan – nie spytał, stwierdził. – Drzwi nakreślone węglem na ścianie to twoje dzieło.

– Moje, a jakże. Redfern Finnegan przedostał się do Thornhall moim teleportem i planował uciec stąd razem z ukochaną. Ale miał pecha napatoczyć się na nadgorliwego wiedźmina. I teraz ma kłopoty.

– Ano ma.

– A z tych kłopotów – Vrai Natteravn spojrzała mu prosto w oczy – wybawi go teraz właśnie winowajca. Czyli wiedźmin Geralt. Nie rób min. Mam powiedzieć prosto? Masz wyciągnąć Redferna z więzienia. I wywieźć go z wyspy.

– Że co?

– Masz uwolnić Redferna – powtórzyła cierpliwie magiczka. – I bezpiecznie go wywieźć.

– Niby jak?

– Rusz głową.

– No weź… Znaczy się… No nie, Vrai, nie… Już jeden margrabia ma na mnie… animozję, mam sobie zrobić wrogiem drugiego? I narazić się jego zblazowanemu synalkowi?

Uzdrowicielka wzruszyła ramionami.

– Do tego królewski prefekt Trillo na mnie dybie, szuka haków... Nie, Vrai, co to, to nie. A tak w ogóle, to dlaczego niby ja? Sama teleportować go nie możesz?

– Nie mogę. Bo od razu by się wydało, że to ja. A ja mam pozycję i prestiż, nie mogę tego narazić.

– Znaczy się, mnie narażać można. Bo nie mam ni prestiżu, ni pozycji. Można mnie spisać na straty?

– Tego nie powiedziałam.

– Vrai...

– Geralt – przerwała mu. – Dość gadania, moja łódź czeka. Wiesz, co masz zrobić. A za to będziesz miał moją wdzięczność. Skorzystasz na tym, gwarantuję.

– Wiele skorzystam, gdy mnie tu zabiją.

– Postaraj się, żeby nie zabili. W plotkach, jakoby potrafię przywracać do życia umarłych, jest sporo przesady. A teraz bywaj.

●

Diego Mars, który przyniósł wezwanie od hrabiego, towarzyszył mu aż do drzwi komnaty. Ale do niej nie wszedł. Otworzył drzwi i dość bezceremonialnie wepchnął Geralta do środka.

Frederik siedział w swym wielkim fotelu, zdobnym na oparciu w herb marchii, dwie srebrne ryby adossés. Spod okrywającego ramiona sobolowego futra nadal widoczne były krzyżujące się na gołej piersi bandaże. Lewe kolano nadal spowijał opatrunek.

Uniósł dłoń, niedwuznacznie sygnalizując, by wiedźmin nie podchodził bliżej. Niepotrzebnie. Geralt nie zamierzał podchodzić. Zatrzymał się przy drzwiach i spokojnie czekał. Hrabia nie spieszył się, mierzył Geralta swym paskudnym spojrzeniem.

– Młody jesteś jak na wiedźmina – przemówił wreszcie. – Zgadnąć twoje lata trudno, boś mutant, no i ten biały włos... Ale widzi mi się, żeś jakby mój rówieśnik. Co? Głowę więc dam, że dużo

nas łączy. Tobie też nie raz pewnie przychodziło wysłuchiwać, żeś smarkacz, żeś gołowąs, że starszych mus słuchać, że jeszcze mus dużo się uczyć, że mus dorosnąć, bla, bla, bla... Tak jakby nauka z latami przychodziła. Jakby się starych a durnych nie widywało.

Geralt nie skomentował. Frederik z pewnością komentarza nie oczekiwał.

– Masz moją wdzięczność za Finnegana – oznajmił. – Za to, żeś go pojmał, nagrodzę cię. Straże sprawę pokpiły, łobuz zdołał się zakraść i byłby z Ludmillą... Czy wiesz, że ona już gotowa była, odziana do drogi? Wiedziała, że po nią przyjdzie. Jak się zgadali, nie wiem. Ale się dowiem. No, ale choć plan był chytry, wziął w łeb. Dzięki tobie.

Frederik pomilczał chwilę, podrapał się w pierś pod bandażem.

– Wynagrodzę ci to, obiecałem. Mało, dam sposobność zarobić jeszcze więcej. I moją łaskę sobie zaskarbić. Co, nie pytasz, w czym rzecz? Co ci chcę zlecić? A możeś już zgadł?

Geralt zgadł, ale milczał.

– Gdy ojciec wróci, jak nic uwolni Redferna. A ten nie odpuści, nie zapomni o Ludmilli. Będzie szukał innych sposobności... Zatem trzeba temu kres położyć, raz a dobrze i na zawsze. Ja sam nie mogę wydać takiego rozkazu, ojciec by mnie... Diabli zresztą wiedzą, czy by mnie ludzie posłuchali... Ale ty...

Hrabia wyprostował się.

– Dziś w nocy loszek Finnegana będzie otwarty, a straż stamtąd odwołana. Wyprowadzisz go, cichcem wywiedziesz na wał i skręcisz kark. Albo zadźgasz, jak wolisz. A trupa do jeziora. Nikt nie wie, jak on się tu dostał, nikt nie będzie wiedział, jak się wydostał. Po prostu zniknie.

Geralt milczał.

– Jasna rzecz. – Frederik sięgnął do sekretarzyka, wydobył z szuflady nabitą kiesę, z brzękiem postawił ją na blacie. – Jasna

rzecz, że za wyświadczoną mi przysługę wpadnie ci w kieszonkę, i to grubo. Po wykonaniu zadania, ma się rozumieć. Dwieście novigradzkich koron w złocie. Widziałeś kiedy na raz taką kasę?

Geralt milczał.

– Milczysz – skonstatował fakt hrabia, uśmiechając się paskudnie. – Ale ślepia ci się do mamony zaświeciły! Znaczy, zgadzasz się. Wierę, ten pamflet, owo *Monstrum*, czystą prawdę mówi o was, wiedźminach. Dla pieniędzy gotowiście pójść na każde łajdactwo.

●

Kuter żaglowy „Nihil Novi" powrócił z polowania na hippokampy wyjątkowo wcześnie, nie dalej niż godzinę po południu. Może dlatego druhowie i komilitoni hrabiego Frederika zeszli z pokładu wyjątkowo trzeźwi. Rychło okazało się, że postanowili to nadrobić. Z okna-strzelnicy ich kwatery w wieży wkrótce dobiegły odgłosy wesołej libacji. Tym razem impreza była męsko-damska, słychać było bowiem też śmiechy i cienkie piski niewiast. Komilitoni hrabiego zaciągnęli widać do siebie obsługę kuchni. Albo pralni.

Spacerujący wzdłuż palisady wiedźmin dostrzegł niedaleko czatowni jednego z kompanii, który do pijatyki nie dołączył. Był to ów syn właściciela browaru, wskazany mu przez uzdrowicielkę jako Primian Grohot. Ów stał oparty o ostrokół i przyglądał się jezioru.

Geralt podszedł.

– Patrzy na to – zagaił – że dziś znów nie wyszło? Że z polowania nici?

Primian Grohot charknął przeciągle i splunął do wody.

– A tobie – odwrócił głowę – to co do tego?

– Tak po prawdzie, to nic. Aleć widzę, że miast się z całą kompanią weselić, stoicie i tęskno na jezioro popatrujecie... Jakby,

wybaczcie, nie do kielicha was ciągnęło, ale tam, na wodę, na łowy...

– Proszę, proszę – wykrzywił się syn piwowara – jaki to z ciebie bystry obserwator. A co, jeśli tak ono i jest? Nie po to mnie tu przyniosło, na te zatracone mokradła, by kielich mieć na pieczy, ale na łów właśnie, na hippokampa. A tu miast łowów jeno birbanctwo, hulanka i debosz, sam słyszysz. No, ale jeśli komuś nie zależy...

Umilkł, żachnął się. Geralt nie ponaglał, odgadywał, że nie było potrzeby. Trafnie odgadywał.

– Tamtym panom hrabiom i baronom – mruknął Primian Grohot, ruchem głowy wskazując okno w wieży – zajedno, złapiem hippokampa czy nie. Więcej, niźli już mają, król im nie da. Co innego...

Nie dokończył. Popatrzył na wiedźmina bystro.

– Nie wszczął byś tej gadki – mruknął – gdybyś czegoś nie chciał. Hę?

– Chciałbym pomóc. Bo miarkuję, że pomoc potrzebna.

– Znaczy?

– Po mojemu – Geralt stanął obok, też oparł się o ostrokół – do polowania warto by wynająć kogoś, kto się na potworach zna. Ma pojęcie o tym, gdzie bytują, gdzie żerują, którędy migrują... Umiałby osaczyć...

Primian Grohot przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę.

– A dałoby się – spytał cicho – wynająć kogoś takiego?

– Gdzie jest chęć i środki – Geralt również zniżył głos – tam i sposób się znajdzie. Ale...

– No?

– Hippokampy to płochliwe stwory. Pływająca knajpa z taką załogą – Geralt ruchem głowy wskazał na okno – nie ma szans nawet zbliżyć się do nich. Nadto...

– No?

– Po co się dzielić? Niech król będzie wdzięczny za hippokampa… jednej osobie.

– Rozumiem. – Piwowarczyk odkaszlnął, rozejrzał się. – A ile… ile by mnie taka pomoc miała kosztować?

– O moim wynagrodzeniu – uśmiechnął się Geralt – pomówimy, gdy już będziemy mieli hippokampa na pokładzie kutra. A teraz trzeba będzie i owszem, potrząsnąć kiesą… Powiem wam, jak. O ile gotowi jesteście…

– Jestem, jestem – potwierdził Grohot. – Na wszystkom gotów i chętny. A gdzie jest chęć, tam i sposób się znajdzie, no nie?

●

Noc była ciemna, księżyc w nowiu, niebo zachmurzone. Geraltowi bardzo to konweniowało.

Ostrożnie wyszedł ze swej komórki, uważając, by drzwi nie zaskrzypiały. Bezszelestnie przeszedł korytarzem i wyszedł na dziedziniec, na pomosty. I o mało nie wpadł na wodnika.

Stwór skurczył się, przestąpił z łapy na łapę. Wybałuszył na Geralta ślepia i otworzył żabią paszczę.

Obaj stali nieruchomo. Ciszę przerwał Geralt.

– Do kuchni, co?

– Brekek.

– Masz, kurwa, szczęście – wycedził wiedźmin. – Bo nie mam na ciebie czasu. Spieprzaj.

●

Nie doszedł do budynku. Na drodze wyrósł mu nagle seneszal Diego Mars. A za nim dwie okutane w opończe osoby.

Seneszal postąpił dwa kroki, dobył krzywej szabli, owinął płaszcz wokół lewej ręki.

– Precz mi z drogi, wiedźminie – syknął. – Nikogo dzisiaj nie zabijesz. Chyba że po moim trupie.

– Finalnie nie mam najmniejszego zamiaru nikogo zabijać. – Geralt uniósł ręce. – A wręcz powiem, że przeciwnie.

– Wyjaśnij.

– Po pierwsze primo nie jestem najemnym zabójcą ani psem na rozkazy. Po drugie primo, dwieście koron za morderstwo to gówno, nie kasa.

– Tedy – seneszal przekrzywił głowę – na przeszkodzie nam nie staniesz?

– Nie stanę. Wręcz przeciwnie.

– Dziękuję – powiedziała melodyjnie Ludmilla Vaikinen. Zza opończy, którą kryła twarz.

– Dziękuję – mruknął zza opończy Redfern Finnegan.

– Ha – powiedział Diego Mars. – Może być, wiedźminie, że obu nas za ten numer powieszą, i to na jednej szubienicy. Nie ma się jednak co martwić na zapas. I, do diabła, nie stójmy tak. Młodych trzeba wyekspediować… Mam dla nich wyszykowane czółno…

– Czółno? – uśmiechnął się Geralt. – Panie seneszalu. Ja mam dla nich wyszykowany kuter żaglowy.

Przeważająca większość ludzi, twierdzących, że wstrętne są im i moralnie nieakceptowalne są dla nich gwałt i przemoc, zwyczajnie i po prostu nie potrafi przemocy użyć, nawet w obronie własnej, w obronie swych bliskich – lub wtedy, kiedy trzeba. To się nazywa: z niemocy zrobić cnotę.

Vysogota z Corvo

Rozdział piętnasty

Wielce Szanowna
Margrabina Ada Ghislain-Vaikinen
Ard Carraigh
Poste restante

Ex urbe Ard Carraigh, die 18 mens. Maii 1230 p. R.

Droga Ado,

spieszę powiadomić, że naszym dzieciom już nic nie zagraża. Dotarły bezpiecznie do celu, tak, jak to umówiłyśmy. Gdy naszym mężom złość minie, zaślubin tylko patrzeć. Co do wnucząt, to ufam, że gdy się pojawią, to ta idiotyczna wróżda między naszymi rodami będzie już tylko historią i będziemy mogły cieszyć się dziećmi i ich potomstwem bez spiskowania i konspiracji.

Nasza wspólna znajoma V. N. stanęła na wysokości zadania tak, jak obiecała. Powinnyśmy wnet wyrazić jej za to umówioną wymierną wdzięczność. Mówi się, że do szczęścia

naszych dzieci walnie przyczynił się też pewien młody wiedźmin, wzbudzając swymi czynami gniew Twego małżonka. Postaraj się utemperować margrafa i przekonać go, by wiedźmina poniechał. Nie byłoby korzystnym, by ów wpadł margrafowi w ręce. Za dużo wie.

Pozdrawiam Cię,
Persefona Finnegan

●

Redfern Finnegan odwrócił się w siodle i pomachał im na pożegnanie. Ludmilla Vaikinen też się odwróciła i dłonią przesłała wiedźminowi całusa.

Wiedźmin też pomachał. Hrabianka i Redfern popędzili konie i wkrótce znikli im z oczu wśród lasu.

– I tak oto miłość zwycięża, pokonując przeszkody i przeciwności – westchnęła Vrai Natteravn. – Oto młodzi zakochani, nareszcie razem, nie bacząc na nic i na nikogo, ruszają w świat daleki. Ku swemu szczęściu.

– Czas chyba i mnie ruszyć. – Geralt poklepał Płotkę po szyi. – Też w świat i nie mniej daleki. Zanim ku memu nieszczęściu ruszy za mną pogoń obu grafów.

– Nie wydaje mi się, byś musiał się tego obawiać.

– Nie wydaje ci się?

– Geralcie. – Uzdrowicielka spojrzała na niego. – Ja nie działałam na własną rękę, okazałam tylko pomoc. W grze tak naprawdę czynne były inne a ważne figury. Figury te, gwarantuję, ustrzegą przed wszelkimi konsekwencjami tak ciebie, jak i mnie. Gdyby ktoś zechciał takowe konsekwencje wyciągać, co jest wątpliwe.

– Chciałbym w to wierzyć. Ale i tak wolę finalnie się oddalić.

Geralt i zbiegowie opuścili wyspę Seevalk sprawnie i bez kłopotów. Przekupiony przez Primiana Grohota sternik cichcem wyprowadził kuter za wrota fortu, otwarte przez przekupionych wartowników. Problemy zaczęły się później, gdy syn piwowara zorientował się w sytuacji i pojął, że go wykiwano. Rozpoznawszy hrabiankę Ludmillę, buntować zaczął się sternik. Nie było wyjścia, trzeba było uciec się do przemocy. Głównie słownej. Grohota Geralt postraszył wyrzuceniem za burtę, sternikowi Redfern Finnegan zagroził mordobiciem. Znacznie poważniejszych trudności dostarczyła gęsta mgła, która przed świtem okutała jezioro niczym kokon. Nagle nie sposób było się zorientować, gdzie jest zachodni brzeg, gdzie miasteczko Tullach, gdzie przystań i gdzie cokolwiek. Niespodziewany ratunek przyniosła czekająca na molo Vrai Natteravn i jej magiczne światło, jaskrawe jak latarnia morska, przebijające opary.

– Vrai?

– Słucham.

– Czekałaś na przystani, wskazałaś nam drogę magicznym sygnałem. Miałaś w pogotowiu trzy konie, w tym jednego pod damskim siodłem. I moją Płotkę. Skąd wiedziałaś? Jak?

– Powiedzmy – uśmiechnęła się Vrai Natteravn – że pokładałam bezgraniczne zaufanie w tobie i twoich zdolnościach.

– A naprawdę? Magia albo co?

– Po części magia, po części albo co. Zanim się rozstaniemy, Geralcie, oto moja obiecana wdzięczność. Coś od wdzięcznej uzdrowicielki.

Odebranym od magiczki przedmiotem był metalowy krążek wielkości koronówki. Geralt obrócił go w palcach. Rewers był zupełnie gładki, bez żadnych znaków. Na awersie znaków było wiele, niektóry wypukłe, niektóre wyryte, wklęsłe. Żaden nic mu

nie mówił. Pośrodku krążka była wypukłość, wprawiony w metal kamień złocistożółtej barwy.

Vrai wyciągnęła spod koszuli breloczek na łańcuszku.

– Talizman jest aktywny, służy do jednostronnej teleportacji – wyjaśniła. – Kamień na nim to heliodor, zwany też berylem złotym. Taki sam jak ten na tym moim wisiorku. Obyś nigdy nie potrzebował mojej medycznej pomocy. Ale przecież jesteś wiedźminem, a to hazardowne zajęcie. Jeśli zajdzie potrzeba, kamień na talizmanie naciśnij trzykrotnie, raz za razem. Odbiorę sygnał i przybędę na wezwanie. Przybędę szybko, obiecuję.

Machnęła ręką, wyprostowaną dłonią, jakby kroiła powietrze. W ślad za ruchem dłoni w powietrzu rozbłysnął świetlisty owal, wewnątrz którego była nicość.

– Bywaj, wiedźminie – powiedziała.

I znikła.

●

Nocą padało, rankiem wszystko otuliła gęsta, lepka i mokra mgła. Rozpostarte na trawach białe sieci pajęczyn lśniły od rosy niczym brylantowe naszyjniki. Ale wypogadzało się, słońce zaczynało penetrować las przez listowie, odzywały się ptaki, gdzieś w głębi puszczy stukotał dzięcioł.

Geralt dojechał do rozstaja, wstrzymał konia. Tak jak równo niemal rok temu, pomyślał. Rozdroże. Drogi na południe, na zachód i północ.

Tylko kruków brakuje.

Na mokrym piasku gościńca wiodącego na południe widział ślady kopyt dwóch koni, zdradzające kierunek wybrany przez Redferna Finnegana i Ludmillę Vaikinen. Geralt zastanowił się. Wspominał.

Nie jedź traktem królewskim, uprzedził go przed odjazdem z Rocamory Preston Holt. Posiadłość jest obserwowana, na trakcie są patrole, na stacjach i po karczmach rezydują szpicle. Doniosą prefektowi, a tego wszak chcesz uniknąć. Skieruj się mało uczęszczaną drogą na wschód, a potem gościńcem na południe, przez Marchię Pojezierną. Gdy dotrzesz do rzeki Pontar, przepraw się na lewy brzeg. Jadąc z biegiem Pontaru dotrzesz do Novigradu i twojego utęsknionego oceanu...

Aby dotrzeć do Pontaru, rzeki będącej granicą między Kaedwen a królestwem Aedirn, należało kierować się na południe. Ale właśnie na południe pojechali Redfern i jego luba. Kto wie, może szukają azylu w Aedirn, w obcym kraju, gdzie nie dosięgnie ich żadna ze zwaśnionych rodzin?

Co by nie było, pomyślał, to chyba nie jest najlepszy pomysł, by kierować się na południe, tym samym szlakiem, co zbiegowie. Rozsądniej będzie wybrać własną drogę.

Trącił bok Płotki piętą. I ruszył z rozdroża na zachód. Tam, gdzie puszcza wydawała się najgęstsza i najdziksza.

●

Okolica była kompletnie bezludna. Geralt jechał leśnymi duktami trzy dni i nie zobaczył nawet śladu człowieka. Raz wydało mu się, że od południa, z bardzo daleka, usłyszał stuk siekier. Innym razem, od północy, doleciał go nikły zapach dymu.

Nocami, gdy biwakował, często słyszał wycie. Przypuszczał, że były to wilki. Ale pewności nie miał.

A czwartego dnia rankiem, na następnym rozdrożu, napotkał kruka.

●

Najpierw usłyszał, potem zobaczył. I zdziwił się. Kruk, miast kruczym obyczajem latać wysoko po niebie, skakał sobie po ziemi. Dopiero gdy Geralt się zbliżył, ptak zakrakał i wzbił się do lotu. Siadł na czubku sosny i stamtąd krakał dalej, niezawodnie w kruczym języku lżąc wiedźmina za przerwanie posiłku.

Albowiem kruk właśnie się był posilał. Na pozostawionych przez kogoś ogryzionych resztkach jakiegoś zwierzaka, sarny chyba. Z sarny zostało niewiele, czaszka, skóra, potrzaskane i gładko objedzone kości. A obok nich ogromna cuchnąca kupa.

Geralt schylił się z siodła, rozejrzał bacznie. I potwierdziło się jego podejrzenie. Na piasku widniał odcisk stopy. Dużej stopy. Szerokiej. I na półtorej stopy długiej.

Tylko jeden stwór miał tak wielkie platfusy. Tylko jeden stwór defekował tam, gdzie jadł.

Leśny szrat.

●

Jechał powoli, rozglądał się, czujnie nadstawiał ucha. W lesie, jak się okazywało, było niebezpiecznie.

Leśne szraty, humanoidalne potwory z rodziny goblinopodobnych, bywały groźne. Po pierwsze, zwykle występowały w hordach. Po drugie, nie zdawały się wyłącznie na własne kły i pazury, choć jedne i drugie miały okazałe. Zawsze się uzbrajały, w to, co znalazły lub zmajstrowały. I umiały się taką bronią posłużyć. Po trzecie, zawsze były głodne i atakowały wszystko, co dało się zjeść. W tym ludzi.

Na kolejnym rozdrożu leśny dukt krzyżował się z większą drogą. Stał tu słup, na przybitej doń blasze widniał kaedweński jednorożec i opleciona ozdobnym sznurem trąbka. Nie mogło być wątpliwości – droga była szlakiem pocztowym, a słup znakiem dystansowym, informującym gońca, że od następnego słupa dzieli go jedna mila.

Na drodze widać było ślady kopyt idącego cwałem konia. Ślady były świeże, pocztylion jechał tędy niedawno. I nie mógł być daleko.

I faktycznie nie był. Geralt usłyszał dźwięk blaszanej trąbki. Dźwięk rozpaczliwy. Wzywający pomocy.

Spiął Płotkę do galopu.

●

Wśród gęstwiny zajaśniała nagle polana. To stamtąd dobiegało coraz rozpaczliwsze granie trąbki, do którego dołączył się nagle dziki wizg konia.

Geralt dobył miecza, schylił się nad grzywą Płotki i w galopie wpadł na polanę.

Cztery kudłate szraty kłębiły się nad powalonym koniem. Rozpruły mu brzuch i pożerały żywcem. Koń wizżał i miotał łbem.

Na konarze rosnącego pośrodku polany samotnego dębu półleżał-półwisiał młody chłopak, trąbiąc co sił w blaszaną trąbkę. Dwa szraty usiłowały go dosięgnąć, jeden wlazł na barki drugiego i próbował zaczepić chłopca szponami.

Geralt w galopie najechał na tych pożerających konia, jednemu w przelocie ściął na odlew łysy łeb. Potem najechał na tych pod dębem, jednego rozpłatał, drugiego obalił. Zeskoczył z siodła, stawił czoła innym, biegnącym ku niemu z dzikim rykiem i wyszczerzonymi kłami. Jeden miał maczugę, drugi zardzewiały miecz, trzeci domowej roboty gizarmę, przytwierdzoną do żerdzi wyklepaną blachę urwaną z milowego słupa.

Wiedźmin wymanewrował pierwszego, szybkim ciosem rozchlastał mu gardło. Sam dziwiąc się swemu spokojowi i zimnej krwi, odbił cios drugiego i ciął go w skroń. Uchylił się przed świszczącym ciosem swojskiej gizarmy, otoczył szrata półobrotem i rąbnął mieczem w kark. Szrat padł na kolana. Geralt poprawił cios. Łeb potwora potoczył się pomiędzy paprocie.

Obrócił się ku temu spod dębu, ale ten zdążył już zrejterować. Geralt zobaczył tylko czerwony zad, gdy umykający szrat przesadzał wykrot.

Z satysfakcją stwierdził, że nawet oddech mu nie przyspieszył.

– Przestań trąbić.

Młodzik na dębie odjął trąbkę od ust.

– Możesz zejść. Już po wszystkim.

Młodzik zeskoczył, a raczej spadł z dębu. Stanął na czworaki, zadygotał i wyprężył się w wymiotnym odruchu. Trąbki nie wypuścił z ręki ani na moment.

– Dzięki za ratunek – wybełkotał. – Ja… Mój… Stokrotne dzięki…

– Zabierajmy się stąd – uciął wiedźmin. – Zanim szraty wrócą w większej liczbie.

– Mój koń…

– Twój koń już ci nie posłuży.

Młodzik zobaczył, co szraty zrobiły z jego wierzchowcem, i ponownie zgiął się, próbując wymiotować.

– Pojedziemy we dwu na mojej klaczy. – Geralt wytarł klingę miecza pękiem trawy. – Nuże, zabierajmy się.

– Poczta! – wypalił młodzik. – W jukach pocztę wiozłem! Jam jest królewski pocztylion! Poczta nie może przepaść! Poczta musi dotrzeć… Musi dotrzeć…

W samej rzeczy na piersi królewskiego pocztyliona dyndał ryngraf z wyobrażeniem trąbki oplecionej sznurem. Taki sam jak na słupie milowym.

– Ha. Oczyść tedy pocztę z krwi i zabieraj ją. I oddalmy się co rychlej.

●

– To nie może być – zachłysnął się pocztmistrz. – To nie może być, młody panie, żeby bez zapłaty. Jakże to tak? Niewdzięczność byśmy

okazali, krzywdzącą niewdzięczność. Przyjmijcież, proszę was. Wszyscy się zrzucili, ja, pocztylioni, stajenni... Wszyscy zrzucili się po parę marek...

– Jestem wiedźminem – powtórzył cierpliwie Geralt. – Zapłatę przyjmuję, gdy bywam wynajęty. Gdy taka jest umowa. Jeśli zaś zwyczajnie natrafiam na kogoś w opresji, jeśli po prostu spieszę na pomoc komuś zagrożonemu śmiercią, nie biorę za to pieniędzy.

Zanim dotarli do stacji pocztowej, on i ocalony pocztylion przejechali we dwóch na Płotce cztery mile z hakiem, mijając kolejne słupy dystansowe, wskazujące drogę. Na stacji pocztylion zdał obrazową i pięknie ubarwioną relację z wydarzenia, chwaląc i pod niebiosa wynosząc odwagę i waleczność Geralta. Personel stacji nagrodził wiedźmina oklaskami, wiwatami i poklepywaniem po plecach, nie obyło się też naturalnie bez wielkiego kufla piwa.

Pocztmistrz zaś, jegomość dostojny, zażywny, rumiany i krzywonogi, zarządził wśród personelu szybką zbiórkę i z uporem usiłował wręczyć Geraltowi sakiewkę z zebraną sumą. Był niepocieszony, gdy Geralt przyjęcia pieniędzy odmówił.

– To być nie może – powtarzał, przestępując z jednej krzywej nogi na drugą. – Nie może być, żeby bez nagrody. Uratowaliście życie pocztyliona, młody panie wiedźminie. Ba, co ważniejsze, uratowaliście pocztę. A poczta musi dotrzeć, musi! My, królewscy poczciarze, waszego czynu zostawić bez nagrody nie możem. Nie chcecie grosiwa, cóż... Może więc obiadem was podejmiem? Konia oporządzim?

Tego Geralt nie odmówił. I już po krótkiej chwili siedział w kuchni, zajęty bez reszty żurem z kiełbasą, pierwszym ciepłym posiłkiem od czasu pobytu na Seevalk, łowiąc nosem zapach smażonego dlań szczupaka.

Pocztowi stajenni zaś z zapałem zabrali się do oporządzania Płotki, szczotkami, zgrzebłami i kopyściami. Starannie

wyszczotkowali ogon klaczy, albowiem w myśl starodawnego koniarskiego przesądu nieczyszczony ogon konia miał przynosić jeźdźcowi pecha.

Ledwo Geralt skończył jeść, pocztmistrz zjawił się znowu.

– W nagrodę za męstwo wasze – oznajmił dumnie, wręczając Geraltowi ryngrafik z trąbką – postanowilim mianować was, panie wiedźmin, honorowym królewskim pocztylionem. Gdy ten znak pokażecie, każda stacja i każdy pocztylion pomocy wam udzieli.

– Wielkie dzięki. – Geralt poprawił popręg i juki. – Bywajcie...

– Hola, hola – zakrzyknął, podchodząc, wysoki pocztylion, mocno zakurzony, snadź niedawno do stacji przybyły. – Nie jesteście to wy aby ten wiedźmin? Co go Geraltem mianują? Jeśli tak, wiadomość dla was mam!

●

Dolina pomiędzy pagórkami tonęła w biało-różowym kwieciu. Kwitły drzewka – jabłonie, dziesiątki, jeśli nie setki jabłoni posadzonych w równych rzędach i szeregach, porządnie niczym wojsko w szyku. Droga skroś sadu, równa i ubita, wiodła do zabudowań, kilku dużych drewnianych budynków.

Nad drogą górowało coś w rodzaju bramy, dwa słupy z poprzeczką. Na poprzeczce wypalono napis.

HORTUS DELICIARUM

Geralt miał mnóstwo powodów, by na stacji zlekceważyć przyniesioną przez zakurzonego pocztyliona wiadomość. Ba, powinna ta wiadomość być potraktowana jak ostrzeżenie. Jak alarm. Już choćby przez sam fakt, że ktoś wie o nim, wie, dokąd podąża i w jakiej okolicy się obraca. Nadto można było podejrzewać, że skutkiem jego ostatnich wyczynów ów ktoś może nie być nastawiony przyjaźnie.

Ale zwyciężyła najzwyczajniejsza w świecie ciekawość. Zamiast, jak należało, uciekać gdzie pieprz rośnie, Geralt pojechał we wskazanym kierunku. I po dwóch dniach jazdy dotarł do celu. Do tonącej w biało-różowych kwiatach doliny. Do bramy z dziwnym napisem. I do tarczy herbowej pod nim.

Tarczy, na której widniały trzy beznogie ptaszki. Heraldyczne martlety.

To również powinno być ostrzeżeniem. I znowu należało uciekać. Ale znowu zwyciężyła ciekawość.

Przy zabudowaniach kręciło się kilku ludzi, żaden nie zwrócił na niego uwagi. Podwórze pełne było beczek, piętrzyły się na stosach wielkie kadzie, stały dziwne, przypominające prasy machiny.

Geralt uwiązał Płotkę do barierki, rozejrzał się, przeszedł.

Po początkowo niewidocznej, nasłonecznionej stronie jednego z budynków, tuż przy szpalerach jabłoni, obok kolejnej sterty beczek i obok drewutni, stał stół. Przy nim, pochłonięty wertowaniem dokumentów, zasiadał mężczyzna.

Gdy Geralt zbliżył się, mężczyzna zwrócił głowę w jego stronę. Odłożył czytany dokument, ze stołu podjął krótką różdżkę.

– Jesteś uzbrojony – stwierdził fakt, celując różdżką w Geralta. – Masz miecz na plecach, skryty pod opończą. Ale nie próbuj go dobywać, proszę. Nie chciałbym uciekać się do czegoś radykalnego.

Mężczyzna odziany był w modny dublet o barwie purpury, bogato haftowany, przodem szamerowany metalizowaną nicią, zapinany na srebrne klamerki, z wysokim sztywnym kołnierzem, spod którego wyzierała plisowana kreza koszuli. Włosy miał długie, ciemne, leciutko zaledwie przyprószone siwizną, brwi gęste i zrośnięte w jedną linię u nasady nosa.

Tęczówki jego oczu były jak polerowany metal, lśniące i jakby lustrzane.

– Moja wiadomość dotarła – stwierdził kolejny fakt. – Rad jestem, żeś skorzystał z zaproszenia.

– Pierwszy chyba prawdziwie ciepły dzień tej wiosny – dodał, nie doczekawszy się odpowiedzi. – A ja lubię bywać tu w Xendell, wiosną, w mojej posiadłości, moim Ogrodzie Rozkoszy. Czy wiesz, młody wiedźminie, skąd ta nazwa?

– Drzewa, które widzisz – monologował dalej, miękkim, wręcz aksamitnym głosem – to jabłonie. Teraz kwitną, a jesienią ugną się pod ciężarem jabłek. Z tych jabłek sztuką mistrzów winiarzy i gorzelników powstanie to, co tutejszej ludności dostarcza największej, choć i nieskomplikowanej rozkoszy. Jabłecznik. Jak również destylowany zeń dużo mocniejszy alkohol. W beczkach i antałkach trafi on na rynek, gwoli, jak się rzekło, rozkoszy narodu. No, ale czas się przedstawić. Jestem Artamon z Asguth. Czarodziej. Dziekan Akademii Magii w Ban Ard.

– Geralt. Wiedźmin.

– Tak, wiem. Od blisko roku pragnę się z tobą spotkać. A powody, dla których rozesłałem po całej okolicy zaproszenie do spotkania, są dwa. Pierwszym jest moja wdzięczność. Jestem bowiem ci wdzięczny, młody wiedźminie.

Geralt uniósł brwi.

– Margrabina Deianira, małżonka margrafa Luitpolda Lindenbroga, to moja krewniaczka. Tym samym krewniaczką jest mi córka Deianiry, Herzeloide. Za twoją sprawą mogła się im obu stać krzywda. Za twoją sprawą nie doszło do tego.

– Nie wiem, o czym waść mówisz.

– Proszę, proszę. Do tego wszystkiego skromny. I dyskretny. A co z Ludmillą Vaikinen i młodym hrabią Finneganem? Wyprzesz się udzielonej im pomocy?

Szybko wieści się rozchodzą, pomyślał Geralt. Jasne. Magia, plotka i gołębie pocztowe.

– Nie wiem, o czym waść mówisz – powtórzył.

– Na szczęście – uśmiechnął się Artamon – ja to wiem. I czas przejść do drugiego powodu mojego zaproszenia. Przejście wymagało będzie wstępu, nieco przydługiego. Uzbrój się w cierpliwość.

Geralt uzbroił się.

– Jesteś wiedźminem – zaczął po dłuższej chwili czarodziej. – Mutantem. Powstałym w wyniku procesu, który jawił się komuś jako ulepszenie, jako poprawienie Natury. Ale Natury nie można poprawiać. Ani jej modyfikować. Jakakolwiek manipulacja tym, co Natura stworzyła, oznacza patologię. Zepsucie i zniszczenie. Znieprawienie. Komu, jak nie tobie, muszę przypomnieć cytadelę Beann Grudd i aberrację, jaką tam wytworzono? Osławione Koty? Psychopatycznych morderców? Naturę trudno oszukać, młody wiedźminie. Niczym organizm, który zwalcza chorobę, Natura każdą metamorfozę i mutację traktuje – i słusznie – jak patogen właśnie, jak czynnik chorobotwórczy. I zwalcza go wszystkimi siłami. Natura, wybacz kalambur, jest zdecydowanie przeciw wynaturzeniom.

Jasne, pomyślał Geralt. A ty, pieczętujący się ptaszkami czarowniku, naturze pomagałeś, jak mogłeś. Kaer Morhen, gdzie wiedźmini się gnieżdżą, starte ma być z powierzchni ziemi, a ślad po nim posypany solą i saletrą. Cytat z twojego dzieła, prawda?

– I tak – podjął Artamon, splatając dłonie – na jednym biegunie mamy Koty, skutek znieprawienia Natury. Na drugim jesteś ty, efekt czegoś przeciwnego. Ty, Geralcie, jesteś najlepszym przykładem tego, o czym mówiłem. U ciebie Natura w walce z patogenem zaczyna zwyciężać. U ciebie odżywa prawość i empatia, które wiedźmińska mutacja miała w tobie całkowicie wykorzenić. Dlatego rozesłałem zaproszenie. Chcę bowiem złożyć ci propozycję. Przedłożyć prośbę, której żadnemu zwykłemu wiedźminowi

przedkładać nie mógłbym. Ale nie zawaham się złożyć propozycji człowiekowi prawemu, takiemu, który nie skrzywdził dwóch kobiet, choć mógł – a jako wiedźmin nawet powinien – to uczynić. Człowiekowi empatycznemu, który pomógł zakochanej parze, choć mógł po prostu wzruszyć ramionami i odwrócić wzrok.

– Przejdźmy więc *ad rem*. – Czarodziej wyprostował się na wiklinowym fotelu. – Pragnąłbym, byś odwiedził mnie w Akademii, w Ban Ard. W moim laboratorium, gdzie dokonałbym pewnych badań. Pobrałbym próbki. Nic by cię to nie kosztowało, poza może kilkoma kroplami krwi. I może odrobiną innych… wydzielin. Bardzo mnie interesuje, jako naukowca, co dzieje się z twoją krwią – i całym organizmem – po zażyciu eliksirów.

Geralt milczał.

– W ramach rekompensaty za poświęcony czas – podjął Artamon – zapewniłbym korzyść wymierną. Konkretną sumę. Nie mniejszą od tej, jaką oferował ci Lindenbrog za strzygę. Nadto, zapewniłbym nietykalność. Królewski prefekt zostawiłby cię w spokoju i przestał się naprzykrzać.

– Pomyśl też – czarodziej nie przejmował się milczeniem Geralta – o korzyściach niewymiernych. Efektem moich badań byłoby wytworzenie medykamentów, leków na trapiące ludzkość nieuleczalne dziś choroby. Moją wdzięczność już masz, za Deianirę i jej córkę. Pomyśl o wdzięczności całej ludzkości. Wyświadczone dobro wraca tym samym, młody wiedźminie. Wraca tym samym.

– Nie musisz decydować od razu. Przemyśl rzecz. A gdy zdecydujesz, odwiedź mnie w Ban Ard.

●

Był już w siodle, ale zanim zdążył odjechać, na podwórzu zjawiła się trójka konnych. Cała trójka uzbrojona po zęby, na bojowych ogierach. Dwóch mężczyzn w skórzanych, nabijanych mosiężnymi

guzami kubrakach. I kobieta w męskim czarnym wamsie. Kobieta miała płowy warkocz. Gęsty rzucik piegów wokół perkatego nosa. Wąskie usta. I zielone oczy o wyjątkowo szkaradnym wyrazie.

W szczelinach murów Kaer Morhen gnieździły się drapieżne jaszczurki. Kobieta z twarzy bardzo je przypominała.

– A ten to kto znów taki? – warknęła, wpatrując się w Geralta.

Drugi konny, kawał draba, też się przyjrzał. Nos miał zniekształcony, skrzywiony, jakby źle zrośnięty po jakimś obrażeniu.

– Zostaw, Meritxell. – Pochylił się w siodle i splunął. – To poczciarz. Nie widzisz blaszki z trąbką?

●

Geralt nie dojechał do bramy z rozkosznym napisem. Wstrzymał Płotkę wśród kwitnących jabłoni.

Nigdy dotąd, nawet w starciu z zorrilem, nawet w tańcu ze strzygą, nie miał takiego poczucia zagrożenia, nie wyczuwał takiego niebezpieczeństwa. W uszach brzmiał mu aksamitny głos Artamona. Przypominał sobie jaszczurcze oczy piegowatej kobiety.

Zeskoczył z siodła.

●

– …dowody – mówił Artamon. Ukryty za drewutnią Geralt zdumiał się, jak bardzo zmienił mu się głos. Nie było w nim już śladu aksamitu. Był żwir i miażdżone szkło.

– Estevan Trillo da Cunha rozczarował mnie, zawiódł na całym froncie. Ale ja obędę się bez dowodów, nie są mi potrzebne. Ja wiem, kto zamordował wachmistrza Marguliesa i innych. I nie będę czekał, aż prawo się wreszcie ocknie. Wezmę sprawę w swoje ręce.

– Względem Prestona Holta postąpicie zatem w sposób następujący. Holt ma kłopoty ze zdrowiem. Do Rocamory, jego

folwarku, często wzywany jest medyk z Ban Fillim. Niekiedy medyk nie udaje się tam własną osobą, lecz posyła z medykamentami któregoś ze swych uczniów lub pachołków. Któryś z panów, dajmy na to pan Beauregard Frick, wcieli się w tę rolę. Ale zamiast medykamentu dostarczy Holtowi coś, co ja przygotuję. Coś, co przyprawi wiedźmina o śmierć, poprzedzoną długotrwałą i bolesną agonią… Raczy pan głową kręcić, panie Frick. Powód?

– Mistrzu, ten wiedźmin ni brat mi, ni swat, nie dbam o niego. Ale to człek miecza, od miecza by mu ginąć… Żeby zaś truć, jak jakiego szczura…

– Primo, Holt jest szczurem. I zasługuje na szczurzą śmierć. Secundo, nie jest pewne, czy z mieczami dalibyście mu radę, nawet całą waszą trójką. Tak, tak, panie Frick, znane jest mi waści szermiercze mistrzostwo, ale Holt to ćwik, stary doświadczony wiedźmin, a wy jesteście zwykli ludzie. Tertio zaś i najważniejsze: nie może być śmierć Holta w żadnym razie kojarzona z moją osobą. Ani z osobą pani markizy, której służycie. A wasza trójka się kojarzy. Zrobicie zatem tak, jak poleciłem. Pojęliście?

– Wedle rozkazu.

– Tego właśnie oczekuję. A teraz sprawa świątyni w Elsborgu, miejsca, gdzie wiedźminów edukowano, hospitalizowano i na wszelkie sposoby wspierano. Moje starania odniosły wreszcie skutek i miejscowe władze podjęły decyzję o eksmisji i deportacji kapłanek. Ale to za mało. Trzeba z nimi skończyć definitywnie, raz a dobrze. Ponieważ, przypomnę, nic nie może wskazywać na mnie ani na markizę, zastosujecie podobny podstęp, jak wówczas pod Novigradem. Pamięta pani, pani Meritxell?

– Pamiętam. – Głos jaszczurki. – Pamiętam, mistrzu.

– Te najważniejsze to Assumpta i Nenneke. Sprawę ułatwi fakt, że obie kapłanki są przez część miejscowej ludności znienawidzone za okazywaną kobietom pomoc medyczną. Pani Meritxell wcieli się

zatem w rolę niewiasty pragnącej usunąć niechcianą ciążę i zgłosi się do świątyni na zabieg. W towarzystwie miłośnika, w rolę którego wcieli się pan Cibor Ponti. Przy pierwszej sposobności pani Meritxell i pan Ponti zasztyletują kapłanki. Zanim zaś się ulotnią, wzniosą głośne okrzyki o boskim prawie, ochronie świętego życia i temu podobne, im bardziej absurdalne, tym lepiej. W motyw nikt nie będzie wątpił, bo za ich działalność kapłankom grożono śmiercią nie raz i nie dwa. Pani Meritxell, panie Ponti, jakieś zastrzeżenia?

– Żadnych, mistrzu. – Buczący głos, chyba tego ze skrzywionym nosem. – Zrobimy, jak kazałeś.

W swym ukryciu Geralt czuł dreszcze. Nie wiedział, czy to skutek eliksiru. Czy to zwykła wściekłość.

– Względem reszty kapłanek i adeptek z Elsborga, najlepiej będzie sprawić, by przestały istnieć wszystkie od razu, hurtowo. Jak mi wiadomo, zamierzają wywędrować do Temerii, do nowej siedziby. Będzie to wymagało przeprawy promowej przez Pontar. Trzeba będzie spowodować małą katastrofę. Prom ze wszystkimi kapłankami musi zatonąć jakoś tak pośrodku nurtu, na głębinie. Zostawiam to pani i panów inwencji.

– Jasne, mistrzu. A co…

– Tak, pani Meritxell?

– Co z tym młodym wiedźminem, sługusem Holta? Pani markiza Graffiacane wspominała…

– Od imion wara, pani Meritxell! Proszę uważać na słowa i nie wymieniać tego nazwiska nigdy i nigdzie. A młody wiedźmin? Śmieszny, naiwny chłopczyna. Ale przejmować się nim już nie musicie. Jego już jakby nie było. Zaprosiłem go do Ban Ard. Powiedziałem mu, że to celem przeprowadzenia badań. Nie wyjaśniłem…

Artamon parsknął, zaśmiał się skrzekliwie i wrednie.

– Nie wyjaśniłem mu, że chodzi o jego wiwisekcję.

●

Karanie za przestępstwa to rzecz starosty i sądów, powtarzał w myśli ukryty za drewutnią Geralt. Rzecz starosty i sądów. Ale ja…

Holt. Matka Assumpta. Nenneke. Kapłanki.

Ścisnął w pięści podarowany przez Holta klucz.

Nie, nie myślę czekać, aż prawo się ocknie.

Wyświadczone dobro wraca tym samym.

Zło też.

●

Wśród jabłoni brzęczały pszczoły.

Meritxell i jej kompania odjechali. Ludzie na podwórzu przestali łomotać beczkami, widocznie mieli przerwę na posiłek. Artamon z Asguth, czarodziej, dziekan Akademii Magii w Ban Ard, zadrzemał nad papierami. Zbudzony szmerem otworzył oczy i zobaczył wiedźmina. Porwał za różdżkę. Był szybki, ale nie mógł konkurować z wiedźminem po eliksirze. Geralt uderzył go błyskawicznym lewym prostym, pięścią prosto w gardło. Odgłos uderzenia był znikomy, skutek zaś natychmiastowy. Artamon oburącz chwycił się za szyję, ale głosu dobyć nie mógł, krtań miał zmiażdżoną, a tchawicę zablokowaną. Był całkowicie bezradny i już dusił się powoli, ale Geralt nie zamierzał na tym poprzestać. Ani czekać. Zaciśniętym w prawej pięści kluczem z całej siły uderzył czarodzieja w bok szyi, tuż pod małżowinę lewego ucha.

Artamon upadł jak kłoda, na wznak. Obu rękoma wciąż ściskał szyję. Zaskrzeczał. Wierzgnął nogami. I znieruchomiał.

Był martwy.

Who killed Cock Robin?
I, said the Sparrow,
with my bow and arrow,
I killed Cock Robin.
Who saw him die?
I, said the Fly,
with my little teeny eye,
I saw him die.

Tommy Thumb's *Pretty Song Book*, zbiór dziecięcych rymowanek z roku 1744.

Rozdział szesnasty

Do Pana Prefekta
Szanownego Estevana Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Datum w Daevon, 4-tego dnia maja roku 1230 post Resurectionem

Panie Prefekcie,

informuję, iż do Xendell przybyłem w dniu 3-cim maja wraz ze starostą z Daevon i na miejscu przystąpiłem do badania. Stwierdziłem, iż Mistrz Artamon z Asguth nie żył, jak wskazał *rigor mortis*, od ponad doby. Precyzyjna diagnoza i określenie przyczyny śmierci bez sekcji zwłok możliwym nie była, wszelako odkryłem na ciele objawy, które mogą

wskazywać na śmierć gwałtowną i na udział osób trzecich, to jest na *crimen homicidio*. Stwierdziłem u nieżyjącego wylewy krwawe w okolicach szyi, skutek możliwy silnego uderzenia. Wybroczyny w gałkach ocznych i na skórze twarzy, jak też sinica, mogą wskazywać na złamania chrząstek krtani i uduszenie. Ale – *iterum dicimus* – bez sekcji tego jednoznacznie potwierdzić nie można.

Kreślę się i pozostaję z szacunkiem,
Eldardus Thiry, *medicus et adiunct judicalis comitatus Daevoniae*

●

JWPan Prefekt
Estevan Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Daevon, dnia 7-go maja 9-tego roku panowania najjaśniejszego króla Miodraga

JWPanie Prefekcie,

uwiadamiam, jako w dniu 6. maja przybyłem do jabłoniowego sadu w Xendell i wedle rozkazu niezwłocznie przystąpiłem do śledztwa. Co się pokazało, niżej przekazuję.

W czasie popełnienia zbrodni w sadzie przebywało i pracowało jedenastu sezonowych *laboratores* i jeden nadzorca. Przesłuchiwani wszyscy oni jak mąż jeden niewiedzą zupełną się zasłaniali, niby że pracą byli zajęci przy oczyszczaniu beczek i kadzi przed gorzelniczym sezonem, niczego zza tych kadzi ani widzieli, ani słyszeli. Nadzorca miał się wyrazić, że, cytuję, roboty jest huk, a on, znów cytuję, harmonogram ma tak napięty jak baran jaja.

Jakbym ich nie przyciskał, oni cięgiem swoje. Nie widzieli i nie słyszeli nic.

Wszelako znalazł się chłopczyna, głupawy po prawdzie krzynę, któren przypomniał sobie, że zamordowanego czarodzieja krótko przed śmiercią trójka konnych odwiedziła, dwóch mężów i niewiasta. Owi chłopczynie koni swych kazali strzec, sami zaś do czarodzieja się udali i czas jakiś tam bawili. Po czym precz odjechali, a chłopczynie na odjezdnym dali po uszach, bogowie jedni wiedzą, za co. Chłopczyna zapamiętał, że na jednego wołali „Zibor", a na drugiego „Bo".

Upraszam wskazówek, co dalej czynić, JWPana Prefekta
sługa posłuszny,
Ulf Markhor, agent śledczy koronny

●

JWPan
Estevan Trillo da Cunha
Praefectus vigilumw Ard Carraigh
W Ban Fearg, 28. dnia maja roku 1230 p. R.

Estevanie, uprzejmie mi miły!

A więc ktoś ukatrupił Artamona z Asguth. Nie wiem, jak u was w stolicy, ale w Ban Fearg i marchiach, gdy wieść się rozeszła, dużo więcej ludzi się z powodu tej śmierci raduje, niźli smuci. Rozliczne interesy czarodzieja i sposób ich prowadzenia wcale licznych przysporzyły mu wrogów. Nie zdziwiłbym się, gdyby to któryś z konkurentów Artamona odwdzięczył mu się za nieuczciwe zagrywki, czy wręcz szalbierstwa i szwindle. Nie wykluczałbym też żadnego z jego konfratrów z akademii w Ban Ard – sławny uczony

i eksperymentator nie był podobno od tego, by bezczelnie podkradać cudze idee i patenty.

Mam jednak inne podejrzenie. W swym liście wspomniałeś o trójce ludzi, ostatnich, którzy widzieli Artamona przed śmiercią. Otóż ja wiem, co to za ludzie – choć określenie „ludzie" zgoła do nich nie pasuje. Ów wspomniany „Zibor" to niezawodnie Cibor Ponti, bandyta poszukiwany w Kovirze listami gończymi. Zatem ów „Bo" to nikt inny jak Beauregard Frick, najemny zbir, na którym też liczne ciążą kondemnaty. Jeśli z tą dwójką mamy do czynienia, to trzecią osobą być musi, tegom pewny, niejaka Meritxell, podejrzana o liczne przestępstwa, w tym bestialski mord. A teraz najlepsze: cała trójka sekretnie pozostaje w służbach Cervii Herrady, markizy-wdowy Graffiacane.

Świadomym jest miłosnego i jakoby bardzo gorącego afektu, jaki łączył markizę-wdowę z zamordowanym czarodziejem. Tym niemniej przeoczyć się nie da, że markiza-wdowa to od dłuższego czasu pokręcona i dobiegająca będzie chyba ze stu lat baba. A mówi przysłowie: co starej babie po jedwabie. Nie wykluczam, że znudzony starką Artamon błysnął okiem ku jakiejś młódce, a jak głosi inne przysłowie, i w piekle nie masz większej furii niźli kobiety wzgardzonej. Jeśli zaś markiza umyśliła mścić się, to Fricka, Pontiego i Meritxell miała do tego na zawołanie. Doradzałbym więc poddać tę trójcę śledztwu.

Tyle moich rad, Estevanie,
fortem te et hilarem opto et bene vale,

Martin van Creveld, *inquisitor privatus*

●

Illustrissimus ac Magnificus

Abelard Levesley, hrabia de Bauhin
Dux Instigator Regni
w Ard Carraigh

Ex palazzo Graffiacane, die 5 mens. Junii anno 1230 post Resurectionem

Magnifice domine, wielce czcigodny WMPanie Instygatorze,

w imieniu JWPani markizy-wdowy Cervii Herrady de Graffiacane przedkładam suplikę. JWPani markiza-wdowa mile prosi, by słudzy WMPana Instygatora i Pana Prefekta da Cunha zechcieli przestać ją nachodzić i szykanować. Pani markiza jest w żałobie i nie życzy sobie być przesłuchiwaną kategorycznie. Kategorycznie też żąda, by przestano naprzykrzać się jakimiś wyimaginowanymi podejrzeniami i śledztwami jej dworzanom i rękodajnym. Pani markiza uznaje takie śledztwa za oszczercze nękanie. Pani markiza wyraziła życzenie, by prefekt da Cunha i jego ludzie wykazali wreszcie właściwie ukierunkowaną aktywność i zajęli się faktycznymi przestępcami – takimi jak wiedźmin Preston Holt z Rocamory pod Ban Fillim.

W imieniu JWP markizy-wdowy pragnę poinformować, iż w razie niespełnienia jej supliki i dalszych szykan podjęte zostaną kroki prawne.

Z poważaniem,

Nachtigall Visser, adwokat, doradca prawny rodziny Graffiacane

Praefectus vigilum
Estevan Trillo da Cunha
w miejscu

Datum in Ard Carraigh, 10-tego dnia czerwca roku 1230 p. R.

Panie prefekcie,

rozkazuję, by śledztwo wobec pani markizy-wdowy Cervii Herrady de Graffiacane i jej rękodajnych ze skutkiem natychmiastowym umorzyć i jakiegokolwiek dochodzenia zaprzestać. Śledztwem rozkazuję natomiast objąć niejakiego Prestona Holta, wiedźmina, z posiadłości Rocamora pod Ban Fillim.

Abelard Levesley
Instigator Regni

●

JWPan prefekt straży
Estevan Trillo da Cunha
w Ard Carraigh

Napisano w Ban Fillim, w dniu 7-mym lipca roku 1230

Jaśnie Wielmożny Panie Prefekcie,

spieszę zawiadomić, co zaszło. W dzień 5-ty lipca tego roku zjawił się we starostwie Ban Fillim niejaki Preston Holt. Powiadał się wiedźminem. Onże oznajmił, że, cytuję, oddaje się w ręce sprawiedliwości, albowiem sumienie go dręczy, albowiem zamordował z prymodotacją czarodzieja nazwiskiem Artamon z Asguth. I nadto trzech innych ludzi o mianach Margulies, Nourred i Chwalba. Tak ja jego zapytał, czemuż to on to był uczynił, tym ludziom, czemuż ich zabił. A on na to, że ich nie lubił. Wżdy potem poważniej wyznał, że ci pierwsi trzej lat temu trzydzieści z hakiem na siedzibę wiedźmińską zbrojnie napadli i mnogich wiedźminów tam pobili. A poszczuł ich do tego i podjudził

ów właśnie czarodziej Artamon. Tedy on, wiedźmin Holt, zemstę poprzysiągł i w końcu wywarł. Ale świadom jest, że zbrodniami tymi duszę swą skalał i sumienie srodze obciążył, tedy winę wyznaje i oddaje się prawu pod sąd i po ukaranie. Tak rzekł, tymi słowy.

Nie mieszkając tedy i nie deliberując, rozkazał żem tego wiedźmina uwięzić i pod konwojem do turmy w Sturefors wyekspediować, w nadziei, że słusznie czynię.

Polecając się statecznej łasce, zostaję z uszanowaniem,

Yon Bervoets,
starosta

●

Illustrissimus ac Magnificus
Abelard Levesley, hrabia de Bauhin
Dux Instigator Regni

Datum ex Ban Ard, die 1. Mensis Augusti anno 1230 post Resurectionem

Illustrissime Panie Instygatorze,

względem owego wiedźmina, Prestonem Holtem zwanego, osadzonego w Sturefors, winnego zamordowania naszego drogiego Brata i Amicusa Mistrza Artamona z Asguth, my, Akademia Sztuk Magicznych w Ban Ard, wiadomem czynimy co następuje.

Mistrz i *condiscipulus* nasz, Adrian z Tallemy, biegły tak w jurysprudencji, jak i naukach penalnych, orzekł, że wiedźmin nie człowiekiem jest, lecz mutantem i prawo do sądu mu nie przysługuje. Fundamentalne prawo nietykalności osobistej *nisi iure victum* jest prawem

człowieka jeno, nie mutanta. Rozprawa sądowa tem samem zbędną jest całkiem. Że wina zaś niewątpliwą jest, tedy bez zwoływania sądu można od razu do egzekucji przystąpić. Tyle Adrian z Tallemy.

Kierowani wszelakoż poczuciem sprawiedliwości uznaliśmy, że skoro *auctor* zbrodni ręce ma dwie, dwie nogi i ludzką mową zdolen jest *communicare,* to choć może to człowiekiem go *ex definitione* nie czyni, ale z pewnych praw ludzkich godzi się takiemu dać skorzystać. *Nullus describatur reus, priusquam convincatur,* tedy rzeczonego Prestona Holta przed sądem postawić należy i osądzić. Przychylamy się jednakowoż do opinii mistrza Adriana, że było to *crimen nefandum,* a wina owego Holta niewątpliwą jest. *Nec veniam effuso sanguine casus habet*. Nie może być zatem pobłażliwości i jeden może być tylko wyrok. *Ultimum supplicium*, czyli *poena capitalis*. Innego wyroku Akademia Sztuk Magicznych nie zaakceptuje i do wiadomości nie przyjmie.

Wyrok zaś jak najrychlej wykonać trzeba.

Zostaję z uszanowaniem,

Euclides Croft
Rector Academiae

●

Praefectus vigilum
Estevan Trillo da Cunha
w miejscu

Datum in Ard Carraigh, 6-tego dnia sierpnia roku 1230 p. R.

Panie prefekcie,

załączam odpis listu Jego Magnificencji Euclidesa Crofta, rektora akademii w Ban Ard. Zalecam zapoznać się i dokładnie co do litery sprawę osadzonego w Sturefors wiedźmina diligenter procedere. Znaczy, bez wszelkich ceregieli osądzić i stracić. O wykonaniu informować.

Abelard Levesley
Instigator Regni

Gdy umrzeć muszę, wieczne śmierci cienie
Jak narzeczoną do serca przycisnę.

William Szekspir, *Miarka za miarkę,*
przełożył Leon Ulrich

Rozdział siedemnasty

Siedzący za stołem Estevan Trillo da Cunha, królewski prefekt straży, patrzył na Geralta długo i przenikliwie, mrużąc oczy i lekko przygryzając wargi. Wreszcie wyprostował się na fotelu, podkręcił czarny wąs.

– Proszę, proszę, proszę -- wycedził. – Od dłuższego czasu moi agenci poszukują cię na terenie całego królestwa. Bezskutecznie. A ty, ku memu zdumieniu i podziwowi, zjawiasz się oto sam. Dobrowolnie. Nie pod konwojem.

Geralt wzruszył ramionami. Nie zamierzał zdradzać prefektowi, gdzie ostatnio był i czym się parał. A pracowity był to czas.

Po wydarzeniu w dniu pierwszym maja Geralt postanowił jak najprędzej i jak najdalej znaleźć się od miejsca owego wydarzenia. Podążył do Marchii Dolnej, nad rzekę Pontar. Tam zaś ryngraf z trąbką i tytuł honorowego królewskiego pocztyliona sprawdziły się ekstraordynaryjnie. Królewskich poczciarzy, jak się okazało, cechowała żelazna wręcz solidarność. Na każdej odwiedzanej stacji pocztowej na Geralta czekały wsparcie i asysta. A ponieważ zależało mu, by na czas jakiś się zakamuflować, poczciarze z Marchii Dolnej nie dali się długo prosić i zaoferowali Geraltowi pracę. I przez

ostatnie trzy miesiące Geralt towarzyszył jako eskorta pocztylionom wożącym cenniejsze przesyłki.

Solidarnością, rozeznaniem i sprawnym systemem komunikacji wykazali się również krasnoludzcy bankierzy. Gdy eskortujący pocztyliona Geralt pojawił się w filii banku rodziny Bonich, czekała tu nań wieść od Timura Voronoffa. Tym to sposobem Geralt dowiedział się o aresztowaniu Prestona Holta. I o osadzeniu go w budzącym grozę więzieniu Sturefors, miejscu odosobnienia i katorżniczej pracy w kamieniołomach.

– Idę o zakład – prefekt znów podkręcił wąs – że znam cel twojego przybycia. Ale nie będziemy się zakładać, albowiem, jak wiadomo, z dwu zakładających się osób jedna jest głupia, a druga nieuczciwa. Dlatego po prostu powiedz, co cię sprowadza, tu, do Sturefors. A ja zadecyduję, czy pozwolę ci odejść, czy też zostaniesz w więzieniu na stałe. Słucham, mów.

Z dziedzińca, zza zakratowanego okna, słychać było krzyki. I obelgi.

Zbliżający się do więzienia Sturefors najpierw, już z oddali, widzieli *Aedificium carceris*, wielkie gmaszysko, górujący nad nizinną okolicą kamienny blok. Czym gmaszysko było dawniej i czemu służyło, nikt nie pamiętał. Podejrzewano, że była to świątynia.

Podjeżdżających bliżej wąska droga wiodła do położonego w wąwozie kamieniołomu. Tu można było się przyjrzeć gromadzie obdartych i zakutych w kajdany więźniów, rozłupujących młotami i oskardami skalne bloki. Długo przyglądać się nie można było, przejezdnych zmuszały do pospiesznego mijania kamieniołomu groźne okrzyki i jeszcze groźniejsze miny dozorujących więźniów konnych kuszników.

Dalej była wysoka palisada i brama z kordegardą, gdzie każdy przybywający do Sturefors musiał zdać straży relację z celu

przybycia. Potem czekało się na zgodę na wjazd. Z reguły bardzo długo.

Od kordegardy droga wiodła wprost do *Aedificium*, pomiędzy dwoma ostrokołami, wysokimi na tyle, by nawet z wysokości siodła nie można było zobaczyć, co za ostrokołami się znajduje. Bywali wiedzieli jednak, że stoją tam drewniane baraki, miejsca odbywania kary za lżejsze – i średnie – przestępstwa. Skazani za poważniejsze wykroczenia siedzieli w kamiennych celach gmachu głównego. Tutaj też mieścił się zarząd więzienia, kwatery straży i magazyny.

Surowe pomieszczenie, do którego go wprowadzono, nie podobało się Geraltowi. Nie podobał mu się uwieszony pod powałą żelazny hak o nietrudnym do odgadnięcia przeznaczeniu. Ani to, że krzesło, na którym kazano mu usiąść, było trwale przymocowane do podłogi.

– Czekam – ponaglił Geralta Estevan Trillo da Cunha. – Mów.

– Więzicie tu – Geralt odchrząknął – Prestona Holta, wiedźmina.

– To, kogo tu więzimy – rzekł prefekt po chwili, gdy stało się jasnym, że Geralt niczego nie doda – jest tajemnicą stanu.

– Więzicie go za zabicie czarodzieja Artamona z Asguth.

– To również tajemnica stanu.

– Więzicie Holta niesłusznie. Jest niewinny. Nie on zabił czarodzieja. Ja go zabiłem.

– Ty? Doprawdy? A jaki miałbyś motyw?

– Artamon był autorem tego paszkwilu, który w sto dziewięćdziesiątym czwartym podjudził motłoch do ataku na Kaer Morhen, naszą siedzibę…

– I to miało ci wystarczyć?

– Planował też otrucie Holta. I mord na kapłankach z Elsborga. Musiałem temu zapobiec.

Estevan Trillo da Cunha milczał czas jakiś, pukając palcami w stojącą przed nim klepsydrę. Piasek w klepsydrze był całkiem

przesypany, ale prefekt nie odwracał jej. Ewidentnie nie zależało mu na mierzeniu upływu czasu.

– Innymi słowy – powiedział wreszcie – miałbyś zabić człowieka za twórczość literacką i zamiary. Gratuluję. Właśnie zająłeś wysokie miejsce na mojej prywatnej liście idiotycznych motywów. Ale muszę cię zarazem zmartwić, młody wiedźminie imieniem Geralt. Nie jesteś wiarygodny. Twoje przyznanie nie jest wiarygodne. Audiencja skończona. Opuść Sturefors.

– Ja zabiłem czarodzieja. Mogę to finalnie udowodnić.

– Doprawdy? A finalnie jak?

– Mogę dokładnie opisać, w jaki sposób go zabiłem. Musiano to odkryć podczas badania zwłok.

– Musiano to odkryć – potwierdzająco kiwnął głową prefekt. – I w samej rzeczy odkryto.

– Uderzyłem go w grdykę…

– W wyniosłość krtaniową, znaną medykom jako *prominentia laryngea* – dokończył, przerywając, prefekt. – Ale ponieważ nie chciałeś, by się męczył, dusząc, dobiłeś go ciosem w szyję, w wyrostek sutkowaty, powodując rozerwanie tętnicy kręgowej. Tak było?

Geralt zamilkł.

– Holt precyzyjnie opisał nam sposób, w jaki zamordował Artamona z Asguth – ciągnął beznamiętnie prefekt. – A sekcja zwłok to potwierdziła. A ty, cóż, musiałeś wiedzieć, jak Holt zabija, znałeś jego *modus operandi*. W stopniu wystarczającym, by teraz starać się go ratować, biorąc zbrodnię na siebie. Wznieśmy trzykrotne „hurra" za podziwu godne poświęcenie, chłopcze, i dowód lojalności. Lojalności nadaremnej jednak. Twoje przyznanie, które zresztą nie ma mocy dowodu, nie jest nam do niczego potrzebne, my już mamy winnego. Wyrok zapadł, egzekucja odbędzie się dziś.

– Dziś?

– Tak, dziś.

– Zabijecie niewinnego!

– Nie podnoś głosu. Preston Holt, alias Zjawa Reyndert, sam oddał się w ręce władz. Dobrowolnie i bez przymusu przyznał się do winy. Czy raczej win. Przyznał się do zamordowania Ottona Marguliesa, Kariego Nourreda i Remka Chwalby, o co, jak wiesz, podejrzewałem go od dawna. Przyznał się też do zamordowania Artamona z Asguth. *Confessio est regina probationum*, przyznanie się do winy to królowa dowodów. Sąd nie mógł mieć i nie miał wątpliwości. Preston Holt został osądzony i skazany, czeka go egzekucja. Prawo i sprawiedliwość są usatysfakcjonowane, nie potrzeba nam niczego więcej.

– Powtarzam, to nie Holt zabił Artamona, lecz ja. Przyznaję się. Więc konfesjo jest wagina i tak dalej. Aresztuj mnie, a wypuść Holta.

Estevan Trillo da Cunha przyglądał mu się w milczeniu. Dość długo.

– Prawu – powiedział wreszcie – a dokładniej generalnemu instygatorowi królestwa Kaedwen i czarodziejom z Ban Ard potrzebna jest egzekucja prawdziwego wiedźmina. Mistrza, nie czeladnika. Jeden wyrok i jedna egzekucja wystarczą w zupełności. Prawo nie jest krwiożercze. Ja też nie. Po egzekucji Holta uznam, że sprawiedliwości stało się zadość…

– Ładna mi sprawiedliwość.

– Zaprzestań. Przyjmij do wiadomości i uświadom sobie, że nie ocalisz Holta, choćbyś tu darł na sobie szaty i wył do księżyca. Opisywałem ci zagadnienie wtedy, w październiku ubiegłego roku, przy naszym pierwszym spotkaniu. Holt oddał się w ręce sprawiedliwości. Maszyna ruszyła i wkręciła go w tryby, z których to trybów wyjdzie tylko na szafot. To nieodwołalne i nieuniknione. I odbędzie się dosłownie za chwilę. Do Sturefors już przybyli goście,

ci, którzy zażyczyli sobie być przy egzekucji. Ci, którym na egzekucji zależało.

Geralt milczał, zaciąwszy zęby.

– Ty zaś – podjął prefekt – możesz odejść w pokoju. Odradzam jednak dalsze gromkie i szerokie przyznawanie się i opowiadanie o swoich jakoby czynach. Bo może to mieć opłakane...

– Chcę – przerwał ostro Geralt – widzieć się z Holtem.

– Zgoda – powiedział Estevan Trillo da Cunha. Kompletnie tym Geralta zaskakując.

●

Preston Holt nie wyglądał najlepiej. Białe włosy opadały mu na czoło i oczy nieporządną grzywą. Niezdrowa bladość, zapadnięte policzki i nienormalnie zaznaczające się kości policzkowe dopełniały obrazu. Do tego wszystkiego lewy policzek i oczodół nosił ślad wielkiego, ale dawnego i pożółkłego już sińca.

– Tutejsza tradycja – rzekł beznamiętnie Estevan Trillo da Cunha, widząc złe spojrzenie Geralta. – Nic osobistego.

– Nic osobistego – potwierdził, siadając na ławie, Holt. – Ot, dali po mordzie. Taka tradycja.

– Zostawiam was. – Prefekt odwrócił wreszcie klepsydrę na stole. – Na krótko. I w zaufaniu, że nic głupiego nie przyjdzie do głowy żadnemu z was. Uprzedzam, jesteście pod strażą.

Holt odprowadził wychodzącego wzrokiem. Potem utkwił zaropiałe oczy w Geralcie.

– Wyobraź sobie – westchnął – że domagałem się należnego mi ostatniego posiłku skazańca. A oni, że jest pęczak z sosem. Wczoraj był pęczak z sosem, ja na to. A oni, że jutro też będzie. Cięcia budżetowe. No to...

– Holt – przerwał ostro Geralt. – Oni tu zamierzają pozbawić cię życia.

– Wiem, wiem – machnął ręką stary wiedźmin. – Byłem w końcu obecny, gdy sędzia nałożył czarny biret i ogłosił wyrok.

Milczeli, patrząc na piasek w klepsydrze.

– Miałem cię – powiedział wreszcie Holt – za mądrzejszego. Myślałem, żeś wydoroślał. A z ciebie, jak się okazuje, wciąż naiwny smarkacz. I frajer. Po kiego diabła tyś tu przyjechał, co?

Geralt wzruszył ramionami.

– Domyślam się, po kiego.

Geralt wzruszył ramionami ponownie.

– Ja – podjął Holt – w odróżnieniu od ciebie wiedziałem, co robię, i świadom byłem konsekwencji. Działałem według planu. W tym planie nie mieściła się twoja żałosna, pozbawiona sensu i celu interwencja.

– Chciałem cię ratować…

– A ja chciałem ratować ciebie – odwarknął Holt. – Ale ja pierwszy na to wpadłem i nie potrzeba mi naśladowców. A ty się zjawiasz i chcesz wszystko zepsuć.

– Przepraszam – odrzekł Geralt. – To się nie powtórzy.

Obaj jednocześnie parsknęli śmiechem. Mało przystającym do okoliczności.

– Da Cunha – otarł łzę Holt – ma coś na ciebie? Oprócz twego głupiego przyznania? Wypuszczą cię stąd?

– Chyba tak. W moje przyznanie prefekt nie uwierzył.

– Nie byłbym tego taki pewien. No, ale oficjalnie mają już winnego i mają wyrok, tego już nie da się odkręcić. Gdyby teraz mieli objawić innego winowajcę, to kompletnie by się skompromitowali. Wszyscy. Wszystkie czynne sfery. Da Cunha i królewska instygatoria, ale przede wszystkim…

– Czarodzieje z Ban Ard?

– Zaczynasz myśleć.

Milczeli przez chwilę.

– Holt?

– Aha?

– Dlaczego... Dlaczego się przyznałeś? Dlaczego wziąłeś na siebie...

– Pewien człowiek – przerwał Preston Holt – wypatrzył kiedyś w lesie gniazdo szerszeni w starym pniaku. Podszedł blisko i kilka razy mocno w ten pniak kopnął. Potem pytano go, dlaczego to zrobił. A on na to...

– Co?

– Że podówczas wydawało mu się to świetnym pomysłem. Geralcie, piasek w klepsydrze zaraz się przesypie. Posłuchaj: oba moje miecze i medalion ma Voronoff. Niechaj trafią do Kaer Morhen. Resztę, w tym Rocamorę, skonfiskowali. Będziesz przy egzekucji?

– Tak.

●

W odróżnieniu od zwykłych miejskich szafotów ten na dziedzińcu więzienia Sturefors był malutki. Rzecz jasna, służące do miejskich egzekucji rusztowania musiały być wielkie i obszerne, musiały wszak pomieścić cały arsenał urządzeń i machin, niezbędnych do bardzo niekiedy wymyślnego i urozmaiconego zadawania cierpień i śmierci. Na szafocie w Sturefors wiele wymyślności nie znalazłeś – ot, wszystkiego jeden masywny słup pośrodku. Rusztowania miejskie były też wysokie – musiały wszak zapewnić dobry prospekt wypełniającej rynek gawiedzi. Szafot w Sturefors był niziutki, nieliczni spektatorzy mogli obserwować kaźń z góry, z otaczającego dziedziniec krużganka.

Na krużganku, stwierdził Geralt, był może z tuzin widzów. Rzucał się w oczy siwobrody starzec w bogatym odzieniu, otoczony przez młodszych i znacznie przystojniejszych mężczyzn tudzież

olśniewające urodą kobiety. Bez wątpienia byli to czarodzieje i czarodziejki z Ban Ard, przybyli, by być świadkami egzekucji zabójcy konfratra. Była tam też kobieta, zgarbiona starucha w czarnej sukni i obcisłym, obszytym perłami eskofionie, z twarzą całkowicie zasłoniętą gęstą czarną woalką. Kobietę podtrzymywał, podawszy ramię, postawny drab. Tego draba Geralt już kiedyś widział. Nie nosił już brygantyny ani obciążonego bronią pasa, odziany był w szary i prosty strój sługi lub pokojowca. Ale Geralt rozpoznał go i tak. Po zniekształconym nosie.

Na szafocie, oparty o słup, czekał kat w skórzanej masce.

Holta wyprowadziło na dziedziniec czterech pachołków. Stary wiedźmin szedł spokojnie, twarz też miał spokojną. Tuż przed szafotem pachołcy próbowali chwycić go za ramiona, strząsnął z siebie ich ręce, wszedł na rusztowanie sam. Stanął, obróciwszy się ku krużgankowi i podnosząc głowę. Wyglądało, że coś powie. Dobrze wyglądało.

– Żałuję – powiedział Holt głośno.

Kat bez słowa wskazał przytwierdzone do słupa siedzisko. Holt bez ociągania siadł, wyciągnął do tyłu ręce do związania. Kat zamocował mu na szyi żelazną obręcz połączoną z nagwintowanym trzpieniem. Położył dłonie na uchwytach wystającego z tyłu słupa pokrętła. Uniósł głowę, pytająco spojrzał na prefekta. Estevan Trillo da Cunha dał znak dłonią.

Kat obrócił pokrętło. Holt zacharczał. Starucha w eskofionie zaskrzeczała.

Kat przekręcił śrubę raz jeszcze. I jeszcze raz. I to był koniec. Starucha zaskrzeczała znowu. Dopiero teraz Geralt pojął, że to nie był skrzek, lecz śmiech.

●

– Tak więc jest po sprawie – powiedział Estevan Trillo da Cunha, postukując palcami o klepsydrę na stole. – Dramat zakończony. Pora, by wszyscy aktorzy zeszli ze sceny. W tym i ty, wiedźminie. Niezależnie od roli, jaką odegrałeś.

– Nie zatrzymam cię, możesz bez przeszkód opuścić Sturefors – ciągnął. – Biegnąca tu obok droga wiedzie na południe i to w tamtym właśnie kierunku się udasz. Daleko. Aż nad rzekę Pontar. Świat jest wielki, wiedźminie. Nad Pontarem jest Redania, za Pontarem są Aedirn i Temeria. Na zachodzie, nad oceanem są Novigrad, Cidaris, Verden, liczne królestwa, niezliczone miejscowości, przeróżne malownicze okolice. Spodoba ci się tam, pewien jestem.

Geralt milczał.

– Spodoba ci się tam – powtórzył prefekt. – A choćby nawet i nie, w nasze dzierżawy tak czy owak nie wrócisz. Wolałbym, by było to całkowicie jasne, bez marginesu na niedopowiedzenia. Nie chciałbym już nigdy cię widzieć, Geralcie. Nie chciałbym również już nigdy o tobie słyszeć. Pojąłeś mnie?

Geralt skinął głową na znak, że pojął.

– Zanim się ostatecznie i na zawsze pożegnamy – podjął prefekt – jest jeszcze jedna, ostatnia sprawa…

– Kim była – przerwał Geralt – ta odziana na czarno niewiasta? Ta w woalce? Ta, którą śmierć Holta tak uradowała?

– Nie leży w moich kompetencjach udzielanie ci informacji – skrzywił się prefekt. – Ale niech ci będzie. To markiza-wdowa Cervia Herrada Graffiacane. A radowała się zemstą, bo Artamon z Asguth był jej kochankiem. Byli razem przez ponad sześćdziesiąt lat. Do samej śmierci czarodzieja.

– Naprawdę? Artamon i ta starucha? Ileż ona może mieć lat?

– Osiemdziesiąt dwa. Dziwi cię, że romans może przetrwać tak długi czas?

– Dziwi. Ale nie w tym rzecz. Ten typ z krzywym nosem, który jej towarzyszył, przebrany za sługę. Powinno zaciekawić cię, jako prefekta od bezpieczeństwa, że to jemu czarownik zlecał morderstwo kapłanek ze świątyni w Elsborgu. Jemu i kobiecie o imieniu…

– Meritxell – dokończył prefekt. – Wiem.

– Kapłanki wciąż są zagrożone…

– To już nie twoja rzecz, wiedźminie – przerwał ostro prefekt. – Ty wyjeżdżasz i nigdy tu nie wrócisz, sprawy związane z bezpieczeństwem królestwa Kaedwen już cię nie dotyczą. Wróćmy jednak do tej ostatniej sprawy, o której mówiłem. Słuchasz mnie?

– Uważnie.

– Otóż czarodzieje z Ban Ard zażądali zwłok Holta. Do sekcji, do swoich badań i eksperymentów. Nie mogłem im odmówić. Ale…

Geralt uniósł brwi.

– Wóz z ciałem Holta – prefekt spojrzał na sufit – od jutra, od świtu, będzie stał za bramą więzienia i czekał na ludzi z Ban Ard. Przez jakiś czas, ba, dłuższy czas nawet, wóz ten będzie zupełnie bez dozoru. Może się zdarzyć, że ktoś sobie ten wóz przywłaszczy, takie rzeczy się zdarzają. Magikom z Ban Ard takie wyjaśnienie powinno wystarczyć. Ba, będzie musiało im wystarczyć.

Geralt bez słowa skłonił się.

– Prefekcie…

– Słucham.

– Mimo wszystko… Cały czas mam wrażenie, jakbyś był mi bardziej życzliwy niż wrogi. Trochę mnie to…

– Dziwi? – Estevan Trillo da Cunha uśmiechnął się lekko. – Cóż, miałem zamiar się z tym kryć, ale może i będzie lepiej, gdy udając się w daleką drogę, pojmiesz, jakie korzyści dają wyświadczone komuś kiedyś przysługi. Powiadają, że wyświadczone dobro wraca tym samym. Mistrzyni Vrai Natteravn niedawno leczyła moją córkę.

I powiedziała mi słowo lub dwa. Bywaj, wiedźminie. Powodzenia na szlaku.

Sweet is revenge – especially to women.

Lord Byron, *Don Juan*

Rozdział osiemnasty

Miejscem ostatniego spoczynku Prestona Holta stał się skraj lasu nad płytkim parowem, pod wielkim rozłożystym cisem o spękanym pniu. Nie było to nadmiernie daleko od więzienia, pod bramą którego, tak jak przyrzekł prefekt, czekał o świcie wózek z owiniętymi w płótno zwłokami. Geralt ciągnął wózek przez kilka godzin, tak długo, jak zdołał, nim osłabł. Płotka nie mogła mu pomóc, jako koń wierzchowy nie dałaby się zaprząc do wehikułu za nic w świecie. Tak więc Holt pochowany został pod cisem, w pierwszym miejscu, które wydało się Geraltowi właściwe.

Grobu Geralt niczym nie oznaczył. Usypał tylko na mogile kopiec kamieni, które częściowo wykopał, a częściowo nazbierał w pobliżu.

Siedział opodal grobu niemal do zachodu słońca, rozmyślając o tym i o owym. Patrzył na znikającą wśród boru drogę.

Drogę, wiodącą na południe.

Po czym wskoczył na siodło i popędził Płotkę.

Drogą na północ.

●

Meritxell dociągnęła popręg, poprawiła sukienny czaprak i ułożenie juków, poklepała konia po szyi. Obróciła się, słysząc niewyraźnie mamrotane przekleństwa.

– Co jest, Beau?

– Kurwa żeż mać – zgrzytnął zębami wchodzący do stajni Beauregard Frick. – Coraz mniej mi do gustu służba u tej piekielnej staruchy. Nie dość, że skąpa, to jeszcze... Nie będzie mnie, psiakrew, nikt od niedołęgów wyzywał. Dość tego mam pomału.

– Dobrze, że pomału. – Cibor Ponti potarł zniekształcony nos. – Bo po prawdzie to wyjścia tak jakby nie mamy. Chroni nam markiza dupy. A przegoni nas ze służby...

– To nas w try miga łowcy odnajdą – dokończyła Meritxell. – Nagrody są za nasze głowy, zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. – Beauregard Frick wskoczył na siodło. – Ale mierzi mnie z łbem spuszczonym słuchać, jak mnie ktoś niedołęgą nazywa. Ale macie rację, tedy dość gadania. Wiemy, co robić, to i mus to zrobić. W drogę!

– W drogę!

●

Było coś około początku września – a kto wie, może trochę wcześniej albo trochę później – gdy Geralt dotarł do okolic Ard Carraigh i mógł z oddalenia popatrzeć na stolicę, na jej imponujące baszty i wieżyce z połyskującymi miedzią hełmami i iglicami. Zatrzymał Płotkę na podmiejskim pagórku, nieopodal wielkiego wysypiska śmieci, i popatrywał chwil kilka. Niezbyt długo. Głównie z powodu much. Ale też i spieszno mu było na północ. Bał się nawet pomyśleć o tym, że mógłby dotrzeć za późno.

Z rozstaja podążył gościńcem w kierunku wskazanym przez drogowskaz.

Ku Ban Fearg.

●

Oberża „Pod Rakiem i Ślimakiem" w Ban Fearg, podobnie jak wszystkie traktiernie należące do Ezry Metzgerkopa, miała nowy szyld. Ten nowy, oprócz złoconych liter w nazwie, z racji awansu właściciela udekorowany był koroną baronowską z siedmioma pałkami i czterema perłami w otoku. Szyld był tak imponujący, że przez kilka pierwszych dni po powieszeniu mieszkańcy Ban Fearg tłumnie zjawiali się, by go podziwiać. Siłą rzeczy także obrót restauracji mocno skorzystał. Od czasu powieszenia nowego szyldu o wolne miejsce „Pod Rakiem i Ślimakiem" było trudno, lokal regularnie był pełny.

Dziś też był, dlatego Lozado Cross, strażnik porządkowy oberży, niechętnie przyjrzał się nowym gościom, trójce konnych, kobiecie i dwóm mężczyznom, wiedząc, że za chwilę będzie zmuszony ich odprawić. A trójka konnych, jak bystro zauważył strażnik, nie należała do takich, co pokornie znieśliby odprawę. Piegowata kobieta z płowym warkoczem miała złe zielone oczy. Jeden z mężczyzn miał zniekształcony nos, drugi był ostrzyżony krótko, do samej skóry. Cała trójka obwieszona była bronią. Lozado Cross czuł, że powinien wezwać pomocy reszty strażników, ale wstydził się nieco – nie był ułomkiem i do tej pory dawał sobie radę sam, w wielu trudnych sytuacjach. Skrzyżował więc ręce na piersi i postanowił czekać na rozwój wypadków.

A wypadki, jak się zdawało, były nieuniknione. Piegowata kobieta o paskudnych oczach ostro podprowadziła konia aż pod sam ganek, kopytami niemal na stopnie schodów, dłoń trzymała na rękojeści miecza. Ten ze złamanym nosem też podjechał, stuknął o łęk siodła groźnie wyglądającą okutą pałą.

– Meritxell, Cibor, zostawcie – przemówił z tyłu ten ostrzyżony. – Darujmy sobie. Popatrzcie na ten szyld. Tutaj tę złotą koronę i literki niechybnie doliczają do cen, nadto się tu wykosztujemy.

Poszukajmy innej karczmy. Bez pozłacanego szyldu, z żarciem prostym, ale dobrym. Dalej, w drogę!

Lozado Cross odetchnął z ulgą.

●

Szyld oberży „Pod Rakiem i Ślimakiem" w Ban Fearg był nowy, farba i pozłotka na nim wyglądały na całkiem świeże. Szyld dekorowała też wielka złota korona z siedmioma pałkami i czterema perłami w otoku.

Dookoła niosła się upajająca woń gotowanych raków.

Geralt miał przez chwilę chęć zatrzymać się i wejść, choćby po to, by pozdrowić znajomego restauratora. Zaniechał jednak. Pamiętał, że w takich lokalach bywali szpiedzy prefekta. Wolał zaś, by Estevan Trillo da Cunha nie dowiedział się o jego eskapadzie na północ.

Obrócił konia i odjechał.

●

Do okolic Rocamory dotarł nocą. Księżyc był w pełni, w posiadłości paliły się światła, dolatywał zapach dymu. Geralt nie miał zamiaru zbliżać się ani tym bardziej wjeżdżać. Postał tylko chwil kilka na wzgórku, popatrzył. Potem szturchnął Płotkę piętą, popędzając ją do kłusa.

●

Jupiter Mello, królewski komornik, obrzucił puste pomieszczenie nierozumiejącym wzrokiem.

– Nikogo nie ma? – spytał z niedowierzaniem. – Nikt nie przyszedł?

– Ano, tak jakby. – Yon Bervoets, starosta Ban Fillim, podrapał się w głowę. – Wychodzi, że nikt…

– Nie rozumiem – zasępił się komornik. – Kompletnie nie pojmuję. Jeszcze wczoraj pchali się jeden przez drugiego… I nie dziwota, posiadłość piękna, lokalizacja wspaniała… A dziś jakby ich mór wygubił! Nikt nie stanie do licytacji? Nie pojmuję. Dlaczego?

– Bo to, panie, widzicie… – Starosta znowu się podrapał. – Przelękli się ludziska. Strach ich ogarnął.

– Strach? Przed czym?

– Gadają… – zająknął się starosta. – Gadają, że ta posiadłość przeklęta jest. Rocamora to po elfiemu „zemsta". Właściciel, ten wiedźmin, co go stracili w Sturefors, rzucił na to miejsce mściwy urok…

– Przesąd! Ludzie w to wierzą?

– A jak nie wierzyć? – Starosta odwrócił wzrok. – Kiedy wielu widziało…

– Co niby?

– Upiora.

– Co?

– Upiór się tam nocą pojawił, na wzgórzu podle Rocamory. Wielu widziało. Jasno było, księżyc w pełni… Na upiornym koniu, z włosami białymi… To on, bez ochyby. Ten wiedźmin, co go stracili, wraca upiorem. By się mścić…

– Zabobonne kmiotki! – parsknął komornik. – Ciemnogród! Upiór im się przywidział, burakom. Cholerne prostaki! Wsiowe ćwoki!

Po prawdzie to jeszcze dziad Jupitera Mello orał ugór drewnianym radłem i srać chodził za stodołę, ale obecny królewski komornik wolał już o tym nie pamiętać.

– I co ja teraz począć mam? – Rozłożył ręce. – Nakazane mam od zwierzchności tę Rocamorę zlicytować na rzecz skarbu… Hola! A wyście kto?

– Wybaczenia proszę – powiedział przybysz. – Czy dobrze trafiłem? Licytacja posiadłości Rocamora, to tutaj?

– Tutaj – potwierdzili jednym głosem komornik i starosta.

– Ale wielu chętnych nie ma. – Przybysz potoczył wzrokiem po pustym pomieszczeniu. – Tylko ja jeden. Znaczy się, wysoko powyżej ceny wywoławczej raczej nie będzie, nieprawdaż?

– Tak wychodzi – potwierdził obojętnie Jupiter Mello. – Tedy możemy zaczynać. Wasze miano, dla porządku?

– Nazywam się Timur Voronoff.

●

W samotnej zagrodzie coś się działo. Już z oddalenia słychać było babie krzyki i lamenty, szczekanie psa. Geralt podjechał bliżej.

Tuż przy studni leżał zabity pies. Drugi pies biegał po obejściu, ujadał. Pod chałupą, na ławie sporządzonej z jednego pniaka siedział, czy raczej półleżał, wielki chłop z głową omotaną pokrwawioną szmatą. Obok stała baba w zapasce, machająca rękami i lamentująca bez ustanku. Wyrostek w lnianej koszuli przyglądał się Geraltowi spode łba. Na spuchniętej twarzy miał ślad uderzenia batem.

– Ubili mi chłopa, pokaleczyli! – wrzeszczała baba. – Że też kary nie ma na takich łotrów! Że też ich ziemia nosi, diablich pomiotów!

– Co tu zaszło? – spytał Geralt z wysokości siodła. – Napadł was ktoś?

– A napadli, dobry panie, napadli! Zbóje z piekła rodem, żeby ich cholera! Dziewka jedna i drabów dwu! Dziewka piegowata była jak indycze jajo, a jeden drab nos miał koślawy. W obejście wjechali jak do swego, nie pytając ni prosząc, jęli konie poić. Pies ich obszczekał, to go wzięli i ubili, zasiekli. Chłopak rzucił się psa ratować, to go nahajem sprali. Mój chłop tamój skoczył z okszą, wygonić ich chciał, to go ta wredna dziewka mieczem w łeb

zacięła... Obaczcie sami... Wyżyje, nie wyżyje, nie wiada... Toż to, panie, łotry takie bezecne, że też kary na nich... Rychtyk wiedźmina na takich trza... Wiedźmina! A powiadają, że jednego wiedźmina w turmie w Sturefors kaźnili. To jak to jest, panie? Wiedźmina do turmy wsadzają i kaźnią, a zbóje wolno po kraju jeżdżą, ludzi kaleczą?

Ranny chłop zastękał, zajęczał. Baba wznowiła lament. Geralt po chwili zastanowienia wyłowił ze szkatułki flakonik z Wilgą. I wręczył go babie.

– To na ranę – pouczył. – Polewajcie przy zmianie opatrunku. Powinno pomóc.

– Dzięki niech wam będą, panie dobry!

●

Po dniu pospiesznej jazdy, wjechawszy na wzgórze, Geralt zobaczył z daleka owych zbójów z piekła rodem, łotrów bezecnych, na których, jak twierdziła baba z zagrody, nie było kary i ziemia ich nosiła całkiem niepotrzebnie. Kobieta z jasnym warkoczem, na siwku. I dwóch drabów w brygantynach. Jeden z tych drabów, Geralt szedł o zakład, miał złamany i skrzywiony nos.

Cała trójka zmierzała na północ, ostro popędzając konie.

Geralt wstrzymał Płotkę, nie spieszył się ze zjazdem ze wzgórza. Wolał, by trójka jeźdźców oddaliła się. Nie chciał, by połapali się, że ich śledzi. Nie bał się, że zgubi ich ślad.

Domyślał się, wręcz pewien był, że wie, dokąd zmierzają.

●

Kapłanka Assumpta z Rivii klęczała przed alabastrowym posągiem bogini Melitele już kilka godzin. O tym, by jej jakimkolwiek sposobem przeszkodzić, żadna z młodszych kapłanek nawet nie pomyślała. Nenneke, Flavia, Ailidh i Zdravka trwały w ciszy

i spokoju w klęcznikach. Podczas modłów matka Assumpta wpadała w trans i jak mniemano, kontaktowała się wówczas mentalnie z boginią. Czy tak było, czy nie, nie miało znaczenia. Kapłanki głęboko wierzyły, a dla takiej wiary nie istniały rzeczy niemożliwe.

Świece już dogasały w festonach wosku, świt rozjaśniał już witraże, gdy matka Assumpta podniosła się z kolan.

– Niebezpieczeństwo – powiedziała cicho do młodszych kapłanek. – Grozi nam niebezpieczeństwo. Furta niechaj będzie zamknięta, stale zamknięta, w dzień i w nocy. I nie wpuszczajcie nikogo obcego.

●

Przed nocą, po zachodzie, tuż przed zmrokiem, zobaczył babę jagę, sunącą przez las w wielkiej drewnianej stępie, zamiatającą za sobą ślady miotłą. Potworzyca przemknęła blisko, przez moment widział jej wielkie wyszczerzone zębiska.

Baba jaga zmierzała w kierunku wsi – Geralt już wcześniej słyszał z tamtego kierunku szczekanie psów i pobrzęk pasterskich dzwonków. Ktoś w tej wsi – najpewniej dziecko – było zagrożone. We wsi potrzebny był obrońca.

Ale Geraltowi spieszno było na północ. Bał się nawet pomyśleć o tym, że mógłby dotrzeć za późno.

●

Miejscowość Spynham Geralt minął wczesnym rankiem. Przez chwilę popatrzył na smukłą wieżę ratuszową i krążące wokół niej ptaki. Po czym pojechał dalej.

●

Przez tych, którzy jeszcze w nią wierzyli, bogini Melitele uważana była za opiekunkę kobiet, za ich ucieczkę i nadzieję. Wszystkich

kobiet, niezależnie od wieku, stanu i pochodzenia. I niezależnie od profesji. Nic tedy dziwnego, że w „Lorelei", słynnym domu uciech w miasteczku Spynham, przechowywano wizerunek patronki – złotą figurkę bogini w jej brzemiennym aspekcie matczynym, z uwydatnionym brzuchem. Skąd figurka wzięła się w zamtuzie, nikt nie pamiętał. Ale chroniono ją i nader rzadko wydobywano ze schowka. Musiał być po temu naprawdę ważny powód.

Dzisiaj był.

Pampinea Monteforte zapaliła świeczkę i ustawiła ją przed figurką.

– Bogini – przemówiła cicho. – Spraw, by wiedźmin Preston Holt zaznał tam, w zaświatach, zasłużonego spokoju. Daj mu w zaświatach obfitość wszystkiego, czego w życiu miał chudo albo i wcale. A jeśli i czym pogrzeszył, wybacz mu i odpuść. Nie ma bezgrzesznych na tym świecie.

Zoë, Fervida i Hippolyta, dziewczęta z „Lorelei", stały obok z pochylonymi głowami. Zoë zbliżyła się nagle, postawiła przed figurką bogini drugą świeczkę.

– To… – odchrząknęła, widząc pytający wzrok Pampinei. – To dla tego drugiego wiedźmina… Tego młodego.

– Ale on – westchnęła Pampinea – chyba jeszcze żyje?

– Ale ja – szepnęła Zoë – tak na wyrost…

Wszystkie pochyliły głowy. Bogini patrzyła na nie złotymi oczami.

●

Do rozdroża Geralt dotarł przed wieczorem. Poznał owo rozdroże od razu, a pomógł mu w tym kruk. Tym razem nie cała ich chmara, lecz tylko jeden kruk. Kruk krążył nad rozdrożem i krakał.

Gdyby Geralt był bardziej doświadczony, względnie gdyby wsłuchał się uważniej i głębiej zastanowił, rozpoznałby może

w kruczym krakaniu ostrzeżenie. Zawróć, krakał kruk. Nie jedź na północ, tam czyha niebezpieczeństwo. Zawróć.

Ale dla Geralta krakanie było tylko krakaniem. Ostrzeżenia Geralt w nim nie wyczytał. Popędził Płotkę i ruszył.

Na północ.

Kruk krakał.

●

Leżący na poboczu człowiek miał głowę rozbitą ciosem maczugi lub buzdyganu, do tego biegnącą po obojczyku i piersi krwawą bruzdę, ślad cięcia mieczem.

Geralt podjechał bliżej, przyjrzał się z wysokości siodła.

Zabity, wyglądało, był traperem. Zepchnięta z drogi wyprzęgnięta telega wyładowana była sidłami, wnykami, potrzaskami i innymi parafernaliami traperskiego przemysłu. Zadziwiało, że na teledze spoczywało kilka pęków futer, i to tych drogich – bobrzych, lisich i kunich. Ktokolwiek zamordował trapera, w sposób oczywisty nie zrobił tego w celach rabunkowych.

Gdyby Geralt intensywniej ruszył głową, może i domyśliłby się, dlaczego zginął traper i co z jego dobytku potrzebne było mordercom. A gdyby się domyślił, uniknąłby wielkiego nieszczęścia.

Ale Geralt nie domyślił się. Popędził konia.

Na północ. W kierunku miejscowości Frankthal.

I świątyni bogini Melitele w Elsborgu.

●

Za miasteczkiem Frankthal, w dolinie o tej samej nazwie, bukowiny i dąbrowy przybrały już częściowo barwy jesienne, jaskrawo kontrastujące z ciemną zielenią sosen i jodeł. Dnem doliny

meandrował strumień, w jego szerokim zakolu widniał otoczony murem kompleks Elsborga, mieszczący świątynię bogini Melitele.

Kępa białopiennych brzóz, oddalona od świątyni mniej więcej o staje, skrywała ruiny dawnej farmy, kompletnie rozwalony murowany budyneczek i smętne resztki zabudowań drewnianych. Owo właśnie miejsce śledzona przez Geralta trójka jeźdźców wybrała na popas, a ponieważ zmierzchało, zapewne też na nocleg.

Geralt zatrzymał się w niewielkim oddaleniu, wśród bukowego lasu.

Nadszedł czas decyzji.

●

Jest ich troje, myślał Geralt, patrząc na ruiny, zza których migotliwie pobłyskiwały płomienie ogniska. Troje, a jednego Artamon nazywał mistrzem miecza. Dam aby radę?

Postanowił czekać do świtu. Nawet jeśli któreś z trojga czuwało i stróżowało, przed samym świtem każdego morzy senność. Największe szanse, pomyślał, da mi zaskoczenie.

Czekał. Długo.

Nad horyzontem pojawiła się cienka smużka jasności. Poświata brzasku.

Geralt wstał, dobył miecza.

●

Poruszał się bezszelestnie, mimo tego ich konie chyba go wyczuły, bo któryś pochrapał, tupnął. Ale to była jedyna reakcja.

Blask dogasającego ogniska oświetlał wyłom muru, dziurę ziejącą w zrujnowanej ścianie. Skierował tam kroki. Wszedł do wyłomu, ostrożnie omijając pokruszone cegły. Zrobił jeszcze jeden krok. I ten krok go zgubił.

Nadepnął na żelazo. Szczęki potrzasku zamknęły się i ucapiły go za łydkę, ostre zęby przebiły sztylpę. Ból zmusił go, by usiadł, rzucił miecz, oburącz chwycił szczęki, by je rozewrzeć. Nie zdołał, wbite żelazo trzymało zbyt mocno, sprężyna nie chciała ustąpić. W tym samym momencie ktoś wyskoczył z ukrycia, porwał za łańcuch pułapki i targnął nim, powlókł Geralta po ziemi. Geralt złożył palce w Znak, ale ktoś silnie kopnął go w łokieć, przeszkodził. Dwoje innych wypadło z ciemności, na wiedźmina sypnęły się ciosy okutych pałek. Dostał kilka razy w głowę. Dostał w ręce, którymi się zasłaniał, słyszał, jak chrupnęła kość. Dostał w palce, te od razu zrobiły się bezwładne. Ból zaćmił mu oczy.

Ktoś walnął pałką w szczęki potrzasku, wbijając stalowe zęby głębiej w łydkę, potęgując ból. I jeszcze jedno uderzenie, zęby sięgnęły kości. Geralt mimo woli zakrzyczał. Inna pałka walnęła go w obojczyk, inna w żebra, inna w kolano, inna znowu w ręce, w przetrącone palce. I w głowę. I znowu w głowę, bardzo mocno. W oczach rozbłysło, a potem świat rozpadł się w migotliwą mozaikę.

●

– Dość – powiedziała Meritxell. – Dość, bo go zabijecie. Jeśli już nie zabiliście! Dycha aby jeszcze?

– Dycha, dycha – zapewnił Cibor Ponti, zrywając wiedźminowi medalion z szyi. – Żywy jest.

– Potrzeba trochę krwi – ocenił Beauregard Frick. – Dla lepszego wrażenia.

– Rany głowy krwawią silnie – orzekł z miną znawcy Ponti.

– Dobrze wiedzieć. – Meritxell uklękła wiedźminowi na piersi i szeroko chlasnęła go nożem po czole, pod linią włosów. W samej rzeczy, krew natychmiast zatętniła z rany, wzebrała falą, zalewając twarz i szyję.

– Tak będzie dobrze? – Meritxell wstała.

– Idealnie – ocenił Frick. – Dalej, na muła z nim. Przywiążmy jakoś, żeby nie spadł.

– I pod furtę, pod furtę. Nim się całkiem rozjaśni.

●

– Nie upilnowaliście, niedołęgi, khe, khe. – Markiza Cervia Herrada Graffiacane rozkaszlała się, łupnęła laską o posadzkę, omal się wówczas nie przewracając.

– Dopuściliście, khe, khe – kasłała dalej – żeby mój Artamon zginął. To przez was, przez wasze niedołęstwo i brak rozumu po moim Artamonie została mi tylko ta urna…

Meritxell, Cibor Ponti i Beauregard Frick słuchali posłusznie. Żadne nie uniosło pochylonej głowy, by za wzrokiem markizy rzucić okiem na stojącą na kominie urnę z prochami czarodzieja Artamona z Asguth. Urna była z barwionej na czarno majoliki, a zdobił ją herb czarodzieja – trzy złote ptaszki na błękitnym polu, *d'azur a trois merlettes d'or*.

– Wierę – dyszała i pokasływała markiza – przepędzić by was należało… Niedołęgi wy, precz by was trzeba by pogonić… Ale teraz macie szansę winę zmazać… Wykazać się. Słuchać, co rozkażę!

Trójka skłoniła się jeszcze niżej. Markiza zamilkła, walnęła laską o posadzkę.

– Dziedzictwo Artamona – zamamlała bezębnymi ustami – musi zostać spłacone. Ta świątynia w Elsborgu i te wysługujące się wiedźminom kapłanki… Mój Artamon chciał, by wszystkie umarły złą śmiercią. I tak właśnie muszą umrzeć, od żelaza i ognia… I ten niedorosły wiedźmin razem z nimi… Tedy słuchać, co rozkażę…

●

– Odewrzyjcie furtę, świątobliwe panie – zajęczała Meritxell, brzmiąc iście tragicznie. – Rannego wiedźmina wieziemy, młodego

wiedźmina, poranionego strasznie! Pomocy trzeba!

– Wpuśćcież nas co żywiej! – Beauregard Frick, jak się okazywało, też mógłby robić karierę w teatrze. – Wiedźmin ledwo dycha, bez pomocy zemrze!

Malutkie okienko w furcie otwarło się, ktoś wyjrzał. Usadzony na mule trapera Geralt, zebrawszy wszystkie siły, chciał krzyknąć, ostrzec, ale trzymający go Cibor Ponti ściągnął mu arkan na szyi, zdławił głos.

– Otwórzcie, dobre panie – jęczała przesadnie Meritxell. – Wiedźmin krwawi strasznie!

Zawora furty zgrzytnęła i zachrobotała, szczęknęła zasuwa. Geralt, tracąc niemal przytomność, przetrąconymi palcami namacał w kieszonce pasa amulet, metalowy krążek wielkości koronówki. Zebrawszy resztkę sił, trzykrotnie nacisnął wypukłość, półszlachetny kamień, heliodor, zwany też berylem złotym.

Zazgrzytały zawiasy, odrzwia furty jęły otwierać się powoli. Meritxell i Frick sięgnęli do rękojeści mieczy.

Nagle usłyszeli głośne, owadzie jakby brzęczenie, szybko przechodzące w przenikliwe crescendo. Przed furtą świątyni pojawił się świetlisty owal, w nim zamajaczyła niewyraźna sylwetka. A chwilę potem z owalu wyłoniła się niewysoka kobieta w męskim stroju.

Vrai Natteravn momentalnie zorientowała się w sytuacji, zrozumiała, co się święci.

Z uniesionych rąk magiczki wytrysnęła ni to mgła, ni to poświata, wewnątrz której mrowił się rój maleńkich iskierek, niby robaczków-świetlików. Vrai wykrzyczała zaklęcie, a wówczas mgła owiała i spowiła wprzód pyski koni, potem zaś głowy jeźdźców.

Wszystkie trzy konie stanęły dęba, dwa strąciły jeźdźców na ziemię. Niosący Geralta muł wierzgnął natomiast potężnie i oboma tylnymi kopytami grzmotnął w słabiznę konia Beauregarda Fricka.

Frick utrzymał się w siodle, ale wrzeszczał już, szamotał się dziko, oburącz starając się odgonić od twarzy mgłę i świetliki, atakujące go zaciekle niby rozzłoszczone pszczoły. Wreszcie skapitulował, zawrócił szalejącego konia i z krzykiem pocwałował w ciemność. Oba konie bez jeźdźców pognały za nim, rżąc przenikliwie. Cibor Ponti i Meritxell, na ziemi, krzyczeli z przerażenia i bólu, bezładnie machając rękami i opędzając się od mgły i kąsających im twarze i uszy iskierek. Wreszcie obydwoje rzucili się do pieszej ucieczki, a pędzili tak chyżo, że niemal doścignęli galopujące za Frickiem wierzchowce.

Pomijając wierzgnięcie, niosący Geralta traperski muł zachował spokój. Mimo tego Geralt obwisł i byłby spadł, ale Vrai Natteravn doskoczyła i w porę go podtrzymała, donośnym krzykiem wzywając pomocy. Furta świątyni otwarła się, zjawiły się kapłanki.

Ale Geralt już tego nie widział. Odpłynął dokądś, dokądś bardzo daleko.

Jest czas rodzenia i czas umierania,
czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono,
czas zabijania i czas leczenia.

Księga Koheleta 3;2

Rozdział dziewiętnasty

Budził się w ciemności i bez ruchu. Z gardłem boleśnie suchym i spuchniętym.

I budził się w bólu. Ból przeszywał go jak grot, rwącymi, pulsującymi spazmami, promieniując od nogi do kręgosłupa, do czaszki, do oczu.

Niekiedy był przytomny. Niekiedy nie był, ale wówczas śnił, że jest.

Niekiedy wydawało mu się, że umarł. Potem nagle zmartwychwstawał i myślał, że zaraz umrze. Albo że jeśli nie zaraz, to już jutro. Potem wracał ból, a on pragnął, by tak właśnie było. By ból ustał, choćby przez śmierć. By już jutro. Już jutro.

A potem przychodziło jutro i wszystko zaczynało się od nowa.

●

Z tamtego poranka niewiele pamiętał.

Ktoś głośno jęczał, zachłystywał się jękiem. Trochę potrwało, nim pojął, że to on jęczy. Wokół był ruch, wyczuwał to, w oczach migały cienie, migało rozedrgane falujące światło, czuł swąd świec i wosku, tłumiony przez ostrą woń leków i eliksirów. I zapach perfumowanych mydełek.

Pod plecami czuł bolesną twardość stołu, na którym leżał. Potem twardość ta znikała znienacka, a on odpływał w głębinę, pogrążał się, tonął. Tonął kojąco, bo ból wówczas ustawał. Na chwilę.

Dookoła było falujące światło. I głosy. Głosy niewyraźne, zniekształcone pogłosem, echem jak spod wody – albo znad wody, jak gdyby to on był pod wodą.

●

– Niech wszyscy wyjdą, za duży tu ścisk! Niech zostanie tylko ktoś, kto zna się na leczeniu!

– To chyba będę ja.

– Świetnie. Pozostałe panie proszę o wyjście, nic tu po was.

– Chodźcie, dziewczęta, pomodlimy się.

– Dobrze, matko.

●

– Ależ go zmasakrowali… I to ludzie byli, nie potwory.

– Bo ten młody wiedźmin, miast zwalczać monstra, wciąż zadziera z ludźmi. Raz on ich, raz oni jego… Nieważne zresztą.

– Daj ręce, dezynfekujemy. Co to jest, spirytus? Odlej trochę do szklaneczki.

– Krwotoków nie ma…

– Chyba że wewnętrzne, zbadamy to później. Obmacaj mu głowę. Nie wyczuwasz żadnych zagłębień? Całe szczęście, głowa mocno obita, ale czaszka chyba nie jest pęknięta. Tylko skąd te drgawki?

– Spójrz na jego oczy. Źrenice są rozjechane…

– Lód! Potrzebny jest lód, dużo lodu… Stój! Nie ma czasu. Daj tu ten kubeł, zamienię wodę w lód zaklęciem.

●

– Nie wyczuwam tętna! Psiakrew, nie wyczuwam tętna!

– Wsłuchaj się bardziej. To wiedźmin. Dwadzieścia uderzeń na minutę normalnie, dziesięć do piętnastu po eliksirach.

●

– Rana na czole jest głęboka, trzeba zszyć. Ja przemyję i znieczulę, ty zszyjesz. Umiesz?

– Jasne, że umiem.

●

– Zajmijmy się ręką. Kość łokciowa jest cała. Kość promieniowa złamana, doszło do przemieszczenia. Muszę nastawić. Pomóż mi… Dobrze to robisz. Masz wprawę. Robiłaś to już kiedyś?

– Robiłam, droga mistrzyni, robiłam. Nie raz.

– Co z nim?

– Zemdlał. Z bólu.

– Nie zdążyłam znieczulić… No, ale zrobione. Teraz rękę trzeba unieruchomić. Szyny i bandaże znajdą się tu?

– Znajdą. To jest infirmeria. Mamy tu wszystko.

●

– Palce i dłonie okropnie potłuczone, puchną w oczach. Ale chyba nie połamane… Nadgarstki też całe… Ale opatrzyć trzeba. Opatrunek, proszę.

●

– Co z jego nogą? Skąd taka rana? To ukąszenie?

– Tak, ale przez żelazo. Żelazne zęby, z obu stron łydki. Widziałam już takie obrażenia. To był potrzask na wilki. Kość piszczelowa jest cała…

– Ale kość strzałkowa złamana. Opuchlizna rośnie szybko…

– Złamany trzon kości. Wręcz skruszony… Nie wiem, czy uniknie się amputacji…

– Nawet nie myśl o tym! Użyj magii. I tego eliksiru.

– Co to jest?

– Nie pytaj, tylko użyj.

– Jak pani kapłanka sobie życzy. Teraz postaram się spoić kość, powiązać naczynia i zaleczyć tkankę mięśniową. Chwilowo nie przeszkadzaj mi, muszę się skupić, to trudne zaklęcie…

– Krew cieknie ci z nosa…

– Obetrzyj, proszę. Muszę mieć wolne ręce.

●

– No, co można było zrobić, zrobiłyśmy. Resztę pokaże czas. Ale jestem dobrej myśli. Organizm młody, do tego wiedźmin. A opiekę znajdzie tu u was pierwszorzędną, przekonałam się… Bo dobrze nam poszło, szanowna kapłanko. Dobrze nam poszło. Daj tu ten spirytus.

– Nazywam się Nenneke.

– Miło mi. A ja jestem Vrai Natteravn. Uzdrowicielka.

– Pierwszorzędna uzdrowicielka, dodam od siebie. Mistrzyni zaprawdę.

– Miałam pierwszorzędną pomocnicę. Zostanę tu, jeśli pozwolicie, jeszcze kilka dni. Zobaczymy, co będzie, gdy opuchlizna zejdzie.

– Jesteś mile widziana. Wiedźmina, jak domniemywam, znasz dobrze?

– Poznałam go, zarobił u mnie, że się tak wyrażę, na dług wdzięczności. Jest okazja spłacić. Wolałabym, by do tego nie doszło, ale cóż, doszło. Obawiałam się tego. Ten wiedźmin przyciąga kłopoty niczym magnes.

– Nic dodać, nic ująć.

– Nenneke?

– Słucham.

– To, czego użyłaś… Ten odwar… Naparstnica, czarny bez, konwalia, coś tam jeszcze? Co to było?

– Wiedźmiński eliksir. Nazywa się Czarna Mewa.

– Wy go wytwarzacie? Tu, w świątyni?

– Owszem. Po naszej wspólnej medycznej przygodzie lubię cię, Vrai. Ale i tak nie dam ci receptury.

●

Niekiedy wydawało mu się, że umarł. A potem ból przywracał go życiu.

A potem przychodziło jutro i wszystko zaczynało się od nowa.

...nie wszystko jeszcze stracone;
wola nieskruszona, wieczna nienawiść,
myśl o zemście, także
Śmiałość, co każe, by się nie poddawać nigdy
i nigdy nie korzyć, na koniec
nie dać się deptać.

John Milton, *Raj utracony*,
przełożył Maciej Słomczyński

Rozdział dwudziesty

W powietrzu czuło się śnieg. Wiedźmin odetchnął głęboko, wciągnął powietrze. Wrażenie było takie, jakby dostał nożem w płuco.

Wciąż zimno, pomyślał. Marzec, śniegi tają, ale wciąż zimno.

Owinął się grubym płaszczem, z początku jedynym męskim odzieniem, jakim dysponowała świątynia. Niewiadomego pochodzenia płaszcz odnalazł się w zakamarku piwnicy. Nie był w najlepszym stanie. Wyglądał, jakby przez kilka lat służył jako plandeka na wóz z węglem, a przez kilka lat kolejnych jako wyściółka psiej budy. Ale dał się wyczyścić, nieźle pasował i nieźle chronił przed chłodem.

Z jego własnej odzieży nie ocalało praktycznie nic. Niemal wszystko, w tym jego piękną nabijaną srebrem kurtkę, jak i skórzane sztylpy, trzeba było ciąć nożycami, wówczas, we wrześniu roku ubiegłego, gdy w kiepskim stanie trafił na świątynny lekarski stół. Trochę potrwało, nim kapłanki skompletowały mu

jakieś buty i odzienie, dokonując zakupów w miasteczku. Kilka umiało obchodzić się z igłą i dopasowały to, co nie pasowało. Miały na to dużo czasu. Wiedźmin zdołał zwlec się z łoża dopiero w połowie grudnia. A później były długie tygodnie ozdrawiania i usprawniania.

Z tamtego września, jak i z tygodni późniejszych, pewnych rzeczy nie chciał pamiętać, pragnął wyprzeć je z pamięci. Ból, upokarzające unieruchomienie w szynach, łubkach i opatrunkach, sprawiające, że nie był w stanie wykonać samodzielnie najprostszych czynności. Poczynając od tych najzwyklejszych, jak karmienie łyżką i pojenie przez rurkę, po te mniej zwykłe, a jeszcze bardziej upokarzające, gdy Nenneke lub któraś z kapłanek ujmowała go za członek, by właściwie skierować organ do szklanego naczynia z szyjką. Nie chciał pamiętać przebudzeń z suchymi jak tektura wargami, językiem jak sosnowy kołek i śliną jak tężejący klej stolarski. Nie chciał pamiętać agonii przewracania z pozycji na wznak na brzuch celem leczenia odleżyn.

Później często wychodził na zewnątrz, nie tylko celem ćwiczeń usprawniających. Nie chciał i nie mógł bez odrazy patrzeć na łoże, w którym spędził trzynaście tygodni, najpaskudniejszych tygodni swego życia.

Stopniała okiść kapała z gałęzi.

Gdy podszedł do stajni, Płotka jak zwykle powitała go głośnym parsknięciem. Geralt poklepał klacz po szyi, po drgających pod skórą mięśniach. Odzyskał konia tydzień po tamtym wypadku, w wigilię jesiennego Ekwinokcjum. Trójka zbójów po prawdzie uprowadziła klacz wraz z całym Geraltowym dobytkiem, lecz po tygodniu kasztanka zjawiła się nagle pod furtą świątyni, bez siodła i reszty rzędu, tylko z urwanym kantarem z powroza. Wiedźmin, przykuty wówczas do łoża boleści, dowiedział się o tym dużo później, gdy Płotka stała już w świątynnej stajni i pożywiała się

świątynnym owsem. Jakie były losy klaczy, co przeszła i jakim cudem trafiła z powrotem pod furtę, nie sposób było dociec.

Radość z odzyskania Płotki mocno złagodziła żal Geralta z tytułu utraty mieczy i medalionu, jak i rzędu konia wraz z jukami, a w tych zwłaszcza jego wiedźmińskich eliksirów. Kapłanki obiecały odtworzyć w świątynnej pracowni całość szkatułki wiedźmina, wszystkich eliksirów co do jednego. Trudziły się nad tym miesiąc cały, ale, jak zapewniały, sukces uwieńczył trud. Geralt nie miał powodu nie wierzyć.

Utrata mieczy i medalionu była bolesna.

Alejką wśród bezlistnych drzew poszedł w stronę mydlarni. Kilka adeptek pracowało tam przy kadziach, niosły się zapachy rumianku, rozmarynu, konwalii i innych wonnych mydlanych ingrediencji, których wiedźmin zidentyfikować nie potrafił. Adeptki przy pracy gwarzyły wesoło, śmiały się. Atmosfera w świątyni, dało się to miarkować, była pogodna. Nie bez przyczyny. Nakaz eksmisji, nałożony na świątynię przez władze lokalne, został bezterminowo odroczony. Według oficjalnej wersji władze wzięły pod uwagę pogarszający się stan zdrowia matki Assumpty z Rivii. Według nieoficjalnej był to skutek interwencji margrabiego Marchii Górnej, przekazanej władzom lokalnym przez komendantkę służby ochrony Marchii, Elenę Fiachrę de Mersault. Komendantka de Mersault przepędziła również sprzed świątyni obywatelskie pikiety i, jak wieść niosła, surowo zabroniła władzom organizowania ich w przyszłości. Odwiedziła świątynię, wywiedziała się o rekonwalescencję Geralta, życzyła zdrowia matce Assumpcie i chętnie przyjęła prezent w postaci skrzynki firmowych mydełek.

Usłyszał za plecami chrząknięcie. Odwrócił się. Kapłanka Nenneke miała zwyczajny sobie surowy bardzo wyraz twarzy, przystający bardziej komuś znacznie starszemu niż jej niecałe

trzydzieści lat. Geralt miał wystarczająco wiele czasu, by do tego przywyknąć.

– Zimno, co?

– Ociepla się.

– Ale pomału. Wejdźmy do środka. Mam ci coś do opowiedzenia.

– Ociepla się pomału – zaczęła, ledwo weszli. – Śnieg niemal całkiem stopniał. Drogi są przejezdne. Skorzystałam i wybrałam się do Spynham. Zgadniesz, dokąd?

Geralt zgadł, ale milczał.

– Pani Pampinea Monteforte – kontynuowała kapłanka, pozwalając sobie na leciutki uśmieszek – wspomina cię mile, powiedziałabym, że ma cię we wdzięcznej pamięci. Czymżeś to sobie na taką wdzięczność zasłużył, co? Ho, ho, Geralcie, młode panienki z „Lorelei" to jedno, ale żeby zaskarbić sobie, hmm... Sympatię samej szefowej, osoby o idącym w lata doświadczeniu, no, no.

Geralt nie zareagował, przez skórę czując prowokację i podstęp. Nie wierzył, by Nenneke dowiedziała się prawdy. Pani Pampinea bardzo nalegała na dyskrecję, wymogła na wiedźminie przyrzeczenie, że o ich miłej tajemnej przygodzie nie piśnie nikomu słowa.

Nenneke zrobiła jeszcze kilka min osoby doskonale poinformowanej, ale taktownej, takiej, co to wie, ale nie powie. Geraltowi nawet powieka nie drgnęła.

– A na dokładkę – kapłanka nie dawała za wygraną – mistrzyni Vrai Natteravn, spiesząca ci na pomoc na skrzydłach magii i ratująca cię swym medycznym kunsztem. Jej również jakoś tam się kiedyś zasłużyłeś, jak mniemam. Na przyszłość dobra rada, chłopcze. Trzymaj się z daleka od czarodziejek. Im dalej, tym lepiej, wierz mi.

Geralt i tym razem ani mrugnął. Nenneke była wyraźnie zawiedziona.

– Wróćmy jednak do Spynham i domu uciech „Lorelei" – podjęła. – Odwiedziłam przybytek nie bez powodu. Takie miejsce to przebogate źródło informacji. W damskim towarzystwie panowie bywają wielce rozmowni, wielu chełpi się w alkowie znajomością sekretów, by podkreślić swą ważność i status. Tak tedy, gdy chcesz dowiedzieć się o sprawach, o których szepcze się w kuluarach, pędź do najbliższego bordelu. Chcesz posłuchać, czego się tam dowiedziałam?

– Chcę.

– Pytałam, jak się pewnie domyślasz, o markizę Cervię Herradę Graffiacane, osobę, która według twoich podejrzeń stała za zamachem na ciebie i planowanym atakiem na świątynię. Cofnąć się otóż musimy o lat sześćdziesiąt z dużym hakiem, do późnych lat panowania króla Dagreada. Markiza – wówczas nie będąca jeszcze markizą, ale wyłącznie jakąś tam panną Cervią – wdała się w romans z Artamonem z Asguth, możnym czarodziejem z akademii w Ban Ard. Ona miała wówczas lat siedemnaście, ile liczył sobie on, nikt nie wiedział. Kilka lat później Cervia wyszła za starego markiza de Graffiacane, ale związku z Artamonem nie zerwała, spotykała się z nim nadal. Potem markiz zmarł, a markiza-wdowa urodziła dziecko. Oficjalnie pogrobowca, legalnego syna i dziedzica markiza z tytułem hrabiego. Ale powszechnie wiedziano, że to był bękart spłodzony przez Artamona.

– Czarodziej? Spłodził syna?

– To wcale nie tak rzadkie, jak się mniema. Fakt, że nieczęste. Stąd plotki, jakoby ciąża markizy była rezultatem przeprowadzonych przez Artamona magicznych eksperymentów.

– Młody hrabia był oczkiem w głowie markizy-wdowy i pupilkiem czarodzieja. I jak zwykle bywa w takich przypadkach,

wyrósł na łobuza i nicponia, któremu wszystko było wolno i wszystkie sprawki uchodziły płazem. A sprawek było niemało. Młokos z upodobaniem wszczynał awantury, wdawał się w rozróby i bijatyki. Władze patrzyły przez palce, nikt nie ryzykował narażania się bywałej na królewskim dworze markizie i możnemu czarodziejowi.

– Domniemywam, że to skończyło się źle.

– Nawet bardzo. Razu pewnego hrabia z dwójką swych kompanów wszczął burdę w tawernie na podgrodziu Ard Carraigh. Obecny tam gość, człowiek podobno dość wiekowy, ostro upomniał i skarcił młodzików. Ci niby usłuchali, opuścili lokal. Ale gdy gość wychodził, napadli nań z zamiarem pobicia. Źle trafili. Typ, wyszło, choć stary, znał się na rzeczy. Mocno dołożył wszystkim trzem. Kompani uciekli, trzymając się za krwawiące nosy, hrabia zaś rzucił się na typa z nożem i zranił go. Typ, jak się okazało, do tej pory był powściągliwy. Dopiero zraniony pokazał, co potrafi. Spuścił hrabiemu straszliwy łomot, sprał go i skopał. Z fatalnym skutkiem. Nie pomogli medycy ani magia. Młody hrabia zmarł, nie odzyskawszy przytomności.

– A typ?

– Wszelki ślad po nim przepadł. A szukano go wszędzie i długo, bo markiza szalała z wściekłości i wykorzystywała wpływy na prawo i lewo. Artamon podobnie. I wówczas ktoś rozpuścił plotkę, że tym typem był wiedźmin. Był czy nie był, nikt nie wiedział, ale markiza i czarodziej rozpętali nagonkę. Przedłożyli nawet królowi petycję o uznanie wszystkich wiedźminów za zbrodniarzy i wyjęcie ich spod prawa. Król – panował już wówczas syn Dagreada, Eoin – rzecz jasna odmówił. Primo, nie było dowodów, że zabójcą był faktycznie wiedźmin. Secundo, nie wolno stosować zbiorowej odpowiedzialności. Tertio, w granicznych marchiach potwory dokuczały osadnikom i wiedźmini byli potrzebni.

– Ale markiza i Artamon nie odpuścili, nadal obwiniali wiedźminów o śmierć synalka, tajnie szerzyli o nich oszczercze plotki. A kilka lat później czarodziej napisał i anonimowo wydał drukiem swoje opus magnum – *Monstrum albo wiedźmina opisanie*. Z wiadomym ci skutkiem. Do tego prawie pewne jest, że to Artamon i markiza sfinansowali atak na Kaer Morhen. I uzbroili motłoch.

– Skutki, jakie są – westchnęła kapłanka – każdy widzi. Preston Holt dowiedział się o Artamonie, prawdopodobnie od któregoś z owych poprzednich trzech, których zabił. Artamon pożegnał się z życiem, nieutulona w żalu markiza zaplanowała zemstę. Holt skończył na szafocie, ale miało się oberwać też i tobie, i naszej świątyni. Starucha sprytnie to zrobiła, bo żadnych dowodów nie ma. To, żeś podczas egzekucji Holta widział jednego z tych zbójów w jej orszaku, to za mało.

– Dla mnie – wycedził Geralt – wystarczy.

– Nie podoba mi się – zmarszczyła się Nenneke. – Nie podoba mi się to, co mówisz, chłopcze. Zemsta to radość dla umysłów miałkich i prymitywnych. Nie zapominaj o tym.

– Trudno zapomnieć. Wszystko ciągle mnie jeszcze boli.

– Jesteś ozdrowieńcem. Nie całkiem jeszcze sprawnym. Mówiłam, że to jeszcze nie czas, by kończyć leczenie.

– Czas. Najwyższy. Odjadę jutro. Chciałbym jednak wcześniej… Czy matka Assumpta nadal słabuje?

– Niestety nadal. – Twarz Nenneke znów nagle zrobiła się surowa. – I niestety nadal nie widać poprawy. I niestety względem innych spraw nic się nie zmieniło. Matka Assumpta nadal nie chce cię widzieć.

Milczał długo.

– Nadal… – spytał wreszcie. – Nadal nie rzekła, dlaczego?

– Nie zdradziła przyczyny. – Kapłanka przeszyła go wzrokiem. – Ale zanim zachorowała, gdyś ty leżał mało przytomny, kilka razy

modliła się i była w transie. A ona w transie widzi różne rzeczy. Co zobaczyła, nie wiem i wiedzieć nie chcę. Bardzo nie chcę. Ty, głowę stawię, nie chcesz tego równie bardzo. Ograniczmy się tedy do faktów. Matka Assumpta nie chce cię widzieć. I tyle. Niechaj ci wystarczy to, co prosiła, by ci przekazać. Kilka słów. Które, radzę, weź sobie do serca.

– Co to za słowa?

– Jesteś na rozdrożu, Geralcie.

Na rozdrożu, pomyślał wiedźmin. Na rozdrożu kruków.

– Odjeżdżam jutro – powiedział sucho.

– Twoja wola – odrzekła równie sucho. – Nie będę cię zatrzymywać

●

Nazajutrz, wczesnym rankiem, Nenneke odprowadziła go do samej furty.

– Mam – przerwała długie milczenie – dla ciebie podarek.

– Co to jest?

– Opaska. Na włosy. I celem ukrycia tej brzydkiej blizny na czole. Taka blizna rzuca się w oczy, jakby co, każdy ją zapamięta. A ty, coś mi się widzi, wolałbyś nie zapisywać się w niczyjej pamięci. Noś więc opaskę.

– Dziękuję.

– Może nie powinnam pytać – spojrzała mu w oczy – ale spytam. Dokądże to cię teraz bogi powiodą?

– Najpierw... – Geralt nie spieszył się ze zdradzaniem ani kierunku, ani celu. – Najpierw muszę zajrzeć do Belvoir...

– Nie jesteś na bieżąco. – Nenneke, jak zwykle, trafnie odgadywała. – Timur Voronoff wyprowadził się z Belvoir. Z całą rodziną. Mieszka teraz w byłej posiadłości Holta, którą wykupił.

Geralt zdziwił się, ale zarazem uradował. Nie musiał nadkładać drogi przez Marchię Zachodnią, Rocamorę miał na szlaku.

– Dzięki za wszystko. Podziękuj ode mnie matce Assumpcie i wszystkim pozostałym. I pożegnaj je.

– Pozwolisz słowo na odjezdnym?

– Oczywiście. – Wskoczył na siodło. – Oczywiście, Nenneke.

– Zemsta – powiedziała, otwierając furtę – to radość tylko dla umysłów miałkich i prymitywnych.

– Wiem.

– Zemsta postawi cię poza prawem.

– Wiem.

– Jedź więc i…

– Tak?

– I pozabijaj tych skurwysynów.

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny; błądził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony począł rozpaczać, gdy nagle w postaci ludzkiej zły duch mu się pokazał. „Nie smućcie się, człowieku! – wyrzekł do kupca -- ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czym ty nie wiesz, moją zostanie własnością".

Lucjan Siemieński, *Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie*

Rozdział dwudziesty pierwszy

W bramie wjezdnej Rocamory powitał Geralta znany mu wielki drab w kabacie uszytym z bardzo wielu skór króliczych, jakiś czas temu odźwierny w Belvoir. Ów zajął się koniem wiedźmina, rzucił okiem nad jego bark, zdziwił się wyraźnie, nie zobaczywszy rękojeści mieczy. Przekazał wodze podbiegającemu stajennemu, chłopaczkowi lat na oko dziesięciu.

Na majdanie hałaśliwie bawiła się trójka dzieci, zajęta puszczaniem łódeczek z kory po ogromnej kałuży, ewidentnie pozostałości roztopów. Towarzyszył im pręgowaty kot. Kot pierwszy zoczył wiedźmina, zamiauczał i uciekł. Dzieciaki uniosły głowy. Najmłodsze zaczęło beczeć.

Z drzwi głównego domu wypadła jasnowłosa niewiasta, głośno wzywała dzieci. Doskoczyła do nich, najmłodsze porwała pod pachę, starsze chwyciła za rączkę, najstarsze popędzała krzykiem, mknęła z powrotem do domu, o mało nie przewracając się,

potknąwszy o spódnicę. Wciąż krzycząc, dopadła drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

Po chwili drzwi otwarły się i wyszedł z nich Timur Voronoff. Nie nosił swego haftowanego kaftana ze szmuklerskimi guzikami, lecz prostą, szarą, wełnianą kamizelę.

– Witaj, wiedźminie. Przyjemność widzieć cię w zdrowiu.

– Coś się stało? – Geralt ruchem głowy wskazał drzwi. – To przeze mnie? Zrobiłem coś nie tak?

– Nie, nic – skrzywił się Voronoff. – Ale trudno się walczy z uprzedzeniami... Zwłaszcza zakorzenionymi. Przesąd taki krąży. Że niby wiedźmini porywają dzieci. Albo że zjawiają się nagle jak po swoje i żądają oddania, bo ojciec niebacznie złożył obietnicę... Oddasz mi to, co już masz, a o czym nie wiesz. Niespodzianka, rozumiesz? Znasz wszakże te legendy?

– Coś tam słyszałem.

– Ja też – parsknął agent – coś tam słyszałem. Uśmiejesz się, ale o tym, że najmłodszy z mojej trójki jest w drodze, dowiedziałem się po powrocie z długiej podróży, całkiem niespodzianie. Był tym, o czym nie wiedziałem i tak dalej. Niczego nikomu jednak nie obiecywałem, żadnemu wiedźminowi. Ale wytłumacz to kobiecie. Tak więc posłużmy się lepiej wejściem dla służby, by oszczędzić żonie mocnych wrażeń.

Za czasów Holta w czeladnej zawsze był ktoś z personelu. Teraz nie było nikogo. I bałagan był większy niźli dawniej. Geralt siadł na wskazanej ławie, Voronoff wyszedł. Wrócił rychło, z podłużnym pakunkiem pod pachą.

– Miecze Holta – oznajmił krótko. – A to jego medalion. Chciał, by wszystko to trafiło do Kaer Morhen.

Geralt rozwinął pakunek. Ujął srebrny miecz z piękną okrągłą głowicą. Obnażył klingę. Zajaśniała nawet w półmroku czeladnej.

Oglądał już kiedyś ten miecz. Znał wytrawione na brzeszczocie znaki runiczne i ich znaczenie.

Dubhenn haern am glândeal,
morc'h am fhean aiesin.

Mój błysk przebije ciemności,
moja jasność mroki rozproszy.

Medalion Holta przedstawiał głowę żmii z wielkimi zębami jadowymi.

– To – Geralt oddał agentowi medalion – zachowaj i przechowaj. Na razie. Miecze wezmę. Są mi potrzebne.

– Holt życzył sobie…

– Wiem, czego sobie życzył. Z jego własnych ust. Spełnię to życzenie. Gdy czas przyjdzie. Holt zostawił coś jeszcze?

– List. Dla ciebie.

List zapieczętowany był lakiem z odciśniętą głową żmii z Holtowego medalionu. Geralt schował kopertę za pazuchę.

Voronoff kaszlnął, wyjął z kieszeni chusteczkę, otarł nią usta.

– Doszły mnie wieści – powiedział – o tym, co cię spotkało w wigilię Ekwinokcjum. A ponieważ zjawiasz się u mnie aż po sześciu miesiącach, wnoszę, że skutki były poważne. Wyraz twojej twarzy upewnia mnie zaś, że wiem, po co ci miecze Holta. Zajmie cię zatem, że markiza-wdowa de Graffiacane zwolniła ze służby trzy wiadome ci osoby, które wcześniej chroniła w swym palazzo, jako powód podając ich bandyckie wyczyny, o których ona, markiza, nic jakoby nie wiedziała. Zwolnioną trójką natychmiast zainteresował się prefekt da Cunha, trójka zaś, uprzedzona widocznie, czmychnęła, gdzie pieprz rośnie, śladu nie zostawiając. Odnalezienie ich nie będzie łatwe, jeśli w ogóle możliwe.

– Dla chcącego – skrzywił się Geralt – nie ma nic trudnego.

– Owszem. W ludowych przysłowiach.

– Kobietę zwą Meritxell. A pozostałych dwu?

– Cibor Ponti i Beauregard Frick. Ponti to ten ze złamanym nosem. Frick, co może cię zainteresować, dał się poznać jako mistrz miecza.

– Jakieś inne wskazówki?

– Podejrzewam – Voronoff otarł usta chusteczką – że się rozdzielili. I że uciekli z Kaedwen. Będą jednak szukać źródła zarobku, pewnie każde na własną rękę. Istnieją miejsca, w których im podobni poszukują zatrudnienia. Zainteresowałbym się takimi miejscami. Środkami jakimiś dysponujesz?

– W rozumieniu pieniędzmi? Nie bardzo.

– Dam ci pięćdziesiąt marek gotówką i tysiąc dwieście w czekach podróżnych. Tyle winien jestem Holtowi po pokryciu kosztów, o których pokrycie prosił. Głównie szło o rekompensatę dla dawnego personelu Rocamory. Nawiasem, posiadłość już nie nazywa się Rocamora. Teraz to jest Słoneczna Dolinka.

– Ładnie całkiem. Teraz, gdy nie ma Holta, czym się zajmujesz, jeśli wolno spytać?

– Spytać zawsze wolno. Param się przedstawicielstwem handlowym. Ale jeśli pojawi się ktoś nowy, z Kaer Morhen, chętnie podejmę się też wiedźmińskiej agentury. Ciebie też to dotyczy, jeślibyś sobie życzył.

– Chwilowo nie będę sobie życzył. Żegnaj, Voronoff. Dzięki za wszystko.

●

List Holta napisany był na papierze wysokiej jakości, miłym w dotyku, pismo było wyraźne, niczym drukowane, inkaust nie wsiąkł i nie rozlał się w żadnym miejscu.

Geralcie,

jeśli czytasz ten list, to mnie nie ma już wśród żywych. Muszę więc przyznać Ci się do winy – a raczej win. Nie potrafiłem tego uczynić, patrząc Ci w oczy, łatwiej mi przyjdzie za pomocą atramentu.

Ja, mój młody wiedźminie, od dawna wiedziałem, kto był autorem Monstrum..., w czyim herbie widnieją ptaszki-martlety i kto wpisał dedykację na egzemplarzu zabitego przeze mnie wachmistrza Marguliesa. Wiedziałem, że to Artamon z Asguth. I zamierzałem go zabić. Ale że postępująca choroba utrudniała – czy wręcz uniemożliwiała – mi zadanie, postanowiłem znaleźć innego wykonawcę.

Tak, dobrze się domyślasz. Do naszego spotkania w Neuhold nie doszło przypadkiem i nie bez ukrytego celu wyciągnąłem Cię tam z opresji. Nie bez przyczyny i skrytego zamiaru złożyłem Ci propozycję na rozdrożu kruków. Nie bez powodu wyuczyłem Cię sposobów zabijania gołymi rękami. I nie przypadkiem wpadła w Twoje ręce tamta zadedykowana broszura.

Ale w końcu ogarnęły mnie wątpliwości. Rzecz kowala to kowadło i młot, pamiętasz? Rzecz wiedźmina to zabijać potwory. A karanie za przestępstwa to rzecz starosty i sądów. Wiosną, mówmy wprost, wypędziłem Cię z Rocamory. Pamiętam wyraz Twoich oczu. A ja myślałem wtedy tylko o jednym. O tym, że Cię ratuję. Ocalam. Przed zostaniem zabójcą, takim samym jak ja.

Ale okazało się, że przeznaczenia nie da się oszukać.

To nie Ty zabiłeś czarodzieja. I nie Ty powinieneś ponieść za to karę.

Żałuję.

Żegnaj,

Preston Holt

Geralt odwrócił kartę. Na rewersie widniało kilka rysunków, długo im się przypatrywał, początkowo nie mogąc dociec, co przedstawiały. Wreszcie zrozumiał. Nakreślone kilkoma kreskami sylwetki przedstawiały uzbrojonych w miecze szermierzy. W figurach i pozach fint i cięć. Jedna sylwetka, poznał, przedstawiała szermierza w passo largo, druga w paradzie porta di ferro. Pozostałe wymagały uważniejszego rozpoznania. Był na to czas.

Popędził Płotkę na szlak. Jak zwykle, klacz świetnie dawała sobą powodować, wystarczył jej wyłącznie lekki ucisk kolana i delikatne dotknięcie szyi rzemieniem wodzy.

Niebo na północy ciemniało.

Ale on zmierzał na południe.

●

Główna brama miejska Ard Carraigh otwarta była na oścież, nikt jej nie pilnował. Geralt wjechał, pochylając głowę pod żelazną broną.

Od strony rynku słychać było gwar, muzykę, a właściwie głównie rytmiczny łomot bębna. Z uliczki wypadł nagle roześmiany i rozśpiewany korowód. Ostatni w korowodzie, typ w komicznej trójrożnej czapce, oddzielił się, stanął pod murem i zaczął sikać.

Geralt czekał, aż skończy.

– A cóż to się u was wyprawia? – spytał wreszcie. – Uroczystość jakaś?

– Nie wiecie? – Typ w czapce podskoczył kilkakrotnie, zapiął portki i odwrócił się. – Nie wiecie? Toście, moiściewy, pewnikiem skądsiś z daleka? Z obcych krajów?

– Z obcych, prawda. I z daleka.

– Inaczej nie może być, inaczej wiedzielibyście, że to w samym dziele uroczystość i święto wielkie, dla stolicy całej, ba, dla królestwa! Zaślubiny mamy, moiściewy, zaślubiny, a nie byle jakie!

Dwa słynne a zwaśnione niegdyś rody się godzą, Vaikinenowie z Finneganami! Junosza Redfern, syn hrabiego Gordona Finnegana, staje oto dziś na ślubnym kobiercu z piękną panną Ludmillą, córą Siriusa Vaikinena, Pojeziernej Marchii margrafa!

– A to ci nowina.

– Nowina, nowina, a i święto wielkie! Cała stolica się bawi, mnóstwo szlachty zjechało, tańce i hulanki wszędy, miód i piwo strumieniem płynie, jegomość pan piwowar Grohot sto antałków na rynku postawić kazał!

– Piwowar Grohot.

– Nie inaczej! Bo trza ci wiedzieć, mości cudzoziemcze, że syn piwowara, młody pan Primian, wielce się do szczęścia młodych przysłużył!

– Przysłużył się.

– Jako żywo przysłużył! To i drużbą państwa młodych został! Pójdźcie z nami na rynek, obaczycie…

– Pójdę, wnet pójdę. A na razie wskażcie mi drogę, proszę…

– Rad będę! Dokąd?

– Do palazzo Graffiacane.

●

Markiza-wdowa Cervia Herrada Graffiacane odprawiła pokojówki, resztę conocnego rytuału zwykła wykonywać samodzielnie.

Zapaliła lampkę oliwną na stojącym przy łóżku postumencie. Światło było konieczne, w ciemnościach alkierza mogłaby mieć trudności z odnalezieniem nocnika, a z nocnika musiała w nocy korzystać, i to razy kilka.

Przed lustrem przeczesała grzebieniem resztki włosów. Z nocnego stolika wydobyła kryształową karafeczkę i pociągnęła z niej solidny łyk. Uśmiechnęła się przy tym do wspomnień. Wypełniający karafeczkę szmaragdowej barwy płyn był specyfikiem

nasennym, wydestylowanym przez czarodziejów z Ban Ard z jednego z wiedźmińskich eliksirów, zdobytych w wigilię Ekwinokcjum ubiegłego roku przez najemników markizy. Specyfik usypiał świetnie, może również przez to, że czarodzieje suto zaprawili go krzepkim alkoholem.

Markiza położyła się do łoża. Dopiero teraz, co również należało do rytuału, zdjęła z szyi diamentową kolię i powiesiła ją na służącym do tego celu stojaczku, obok licznych innych kolii, wisiorków i naszyjników. Wśród owych, na honorowym miejscu, wisiał medalion przedstawiający łeb wilka z wyszczerzonymi kłami. Markiza pobawiła się medalionem, znowu się uśmiechając. Mile wspominała moment, w którym darowano jej medalion wraz z zapewnieniem, że noszący go niegdyś wiedźmin został zakatowany na śmierć.

Usnęła z uśmiechem na ustach.

Nie wiedziała, co ją obudziło. Może szmer, może powiew powietrza. Otworzyła oczy. I zobaczyła tuż przed twarzą medalion, łeb wilka i jego wyszczerzone kły. Zobaczyła pięść, dzierżącą łańcuszek medalionu.

I oczy z rozszerzoną wężową źrenicą.

Wiedźmin przyglądał się jej z góry, bez ruchu ni dźwięku.

Markiza poczuła pod sobą ciepło i mokro, pojęła, że ze strachu zsikała się w łóżko. Zajęczała, zacisnęła powieki, poczuła straszny ucisk w gardle i piersi.

Gdy za moment otworzyła oczy, nie było już ni wiedźmina, ni medalionu. Udało się, pomyślała, walcząc z uciskiem w gardle, nic mi nie zrobił, zląkł się, uciekł. Jeszcze go dostanę, pomyślała, jeszcze sprawię, że pożałuje…

Jeszcze żyję, pomyślała.

I umarła.

...Ludzi należy traktować dobrze lub bezlitośnie, gdyż są gotowi mścić się, doznawszy mniejszej szkody, a z ran poważniejszych już się nie wyliżą. Przeto szkody, jeśli mają być wyrządzone człowiekowi, powinny być tej miary, aby nie trzeba było drżeć przed jego zemstą.

Niccolò Machiavelli, *Książę*

Rozdział dwudziesty drugi

Padał deszczyk, drobny, ale długotrwały i przez to wystarczający, by wąskie zaułki rzecznego portu Piana zamienić w grząskie błoto. Tu i ówdzie na błocie leżały deski z tarcicy, mające w założeniu umożliwić poruszanie się po mieścinie bez groźby ugrzęźnięcia. Deski leżały jednak rzadko i skoki po nich przypomniały Geraltowi Kaer Morhen i wiedźmińskie ćwiczenia na „grzebieniu".

Po kilkunastu skokach odnalazł jednak wreszcie to, czego szukał. Krytą przegniłą i porośniętą mchem strzechą chałupę z przylegającą do niej stajnią. Drzwi chałupy dekorował wielki pęk słomy.

Geralt pchnął drzwi, krzywe i oporne, źle osadzone w ościeżnicy. Nabrał powietrza w płuca i wszedł. Namacał w ciemności i odsunął sztywną od brudu rogożę.

Wewnątrz, w słabo rozświetlonym kagankami i świecami półmroku, siedziało za stołami kilku mężczyzn. Za prymitywnym szynkwasem karczmarz wycierał fartuchem kufel.

Geralt charknął i splunął na podłogę. I czekał.

– Zwać jak? – zachrypiał po dłuższej chwili najbliższy z mężczyzn, mierząc Geralta złym spojrzeniem spod gęstych siwych brwi.

– Esau Kelly.

– Może być. Twoja kolejka wypadnie po Lubodrogu. Tym, o, co tam siedzi.

– Jasne. – Geralt usiadł przy stole w kącie. Zdążył już dobrze poznać obyczaj.

Miejscami spotkań poszukujących pracy ochroniarzy były zazwyczaj knajpy i zazwyczaj krańcowo obskurne, położone na obrzeżach miejscowości, w okolicach odludnych, paskudnych i niebezpiecznych. Umówionym sygnałem i znakiem, że to tu, był zawieszony na drzwiach pęk słomy.

Po wejściu wchodzącego uderzał, niby taran, ciężki odór podłego piwa, potu, moczu, czosnku, kapusty, znoszonych onuc, starych butów i czort wie czego jeszcze. Należało to znieść i wejść śmiało, sygnalizując tym samym, że jest się z branży.

Ochroniarze mieli swoje własne zwyczaje i obyczaje, niektóre o bez mała rytualnym charakterze. Wchodząc po raz pierwszy do lokalu, należało siarczyście splunąć na posypane trocinami klepisko. Był to znak przynależności do cechu. Innych, którzy usiłowali wejść, zniechęcano. Niekiedy bardzo stanowczo i bardzo gwałtownie.

Temu, kto wykazał się znajomością obyczaju, pozwalano rozgościć się. Wskazywano mu, kto jest ostatni do zatrudnienia i po kim wypadnie jego kolejka. Potem można było robić, co się chciało. Lub siąść w kącie i nie robić nic. Geralt zawsze wybierał to ostatnie. Rozejrzawszy się, siadał i przestrzegał obyczajów.

Do co dziwaczniejszych zaliczyć można było chóralne pozdrowienie po tym, gdy ktoś kichnął, brzmiące: „Bodajś się posrał zarazem!". Gdy ktoś wznosił toast za króla, należało wstać

i wypić. Pytanie, o którego króla idzie, było nietaktem, za który karano, głównie słownie. W przypadku zaś korzystania z latryny za lżejszą potrzebą, jeśli miało się przy tym towarzystwo, należało szybko wygłosić formułę: „Zamawiam na kruka!", tym, którzy nie wygłosili, obsikiwano buty i nogawki.

Bractwo przesiadywało w knajpie, piło na potęgę, gadało, wspominało dawne sukcesy i porażki, zarobki i straty, grało w kości, drzemało oparte o ścianę lub z głową na stole, względnie siedziało bez ruchu, z oczami utkwionymi w przestwór.

Co jakiś czas – rzadko nader – ktoś wpadał i głośno ogłaszał, ilu potrzeba, do czego i za ile. Szczęśliwcy, na których wypadała kolej, wychodzili – bądź rezygnowali na rzecz następnych, sami wyczekując korzystniejszej oferty. Często bywało, że ktoś opuszczał lokal i kolejkę, znudzony lub zdecydowany poszukać szczęścia gdzie indziej.

Co jakiś czas przybywał ktoś nowy. Geralt nie dawał wówczas najmniejszych pozorów zainteresowania, ale przyglądał się bacznie.

Pierwsze przypuszczalne adresy w Kaedwen i trochę pożytecznych informacji uzyskał od znajomych pocztowców z Marchii Dolnej. Dzięki tym informacjom odnalazł lokal regularnie odwiedzany przez szukających pracy ochroniarzy. Było to już w pierwszych dniach kwietnia, na peryferiach fortu i garnizonowego miasteczka Ban Gleann. Nie znalazłszy jednak ani tu, ani w kilku innych kaedweńskich miejscowościach śladu Meritxell, Pontiego czy Fricka, wiedźmin przekroczył granicę na rzece Pontar i odwiedził położoną już w królestwie Aedirn miejscowość Rancourt. Rancourt, położone na szlaku handlowym wiodącym z Ard Carraigh do Vengerbergu, było popularne tak wśród ochroniarzy, jak i najmujących ich wędrownych kupców. Na poboczach szlaku co i rusz widywało się szkielety ludzi i koni, a to

zachęcało kupców do inwestowania w ochronę. Ruch w Rancourt był zatem duży, mimo tego tu również Geralt nie natknął się na ślad poszukiwanych. Za to, o dziwo, niespodzianie wypadła nań kolejka i w charakterze ochrony kupieckiej karawany powędrował do Hagge, leżącego na równie popularnym szlaku wiodącym daleko, docelowo aż do Gors Velen w królestwie Temerii.

Hagge było ponurą mieściną leżącą w cieniu jeszcze bardziej ponurego zamczyska. Na zamku stacjonował silny oddział wojska, gotów jakoby do odparcia ewentualnych kolejnych prób zawładnięcia przygranicznym terytorium, podejmowanym od czasu do czasu przez margrabiów kaedweńskiej Marchii Dolnej. Dzięki owemu wojsku w mieścinie prosperował zamtuz, a w lokalu szukających zatrudnienia ochroniarzy nierzadcy byli dezerterzy. Między chylącymi się ku ruinie budynkami ryły błoto świnie, beczały kozy, a kaczki taplały się w kałużach.

Tutaj też Geralt na nic nie natrafił. I po raz pierwszy opadły go wątpliwości. Jego poszukiwania, zaczął się obawiać, były jak szukanie igły w stogu siana, przy czym nie wiadomo było, czy to aby ten stóg, czy to aby ta łąka i czy aby to w ogóle ta okolica.

Ale nie rezygnował. Przekroczył kolejną granicę i przeniósł się na teren królestwa Redanii, gdzie wznowił poszukiwania w osadzie Biały Most, porcie rzecznym na szlaku wodnym wiodącym do Novigradu. W Białym Moście lokal ochroniarzy był zatłoczony, ale wnet się tam przeluźniło. Straż redańska dokonała bowiem nalotu na lokal i aresztowała ponad połowę bywalców, poszukiwanych za rozmaite przestępstwa, większością zaległe grzywny. Szczęściem dla Geralta ani jego przybrane nazwisko, ani rysopis nie figurowały na żadnym liście gończym i mógł swobodnie kontynuować poszukiwania.

Następnym przystankiem było podgrodzie niewielkiego gródka Travna, również położonego nad Pontarem. I tam właśnie szczęście

nareszcie uśmiechnęło się do niego – trafił na pierwszy ślad i informację. Informacja była po prawdzie mętna, mglista i niejasna, ale była. Lekceważyć jej nie należało. Geralt ruszył tropem. I trafił do portu Piana.

I tu właśnie się obecnie znajdował.

Zaskrzypiały krzywe drzwi.

– Czołem bractwu!

Głos był dziwnie buczący, jakby mówiący miał zatkany lub skrzywiony nos. Geralt głębiej wsunął się w kąt i w mrok.

– Jest robota! – ogłosił buczący przybysz. – Potrzeba mi do kompanii dwu, eskorta do Rinde, ćwierć korony dziennie. Są chętni?

– Tobie, Ponti – odezwał się po chwili ten z siwymi brwiami – było już mówione: nie bądź tym, co pod koniem zwisa. A z ciebie, jak wieść niesie, wciąż jest kawał tego właśnie, co zwisa. Dałeś się poznać. Tak ty gdzie indziej głupich do swojej kompanii szukaj.

– Znaczy, chętnych nie ma?

– Nie z tobą.

– Ha, wola wasza, nie chcecie, nie trza, zechcecie, nie będzie! Cholera z wami!

– A z tobą to, co pod koniem zwisa.

Skrzypnęły drzwi.

Geralt wstał.

●

Zaczęło się, ledwo wszedł do stajni.

Cibor Ponti rozpoznał go zapewne w izbie lub poznał stojącą w stajni Płotkę, bo zaraz po wejściu Geralta rzucił się nań z widłami, rycząc wściekle. Geralt uchylił się bez trudu, śmiejąc się w duchu. Nierozumnym raczej, a wręcz szaleńczym pomysłem było atakować wiedźmina czymś tak ciężkim i mało poręcznym, jak widły. Ponti

pojąć tego nie mógł, skakał, ryczał i dźgał, a wiedźmin usuwał się i unikał dźgnięć jak cień. Wreszcie znudziło mu się, doskoczył, chwycił za trzonek wideł, wykręcił go Pontiemu z rąk i walnął go nim prosto w krzywy nos. Ponti zaryczał, padł na kolana i chwycił się za twarz. Spomiędzy palców zatętniła krew.

– Gdzie są Meritxell i Frick?

Cibor Ponti zabuczał niewyraźnie. Uderzenie trzonkiem wideł w zasadzie naprawiło mu nos, naprostowało go, mimo tego opryszek buczał nadal, chyba nawet jeszcze gorzej niż poprzednio. Musiały poprzesuwać się tam w nosie jakieś chrząstki.

– Gdzie są Meritxell i Frick?

– Chędoż się… Wywłoko… Odmieńcze…

Geralt zerwał ze ściany zwój konopnego powroza, zarzucił sznur Pontiemu od tyłu na szyję. Skręcił, w skręt sznura wsadził podniesiony z ziemi kołek.

– Gdzie są Meritxell i Frick?

– Chędoż…

Geralt lewą ręką napiął powróz, a prawą obrócił kołek.

– Litości… – zacharczał Ponti. – Nie zabijaj…

– Gadaj.

– Beau… Ochraniał orszak… Jakiegoś ważniaka z Oxenfurtu… Pewnie tam wciąż jest… Nie wiem nic o Meritxell… Przysięgam…

Geralt obrócił kołek o dalsze ćwierć obrotu.

– Kierowała się nad morze… – zacharczał Ponti, bezskutecznie drapiąc i szarpiąc dławiącą go pętlę. – Chciała płynąć… Dokądś daleko… Nie zabijaj…

Geralt przypomniał sobie wrzesień, wigilię Ekwinokcjum. Świt. I Pontiego, walącego go w ręce i głowę okutą pałą.

Obrócił kołek. Gwałtownie i mocno, pokonując opór. Cibor Ponti nie mógł już charczeć, wyprężył się tylko. Zaś gwałtowny smród zdradził, że puścił mu zwieracz.

Geralt obrócił kołek jeszcze o pół obrotu. Dla pewności.

●

Uniwersyteckie miasteczko Oxenfurt było tłoczne, głośne, duszne i śmierdzące. Geralt czuł, że długo w nim nie wytrzyma, miał dość przepychania się przez ciżbę i dławienia się odorem. Miejsca spotkań ochroniarzy z wiechciem słomy na drzwiach nie zdołał odnaleźć. Może i dobrze się stało, że nie zdołał, nie był pewien, jak bractwo zareagowało na trupa Pontiego w stajni. Minął pełny tydzień od tamtego zdarzenia.

Popytał trochę – bez skutku – po karczmach i zajazdach. W jednej z oberży, gdzie rankiem jego pytania zbyto wzruszeniem ramion, postanowił zjeść śniadanie. Po śniadaniu zaś miał zamiar wynieść się dokądś daleko od miasteczka Oxenfurt i gdzie indziej wznowić poszukiwania Meritxell i Beauregarda Fricka.

Wypadki potoczyły się jednak inaczej.

– Wiedźmin?

Beauregard Frick zmienił wygląd. Pozwolił włosom odrosnąć, ale ich nie przystrzygł, przez co jego głowę zdobiła teraz nieporządna aureola siwawych kłaków.

Usiadł bez zaproszenia naprzeciw, podciągając na pasie przeszkadzający miecz.

– Tropiłeś mnie tu – pominął wstępy – by się ze mną policzyć. Za tamto, w Kaedwen. Nie zaprzeczaj.

Geralt nie miał najmniejszego zamiaru zaprzeczać.

– Uparty jesteś, nie ma co – ciągnął Frick. – Nie dziwię się zresztą, sam bym inaczej nie postąpił, gdyby na mnie wypadło. Jest jednak zagwozdka. Jeśli chodzi o bijatyki, zwłaszcza z użyciem broni, prawo w Oxenfurcie jest surowe i bezwzględne, a straż wszechobecna. Jeśli zatem naskoczysz na mnie gdzieś publicznie, a ja cię zabiję, to pójdę do kryminału. Nawet jeśli to będzie

w obronie własnej. Dlatego, jeśliś już pośniadał, proponuję udać się w miejsce ustronne, gdzie nikt nas nie zobaczy, gdy będziemy załatwiać nasze sprawy, i gdzie prawo nas nie doścignie. Może tak być?

– Może tak być. A ten miecz jest mój.

– Nieprawda – pokręcił głową Frick. – Jest mój. Zdobycz wojenna.

– Bandycki łup.

– Jak zwał, tak zwał. Skończyłeś śniadać?

– Skończyłem.

– Chodźmy zatem, nim słonko bardziej się podniesie. Nie lubię załatwiać takich spraw w upale.

Mimo wczesnej raczej pory na głównej ulicy Oxenfurtu już robiło się ludno, wszyscy kupcy i przekupnie otwarli już swe sklepy i stragany, jadłodajnie i smażalnie już zaczynały śmierdzieć wielokrotnie używanym tłuszczem. Wzmagał się gwar i rejwach. Frick wiódł jednak wiedźmina w zaułki, w których było nadal pusto i cicho. Wreszcie skręcił w wąskie przejście za wielki spichlerz, na zamknięty z czterech stron podwórzec.

Rozejrzał się, zmacał czubkiem buta twardość podłoża.

– Zanim zaczniemy – powiedział – mam propozycję.

– Rzecz w tym – ciągnął spokojnie – że Meritxell, której poszukujesz równie pilnie jak mnie, niezbyt wprawnie obraca mieczem. W walce z tobą nie miałaby szans. Zależy mi na niej, byliśmy kochankami. Propozycja brzmi: poniechaj jej. Przysięgnij, że jej poniechasz, a daruję ci życie. Pozwolę ci odejść.

Geralt milczał.

– Młody jesteś, życie przed tobą. W Pianie udusiłeś Cibora, niech ci to wystarczy. Niech to zaspokoi twoją zemstę. Umowa stoi?

– Nie. Nie stoi.

Frick zaatakował bez uprzedzenia, podstępnie, wykręcił się w półobrocie, szybko dobył miecza i z odwrotnego półobrotu ciął, mierząc w głowę. Geralt uchylił się tak nieznacznie, że ostrze tylko go musnęło. Sam już też miał miecz w dłoni i uderzył, krótko, celując w skroń. Frick sparował, przyjmując cios na ricasso, odskoczył.

– Chciałeś – wycedził.

Zamłynkował mieczem. Wykonał szybką gran passatę prawą stopą, zawinął klingą w molinetto. Niemożliwe, przemknęło przez głowę Geralta, to jest niemożliwe, to jest przecież finta Holta. Teraz będzie mandritto na lewą skroń i powtórne molinetto... Ja sparuję...

Sparował cios.

Teraz będzie contratempo passo largo lewą nogą, molinetto i tramazzone. Finta Holta. Śmiercionośna finta, przed którą nie ma obrony.

Rysunki Prestona, pomyślał. Na liście. Te kreskowe figurki... Rysunki przedstawiające...

Frick uderzył błyskawicznie, wykroczył w passo largo, zakręcił molinetto i wygiął tułów do zdradzieckiego tramazzone. Geralt nie wszedł w paradę. Doskoczył, tak blisko, że zderzył się z Frickiem piersią. I bez zamachu wbił mu jelec miecza w oko. Gałka ustąpiła z miękkim galaretowatym oporem, skruszyły się cienkie kości oczodołu, stal jelca wbiła się w mózg. Głęboko.

Geralt wyszarpnął miecz, odskoczył. Beauregard Frick przez chwilę stał nieruchomo, okropnie krzywiąc twarz. Potem przechylił się i padł, na wznak, jak kłoda.

Był martwy, zanim upadł.

Smell the sea and feel the sky
Let your soul and spirit fly

Van Morrison, *Into the Mystic*

Rozdział dwudziesty trzeci

Pierwej wyczuł, niźli zobaczył.

Niesiony powiewem wiatru zapach był całkiem dlań obcy, nie przypominający niczego, co znał, i nie kojarzący się z niczym, co pamiętał. Dopiero po chwili, gdy stanął w strzemionach, łowiąc wiatr i ów zapach, zorientował się, że ten błękit w oddali to nie do końca jest niebo i że to nie żadna dziwaczna formacja chmur. Że to horyzont. Że jest to owo coś, czego do tej pory nie oglądał. A co bardzo chciał zobaczyć.

Morze.

W pierwszym odruchu chciał popędzić Płotkę do galopu, by do tego morza jak najprędzej dotrzeć, by zobaczyć je całkiem z bliska, by lepiej poczuć ów zapach, by dotknąć. Posmakować.

Powstrzymał się.

Były sprawy do załatwienia.

Ze wzgórza droga wiodła w dół, przez porośnięty wysoką trawą upłaz. Nad upłazem górował stary bór, ciemny, odstraszający zwartą i mroczną gęstwiną. Dołem biegła droga, niknąca w młodniaku. Przy drodze, przytulona do młodniaka, widniała samotna zagroda. Chata z dachem z nowiutkiego sosnowego gontu, dwie szopy, stodoła, równy płot dookoła, za nim podwórze, kury grzebiące

w piasku. Z komina chaty snuł się dym. Przed chatą, u koniowiązu, stał siwy koń.

Geralt wiedział, do kogo należał.

Wiedział również – nabył tę wiedzę za dziesięć złotych koron z podobizną novigradzkiego hierarchy – do kogo należała chata. Zamieszkiwał tam herszt lokalnych przemytników. Każdy, komu zamarzyło się wsiąść na pokład któregoś z zacumowanych w niedalekiej zatoce szmuglerskich stateczków, musiał wpierw odwiedzić herszta i uiścić stosowną – niemałą – zapłatę. Uiściwszy, można było odpłynąć dokądś daleko. Dostatecznie daleko, by zatrzeć za sobą wszelki ślad i zgubić wszelką pogoń.

Popędził Płotkę, ruszył w dół po upłazie. Usłyszał wysokie głosiki, dostrzegł kilkoro dzieci, bawiących się na stoku, na żółciutkim piasku, odsłoniętym przez rozpadlinę. Dzieci nie zwróciły na niego uwagi, pochłonięte zabawą.

Zjechał w dół, na drogę.

Drzwi chaty otwarły się, stanęła w nich Meritxell.

Spostrzegła wiedźmina od razu, biegiem dopadła swego siwka. Uchwyciła grzywę, chcąc z rozpędu wskoczyć na siodło. Siwek spłoszył się, wyrwał do przodu, wlokąc po ziemi Meritxell uczepioną strzemienia. Wyglądało, że kobieta nie uniknie uderzenia kopytami, ale w porę puściła strzemię, została brzuchem na piasku. Siwek popędził drogą.

Geralt widział, jak Meritxell w odruchu złości waliła w ziemię pięściami, usłyszał, jak krzyknęła, rozpaczliwie i wściekle.

Nie spieszył się. Wiedział, że zdąży. Że nie zdoła przed nim uciec.

Usłyszał krakanie.

Na czubku wysokiego drzewa wśród starego, ciemnego boru siedział kruk. Krocząc głośno.

Tym razem Geralt zrozumiał ostrzeżenie.

Dostrzegł ruch na skraju boru. Porastające skraj trawy poruszyły się, zachwiały dziwnie. Coś wśród nich mignęło połyskliwie. Coś popełzło w dół po upłazie.

Wśród traw były łyse miejsca, piasek, żwir i kamień. Pozwoliły zobaczyć. Długi na dobre dwa sążnie płaski, czerwonawy, segmentowany korpus, każdy segment wyposażony w parę ruchliwych jaskrawożółtych odnóży. Wielki, płaski, ciemnobrązowy łeb z parą długich czułków i potężnymi szczękami.

Skolopendromorf pełzł w dół po upłazie, zwijając się jak wstęga, co jakiś czas unosząc łeb i poruszając czułkami. Pełzł wprost ku bawiącym się w piasku dzieciom.

Kruk krakał.

Meritxell zerwała się z ziemi, pomknęła ku swemu koniowi, który spokojnie stał na drodze, oddalony o ćwierć stajania. Skokiem znalazła się na siodle, runęła w galop, popędzając konia krzykiem. Wnet zniknęła za zakrętem drogi.

Geralt nie patrzył w jej kierunku. Nagle przestała go interesować.

Ważne było coś innego. Inny wybór.

Zeskoczył z siodła. Raźnym krokiem ruszył skosem po upłazie, naprzeciw pełznącemu wijowi. Tak, by przeciąć mu drogę, by odgrodzić go od dzieci.

Sięgnął nad ramię, obnażył klingę.

Dubhenn haern am glândeal,
morc'h am fhean aiesin.

Mój błysk przebije ciemności,
moja jasność mroki rozproszy.

Wiedźmin szedł po upłazie.

Wiał wiatr od morza.

Pasikoniki pryskały spod nóg.

KONIEC